

AM OPOWIADANIA

48



Autor: **Vith** ze Storytellers

Storytellers © 2007 Wszystkie prawa zastrzeżone.

AM#OPOWIADANIA STORYTELLERS

WSTĘPNIK

Witam

Tym razem komentarz króciutki, wakacyjny :P

Miłego kącika czytania i na słońku się wygrzewania :P a ja już wracam do opalania :)

SHIRO

STOPKA

Redaktor Naczelny
Dawid „Shiro” Nowak
shiro@storytellers.pl

**Z-ca Redaktora
Naczelnego**
Piotr „JNK NM” Durbajło
enem@storytellers.pl

Redaktor tekstowy
Marcin „Nitramay” Glaza
jamartin_op@wp.pl

**Redaktor tekstowy
i korekta**
Marta „Tatyana” Solecka
martulka.tati@gmail.com

Storytellers
<http://www.storytellers.pl>

Kontakt z redakcją
opowiadania@gmail.com

Jeśli piszesz opowiadania (lub inne teksty), chciałbyś skomentować któryś z naszych tekstów, tworzysz grafikę lub prowadzisz jakąkolwiek inną działalność twórczą to podeślij swoje prace na:

opowiadania@gmial.com
lub odwiedź naszą stronę internetową:
<http://www.storytellers.pl>

PRENUMERATA

Chcesz otrzymywać pocztą elektroniczną nowy numer AM#Opowiadań?

Po prostu wyślij na adres redakcji: **opowiadania@gmail.com** e-mail o tytule:

„Prenumerata magazynu AM#OPOWIADANIA”.

Możesz także podać adresy zainteresowanych tematyka opowiadań znajomych, wyślemy im jeden email z ostatnim numerem kącika, jeśli im się spodoba będą mogli zatwierdzić prenumeratę. Pamiętaj, że im nas więcej tym więcej ciekawych tekstów w kąciku.

PARTNERSTWO

W sprawie wszelkiego rodzaju współpracy - czy to wymiany banerów, okienek subskrypcji/prenumeraty, opowiadań, newsów albo jakiegokolwiek innej formy reklamy - piszcie śmiało na adres redakcji:

opowiadania@gmail.com

REGULAMIN

Jak wysłać opowiadanie i co powinno się w nim zawierać?

Opowiadania wysyłamy pocztą elektroniczną. Na adres opowiadania@gmail.com proszę kierować wszystkie sprawy związane z kącikiem. Napisz kilka słów w treści maila, a w samym opowiadaniu nie zapomnij dodać tak oczywistych rzeczy jak tytuł i OBOWIĄZKOWO na końcu tekstu imię, bądź pseudonim autora, jakim opowiadanie będzie sygnowane w przypadku publikacji. Oczywiście, dla własnego dobra nie zapomnij także o dodaniu w pliku adresu mailowego na wszelki wypadek (gdybym np. w trakcie robienia porządków na koncie kącika usunął maila). Jeśli ktoś nie dopisze swojego adresu u dołu opowiadania uznaję, że zwyczajnie tego sobie nie życzy - kontakt z takim autorem będzie możliwy jedynie przez pośrednika, czyli mnie. Pseudonim w tekście musi być zaznaczony, choćby dla mojej wygody i dobrego samopoczucia. Ponadto dłuższe teksty (około 60 tys znaków, ze spacjami) dla wygody czytającego lepiej dzielić na rozdziały.

Co z prawami autorskimi?

Przesyłając tekst do nas, zachowujesz do niego pełne prawa autorskie i automatycznie wyrażasz zgodę na jego publikację. Ponadto - redakcja zastrzega sobie prawo do wprowadzania drobnych poprawek w tekście oraz jego publikacji - na stronie internetowej kącika i innych witrynach internetowych powiązanych w jakiś sposób z AM#Opowiadania lub Storytellers. Nie wykluczamy także możliwości druku papierowego wybitnych opowiadań, autor w tym przypadku będzie dodatkowo powiadomiony. Podpisując się pod opowiadaniem prawdziwym imieniem i nazwiskiem, wyrażasz zgodę na wydruk papierowy opowiadania i dysponowanie nim przez Storytellers © (np. publikacji w jednym z współpracujących z nami wydawnictw, w przypadku braku możliwości kontaktu z autorem akceptacja wprowadzonych przez wydawnictwo zmian itp.).

Ile wynosi czas oczekiwania na odpowiedź w sprawie wysyłanych tekstów?

Jeśli Twoje opowiadanie spodoba się redakcji, oczywiście powiadomię Ciebie o tym w terminie natychmiastowym - czyli do dziesięciu dni. Jeśli nie - również zostaniesz o tym fakcie powiadomiony. W przypadku pośrednim dostaniesz wskazówki odnośnie poprawek, jakie powinienś w tekście wnieść, by przeszedł. Gdy tekst będzie bardzo długi, lub ja będę mieć wybitnie mało czasu - powiadomię zainteresowanego autora o opóźnieniu w ocenie opowiadania i ustalimy jakiś sensowny termin. Jeżeli po upływie 10 dni nie dostaniesz żadnej odpowiedzi, znaczy to, że coś się stało z mailem po drodze. Wyślij opowiadanie ponownie! Aż do skutku.

Robię dużo błędów/mam dysleksję/nie chce mi się poprawiać/itd.

Literówki będą poprawiane tylko, gdy będzie ich niewiele, za to polskie znaki MUSZĄ BYĆ. W przypadku dużej liczby błędów, bądź braku polskich znaków, teksty będą odsyłane do autora w celu ich poprawy. Jeśli naprawdę chcesz by Twoje opowiadanie przeszło, to posiedź nad nim przez chwilę, przejrzyj dokładnie i popraw tak by było czytelne. Obecnie mamy korektorów, więc jeśli tylko Twój tekst przyjdzie odpowiednio wcześniej przed DEADLINEM powinien się pod czujne oko któregoś z nich dostać. Mimo to radzę opowiadania dokładnie poprawiać samemu, z czasem zwykle jest krucho i nie zawsze redakcja z poprawkami się wyrobi.

W moim tekście jest seks, przemoc, wulgaryzmy... może, ehem, coś takiego być?

To zależy...

W kąciku Opowiadań nigdy nie było żadnej wielkiej cenzury i nie chcę takiej wprowadzać, ale jednak pewne granice dobrego smaku powinny istnieć.

Lubię horrory, dlatego nie oszukujmy się twierdząc, że nie będę takich zamieszczać, ale lepiej z przelewem krwi nie przesadzać. Inną sprawą jest to, że krew nigdy nie powinna budować fabuły, a co najwyżej być do niej dodatkiem.

Jak duży ma być tekst?

Zasadniczo ścisłych ograniczeń nie ma; nawet, jeśli napiszesz maleństwo na 1000 znaków i uda Ci się zawrzeć tam ciekawą historię, to ma szansę się znaleźć w kąciku. Jeśli napiszesz interesujące opowiadanie powyżej 60 tys znaków, również przejdzie, po prostu będziesz dłużej czekać na moją opinię w sprawie tego opowiadania. Granicą nie jest długość, lecz jakość.

W jakim formacie mam zapisać opowiadanie?

Preferuję Rich Text Format (rtf), dostępny w programie Word lub stary, dobry ASCII (txt). W takim przypadku, jeśli Twój tekst wymaga jakichś szczególnych formatowań (kursywa, pogrubienie) możesz oznaczyć je zapożyczonymi z HTML-a tagami: <i>kursywa</i> i pogrubienie; a przypisy oznaczać tak: [1] i pod tekstem umieszczamy treść przypisu. Dokumenty zapisane w standardowym formacie Word (.doc) są bardzo niemile widziane choćby z powodu ich często dużej objętości, autokorekty podmieniającej znaki na „wordowskie” i złośliwego makro, jakie może być do nich doczepione, o czym Ty możesz nawet nie wiedzieć...

Lubię kącik opowiadań tak bardzo, że chciałbym go dostawać co miesiąc na skrzynkę mailową przed czasem. Czy istnieje taka możliwość?

Oczywiście! Wystarczy, że wyślesz na adres AM#Opowiadania email z informacją, że chcesz przystąpić do prenumeraty. Dostawać AM#O na skrzynkę będziesz również, jeśli będziesz pisał do niego. Zawsze możesz skrobnąć komentarz - zajmuje to niewiele czasu, a gwarantuje dostanie kącika przed czasem do rąk własnych.

To chyba wszystko. W przypadku wszelkich uwag, lub pytań piszcie na adres kącika: opowiadania@gmail.com

Na pewno jeszcze jakieś zmiany w regulaminie nastąpią, ale jedno nie zmieni się nigdy. Wy piszecie. Ja zamieszczam. Świat czyta. I tak od początku, bez przerwy.

Ostre odbicie

+Dea+

- Być... - obróciła w ręce nóż tak, żeby zobaczyć drugą stronę płaskiej powierzchni ostrza - ...albo nie być. - Zapatrzyła się na chwilę. W pustym, brudnym pomieszczeniu zapanowała cisza. Chłodny powiew wiatru wdmuchnął do niego piasek z podłogi i zeschnięte, stare liście. W kącie, w cieniu, siedzącą na betonowej, niewykończonej podłodze, dziewczynę przeszedł dreszcz. - Gównu, nie pytanie. - Gwałtownie opuściła nóż i rozejrzała się po pokoju, ale znów go podniosła i znów się w niego wpatrzyła. - Gdyby to było takie proste... Gdyby były tylko te dwa „albo”... - Lekko i powoli poruszała nożem, tak, żeby było widać, jak promień światła, wpadającego przez otwór okienny, przesuwają się po ostrzu. - A być i nie być na raz? Być, ale tak jakby nie było. Niby jesteś, ale cię nie ma. Nie ma cię, a jednak gdzieś tam jesteś. To, że cię nie ma skłania mnie do myślenia o tym, że jesteś. A kiedy jesteś, zastanawiam się nad tym, dlaczego cię nie ma. - Odwróciła nóż naostrzoną krawędzią w swoją stronę. - Bez sensu. - Znów chwila ciszy i obrót noża do poprzedniego stanu. - Mnie właściwie też już nie ma. Niema, bo nigdy nie było. - Przekrzywiła lekko głowę wytężając spojrzenie. - Kim ty w ogóle jesteś? - Wpatrzyła się we własne odbicie. - Jesteś mną? - Zastanowiła się chwilę. - W takim razie, kim ja jestem? - Zaskoczyło ją własne pytanie. - Kim ja jestem... - Powtórzyła cicho. Próbowała sobie przypomnieć jakieś fragmenty ze swojego życia, które dałyby jej odpowiedź. Przed oczami migały jej różne obrazy. Z różnych miejsc, czasów, sytuacji, z różnymi ludźmi, reakcjami. - Jestem wszystkim. - Oznajmiła powoli. - Jestem nikim. - Dodała dobitnie. - Mogę być wszystkim, mogę być każdym, dlatego że jestem nikim. Niema mnie. Jest pustka. Pustkę można wypełnić wrzucając do niej wszystkiego po trochu. I co z tego wyjdzie? - Obróciła nóż o 360 stopni. - Ja. - Wypowiedział ironiczną radością. - Taki mix. Od innych wszystkiego po trochu. Jak rzygi, wymiociny. - Zniesmaczyła się własnym wyglądem. Spojrzała na ścianę. - Nic. Nic własnego. Taka podróba. Tyle, że zawsze czegoś innego. - Spojrzała w ostrze jak w lusterko. - No tak, długie rozpuszczone włosy, czarne ubranie, martwe spojrzenie - klasyczny model. - Zaczęła przekręcać głowę i nóż oglądając się z każdej strony. - Żeby cię tak zabić. - Wyszepiała mrocznym głosem. - Poplątane włosy, posklejane zeschniętą krwią. Wydłubane oczy, leżące gdzieś oddzielnie pod oknem. Szeroko rozwarte usta imitujące krzyk i na policzkach ślady wylewającej się z ust krwi. Poderżnięte gardło. Błado biały lub siny kolor skóry. Dziwnie przekręcona głowa = skręcony kark. Porozdzierane ubranie, szczątki rozrzucone po całym pomieszczeniu. Pocięte ręce. Całe ciało pocięte. Krew. Dużo zaschniętej krwi. Kałuża krwi pod trupem. - Chwila przerwy. - Ja. - Uśmiechnęła się zadowolona. - Śmieszna jesteś. - Teraz zainteresowała się nożem jako przedmiotem. - Idealnie gładkie ostrze. Idealnie... Gdyby było takie chropowate, jak przy niektórych nożach kuchennych, to bym się fajnie pocharatała. - Przejechała wolno palcem po ostrej krawędzi przyciskając coraz bardziej. Potem spojrzała na palec. - Moja krew. - Uśmiechnęła się ironicznie. Wsadziła palec do ust i zessała z niego krew. - Hmm... Niezła, jak na kogoś, kogo niema. - Przetarła dłonią płaską powierzchnię. - Lustreczko, powiedz przecie, kto dziś zginie na tym świecie? - Zaśmiała się sama z siebie. - Ale to głupia bajka była. Te wszystkie bajki były głupie. Chociaż, gdyby nie były głupie, to, to już nie byłyby bajki. Pewnie. Bajki zawsze dobrze się kończą. Bajki nie istnieją. - Spojrzała w górę i wyciągnęła rękę ze wzruszeniem, parodiując recytację. - Umarła. I wtedy żyła długo i szczęśliwie. - Zrobiła niesmaczną minę. - Żaloso. - Spojrzała na rękę. Czarną, dobrze pasującą do dłoni. - Wygoda przede wszystkim. Z tym hasłem powinni trumny reklamować. - Zastanowiła się nad kolorem. - Czarny... Jak ja. Oboje mamy czarne ubranka. Chcesz zostać moim przyjacielem? Pasujemy do siebie, od razu widać. Ja będę przy tobie do końca mojego życia, a ty sprawisz, że mój ból się skończy. - Westchnęła z rozmarzonym uśmiechem. Przyłożyła zraniony palec do czubka ostrza. Zmierzyła cały nóż wzrokiem. Zaczęła nim kręcić, tak, że obracające się ostrze migotało od światła, a po nim wolno ciekła czerwona krew. - Ale zabawa. - Stwierdziła gorzko. - Lubię się bawić. - Dodała dziecięcym głosem. - Zobacz mamusiu karuzela. Kto chce się ze mną pokręcić? - Bez odpowiedzi zatrzymała nóż. Wyciągnęła przed siebie lewą rękę, wypięła nadgarstek, prawą ręką przyłożyła do żyły nóż. Ręka jej się zatrzęsła. Spuściła głowę przełykając ślinę. Popatrzyła przez chwilę na podłogę. - A w dupie z tym. - Cisnęła nożem na drugą stronę pomieszczenia. Wstała i wyszła z budynku.

+Dea+ Paulina H.

Wariatka

Alicja Korek

Przy szeroko otwartym oknie, jak każdego jesiennego popołudnia, gotuję na podwieczorek jajka. Wyłącznie na miękko. Zegarek Seiko czuwa ; trzy i pół minuty, ani sekundy więcej. Pelargonie na parapecie straciły już dawno swój oryginalny kolor krwi-stoczerwonej pomadki (Margaret Astor 15). Ale liście przydrożnych klonów wciąż mienią się złociście w październikowym słońcu, wpadają przez okno i lekko, nieznacznie lekko, drażniąc lekko kładą się na talerzu obok jajek. Prawdziwa kuchnia eksperymentalna.

Stukot obcasów. Przeraził, ciężki, wzmacnia się. Musi lubić te swoje kowbojskie botki z czarnej skóry dziurawiące chodniki. Czarna.

Po raz pierwszy w życiu nie dopilnował jajek. Wszystkie oddaje kotu, przecież nie będzie jadł na twardo. Zdzira. To przez nią. Zołza. Wyrwie paniusi obcasy i niech spiernicza gdzie pieprz rośnie. Kotuś odmawia podwieczorku- przecież on też je wyłącznie na miękko. Jedza. A w portfelu nie ma nawet złotówki, żeby kupić pętko kaszanki w Super Delikatesach Społem.

Wygląda za okno. Na brukowanej uliczce ani jednego samochodu - odkąd zrobili płatny parking świeci tu pustkami. A mieszkańcy kamienicy i tak nie mają czym jeździć, bida aż piszczy... Pośrodku ulicy stoi kundel bury z podkuloną łapą i wpatruje się w chlapające się w kałuży wróbla. Sklep ze zdrową żywnością przemalowano na zgniły zielony, brzydki ten kolor jak szlak, mogliby na pomarańczowy albo żółty, byłoby weselej może...

Stukot staje się nie do zniesienia, nawet przy zamkniętym oknie. Stopery. Gdzie ma stopery? Nie ma. Przecież nigdy nie miał. Bo po co?

Raz jeszcze przykłada nos do szyby. Nikogo nie widzi, nawet kundel bury, znudzony, poszedł na Półwiejską grzebać w śmietniku, a wróbel odleciał, może nawet i do ciepłych krajów. Kto więc tak stuka?

Ubiera śmierdzący trutką na mole płaszcz, wkłada do kieszeni paczkę Malboro (a jednak, stać go!), przegląda się w lustrze, myśli : o kurwa, jestem już po czterdziestce a nie zasadziłem drzewa, nie wybudowałem domu, nie spłodziłem syna. Mam kota, który sra na dywanik w przedpokój i kablówkę, za którą nie płacę. No i jajka. Kurwa, jak to się stało, że wyszły na twardo?

Zdzira. Baba jaga. Nie mam co do gęby wsadzić, więc zeżrę jej obcasy.

Na ulicy Cichej faktycznie nie ma nikogo. Jak to na Cichej... Podąża więc za stukotem botków z czarnej skóry. Pewnie jest brunetką, ma silny temperament, skończyła marketing i zarządzanie, bez zająknięcia włada angielskim i francuskim, zarabia pięć patoli na miesiąc netto i lubi kochać się na stole... w botkach z czarnej skóry. Zeżrę te jej botki, i nie tylko.

Zapagnął jak najszybciej dopaść tajemniczą brunetkę. Przeszedł sklep ze zdrową żywnością na Cichej, lumpeks na Międzychodzkiej, małe zoo na Chwałkowskiego i komisariat policji na Wniebowstąpienia, kierowany stukotem botków z czarnej skóry. Na rogu Niepodległości i Mickiewicza-stukot ustał. Obejrzał się w prawo, potem w lewo, spojrzał w górę (samolot Ryanair kreślił na niebie chińskie znaki), następnie w dół... W dół... A w dole, tuż przy jego lewym bucie leży kapelusz. Czarny. Czarny i jakiś taki... znajomy.

Nie dorwał brunetki, ale za to nie będę więcej marznął w łysinę - uśmiechnął się z przekorą po czym przypomniał sobie o paczce Malboro i zniknął za warzywniakiem. Z kapeluszem.

W nocy śnił o niej, miała na sobie czarne botki, a jej usta przypominały mu czerwonokrwiste płatki pelargonii z lata (Margaret Astor 15). Zabrudził prześcieradło, plamy przetarł cytrynowym ludwikiem i powiesił płócienną płachtę na balkonie. „Zanim zaczęła wstawać wodę na jajka, myślał głośno mówiąc do siebie, sprzedam butelki po piwie i kupię w końcu coś dla kota”.

Zebrał wszystkie butelki zwrotne jakie magazynował od końca czerwca w szafce z kubłem na śmieci i wyruszył na poszukiwanie jakiegoś czynnego sklepu, a w niedzielę wcale nie jest z tym łatwo.

Sklepu nie znalazł, ale coś innego przykuło jego uwagę. Na słupie ogłoszeniowym, drukowanymi literami, czerwonym flamastrem (takim jak krwistoczerwone pelargonie –Margaret Astor 15), ktoś zostawił taką oto wiadomość:

**Zgubiłam kapelusz. Czarny.
Jest dla mnie bardzo ważny.
Uczciwego znalazcę proszę o szybki kontakt.
Czeka nagroda.
Malwina, Królewska 7/12**

Malwina... Stał jak wryty i gapił się od ponad pół godziny na betonowy słup. Zapomniał o piwie, o jajkach (co najważniejsze, już po raz drugi), o głodującym kocie, o suszącym się prześcieradle. Malwina... wypowiadał systematycznie tajemnicze imię i czuł, jak podniecenie wkrada się w spódnie z delikatnością południowego wiatru aby, już po chwili, zamienić się w tsunami i buchnąć słoną falą wilgoci... Malwina... Malwina... I co teraz? I co dalej?

Wróci do domu, ogoli wąsy, zmieni bokserki, ubierze wyjściową koszulę, zbierze bukiet polnych kwiatów. On zapuka, ona otworzy, będzie naga w botkach z czarnej skóry, z falującym, jędrnym biustem, on pokaże jej kapelusz, ona powie mu dziękuję, on odpowie nie ma za co, ona zaprosi go na kawę, on chętnie się zgodzi, ona pójdzie do kuchni nastawić wodę, on podaży za nią, złapie ją za pośladki, położy na stole....

Znowu poczuł nadchodzące tsunami. Jęknął lekko z podniecenia. Zostawił szklane butle przy słupie i czym prędzej pognął do mieszkania. Był w trakcie golenia wąsów, kiedy przez jego myśli przeszedł dziwny niepokój. A co będzie jeśli Malwina po prostu przestraszy się jego zmarszczek pod oczami, żółtych od papierochów zębów, widocznej łysin? Czy zechce zaprosić na kawę czterdziestoletniego starucha?

Myśli myślały, jednak postanawiał nie dawać za wygraną. Miałby przepuścić taką okazję? Czarne skórzane botki, kuchenny stół i malinowe usta młodzieńkiej dziewczyny? Byłby idiotą raczej.

Dokładnie wyprasował koszulę. Schował kapelusz pod płaszcz, ukradł kilka jesiennych kwiatków z klombu przy warzywniaku i szybkim krokiem udał się na Królewską 7/12. Brama do kamienicy była niedomknięta, więc wślizgnął się dyskretnie do wnętrza pokaznego, przedwojennego budynku. Numer 12 znajdował się na trzecim piętrze. Drzwi ciemnobrązowe, nie ma dzwonka, trzeba

pukać.
Puk puk!
Cisza...
Puk puk puk!
Pewnie stoi naga w przedpokoju i rozmawia przez telefon. Zaraz otworzy.
Puk puk!
Usłyszał chrobotanie klucza w zamku. Zrobiło mu się gorąco na samą myśl, że dosłownie za sekundę ujrzy jej falujące piersi. Złapie ją za nie, wytarmosi każdy zakątek jej ciała. Zeżre botki...
-Pan?
Drobna, skurczona kobiecina opatulona wełnianą chustą spoglądała na niego z nieukrywanym zdziwieniem.
-Ja do Malwiny przyszedłem. Mam dla niej kap...
-Do kogo?
-Pani córka, Malwina, w domu?
-Co pan... tutaj...
Kobieta wlepiła w niego maleńkie oczka. Pożerała go tymi swoimi zielonymi guziczkami, takimi, jakie miała przyszyte do wełnianego swetra. Te też były zielone.
-Jaa.. do Malwiny. Przyniosłem jej kapelusz.
Wyciągnął spod płaszcza czarny melonik i wręczył go kobiecie.
-O! Znalazł go pan. Jakie szczęście. Przyznam się, że nie lubię tej chusty. Gryzie.
-To pani?
-Ależ tak. Przecież zawsze go mam na sobie. Od dziesięciu lat. Myślałam, że pan pamięta...
-My się znamy?
Zielone guziki zrobiły się dziwnie lśniąco i wilgotne.
-Ależ ja pana kocham panie Julianie. Słyszysz pan? Kocham już dziesięć lat.

Nie wiedział, co począć. Zrobiło mu się gorąco. Jakaś baba wygadywała potworne bzdury. Miał ochotę splunąć jej w twarz.
-Panie Julianie, ten kapelusz. Dał mi go pan. Dziesięć lat temu. Pamięta pan?
Panie Julianie, powiedział pan wtedy, że mam najpiękniejsze pośladki na świecie. Kochaliśmy się w parku pod rozłożystym kasztanem. Włożył mi pan wtedy kapelusz na głowę i już nigdy go nie zdjęłam. Śpię w nim. Kupuję kielbasę. Czytam gazetę. Tańczę przed pańskim oknem, kiedy nikt nie patrzy. Panie Julianie, ja...
-Dość. Pani majaczy. Albo musiała mnie Pani z kimś pomylić..
-Pomylić? A skądże! Panie Julianie, o proszę, a ten pieprzyk nad ustami? Powiedział Pan, że jest jak ziarenko kawy, że piękny, że seksowny, że... I że lubi pan ich kolor, czerwony... Margaret Astor 15...

Tak. Może i był piękny, ten rodzynek. Może nawet lubił się z nią kochać. Może i do twarzy jej było w tym kapeluszu.
Nie pamiętał jednak, że miała na imię Malwina.
Zresztą, czy to ważne? Tak. Może i była pociągająca. Była. Dziesięć lat temu. Ale teraz jest stara i brzydka.

O pogrzebie dowiedział się z wywieszonej na drzewie informacji. Nie poszedł. Tego dnia okropnie padało, kot zachorował i rygał na chodniczek.
W warzywniaku na rogu podsłyszał, że wyskoczyła z piątego piętra. Była naga, miała na sobie stary czarny kapelusz i skórzane botki. Ponoć zrobiła to z miłości. Fuj...
Wariatka.

Alicja Korek

Dla Tej, co przepasała me ramię swą chustą.

Mała Wydra przedzierała się przez zieloną gęstwinę dzikiej latorośli z wielkim wysiłkiem, a złote promienie z równym trudem co dziewczynka przebijały leśne poszycie, rzucając na nią zielono - bursztynowe światła. Małej trzepotało serduszek. Dawno już nie zapuszczała się tak daleko od rodzinnego osiedla, do tego nigdy, ale to przenigdy sama. Pomimo że miała niecałe dziewięć lat, pojmowała że robi źle, oddalając się tak bardzo od rodziny, mając świadomość późniejszych konsekwencji. Jej ojciec – brat wodza i osoba wpływowa w starszyźnie nie może sobie przecież pozwolić na ignorowanie jej karygodnego postępu. Nie był on jednak bez winy, z czego również sobie doskonale zdawała sprawę. Jej matka, Biała Orlica zmarła przy jej narodzinach, więc cała odpowiedzialność i tak spadnie na niego – przecież sam ją regularnie wysyłał do na zajęcia z zielarstwa, a tam, w tipi starej szamanki nie było mowy o samych jeno miksturach i naparach. Starsze koleżanki opowiadały jej pewną historię, podczas gdy nauczycielka mieszała w wielkim kotle pewien wywar z ziół, przymknąwszy ucho na szemrania adeptek.. Opowieść wpłynęła w takim stopniu na wyobraźnię Małej Wydry, że ta postanowiła sama zbadać, co tak naprawdę kryje w sobie puszcza. Dziewczyny opowiadały jej nieprawdopodobną historię o jaszczurzych przybyszach, którzy pojawili się z obcych krain, a duchy ich krążyły wokół osady. Widziała je ponoć szamanka w równonoc i od tej pory nie wysuwa nosa poza palisadę. Jaszczurzy przybysze sto lat temu pojawili się znikąd w lesie i zostali odparci przez jedno słowo wypowiedziane przez Białego Ducha Lasu. Od tamtego czasu bez wythnienia nawiedzają one teren raz do roku. Mała Wydra nie znała strachu i ułożyła przebiegły plan, który pomógłby jej w zwiedzeniu wspomnianych obcych krain, zamieszkałych przez jaszczurzych przybyszów. Marzeniem jej było poznać inne okolice, tak więc postanowiła przecześć do równo nocy, by udać się z prośbą o pomoc do samego Białego opiekunczego Ducha Lasu, zamieszkującego pobliskie bagna. Codziennie sprawdzała poziom cienia na szyi Mądrego Myszołowa, który jako totem sprawował funkcję kalendarza. Tylko tym spotkaniem żyła, i nic nie było jej straszne, gdy tak samotnie, z dziarską miną przebijała się przez chaszcze, jak mały promyk zachodzącego słońca.

Niebo już szarzało i spomiędzy koron drzew wychylały się pierwsze gwiazdy. Wiotkie ciało dziewczynki drżało w wieczornym powiewie. Mimo panującego niepokoju i narastającego chłodu, z uporem parła przed siebie, nie myśląc o odwrocie; wiedziała że jest już blisko...

Przed jej oczyma zatrzepotał białoskrzydły wielki motyl, by zniknąć w chwilę później pomiędzy gałęziami sędziwej brzozy. Żaby zewsząd rozpoczęły swą wieczorną serenadę.

Tuż za tymi pałkowatymi drzewami musi być trzęsawisko, szacowała dziewczynka. Istotnie - za szeroko rozciągającym się rzędem wierzb płaczących, znajdowała się polana pełna starych drzew i próchniejących, zwalonych kłód. Podłoże tam było miękkie i za każdym krokiem wydawało się coraz to bardziej podmokłe. Dalej nie było co iść.

Mała Wydra wzięła się dziarsko za boki, zrzuciła z ulgą torbę pod nogi i pokreśliła ze znużeniem swą dziecięcą główką. Opieła ją sobie wełnianą opaską, szytą w czerwono - niebieski wzór. Dziewczę było kruczowłose, a gładkie i lśniące splety sięgały niemalże do ramion. Grzywka była równo przycięta nad samymi brwiami. Mała ubrana była w skórzaną bluzę i grubą spódnicę sięgającą po same mokiasy. Mimo zmęczenia jej oczy błyskały z podniecenia. Rzuciła bystre spojrzenia to tu, to tam, ciekawe świata. Gdzieś tu musi znajdować się Duch Lasu - zdawały się wołać. Postanowiła nie rozpalać ognia. Nie zważała na dziką przyrodę. Stała na pniaku, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum listowia. W tle cichej, szeleszczącej mowy drzew przewijał się rechot żab i monotonny dźwięk cykad. Niekiedy zazgrzytała do swej sąsiadki stara wierzb, swym ciężkim od wiekowego balastu konarem. Gdzieś zafurkotał nocny ptak i później żałośnie jęknął.

Las ją witał zapachem mokrej ściółki. Szumiącymi koronami drzew. Wszechobecnym spokojem i snem. Dostojnym pohukiwaniem sowy.

Przemawiał do niej głosem cichym zrozumiałym, ale nieco niewyraźnym. Jakby mówił z innym akcentem... „Witaj dziecko. Spójrz na starca.”

-Otwórz oczy - powtórzył głos mocniej.

Człowieczek stojący na pniaku podniósł powoli powieki. Ujrzał w zielonkawym świetle bijącym z przegnitych pni, Białego Ducha Lasu.

* * *

Chciała wydobyć z siebie jakiegokolwiek dźwięk. Nie była w stanie. Oto przed nią stała sędziwa postać znana jako duch opiekuńczy, dawca mądrości. Postać owinięta była solidnym, lnianym, mocno poszarpanym na krawędziach płaszczem, tańczącym lekko w nocnym powiewie. Sylwetka Ducha Lasu była majestatycznie wyprostowana, kryjąc uroczyście dłonie w rękawach szaty. Strąki siwych włosów falowały na kopule jego wysokiego czoła. Ciemnobrażowe oczy czujnie obserwowały dziewczynkę - oczy które zdawały patrzeć się na nią od samych jej narodzin. Błada, wąska szczeka pozbawiona była zarostu. Pod solidnym, wydatnym nosem płasł delikatny uśmiech.

Postać bezszelestnie zbliżyła się do małej figurki stojącej na pniaku i bez słowa wyciągnęła ku niej swe sękaty dłonie. Mała Wydra bez wahania dała się jej podnieść lekko.

Obraz przed oczami dziewczęcia zafalował i załamał się w najgłębszą czerń. W uszach jej zaszumiało. Szumowi temu towarzyszył wszechobecny plusk wody. Poraził ją przerażający blask. Źródłem światła okazało się górujące na widnokręgu słońce.

Znalazła się w umyśle młodego mężczyzny, odbierając wszystkie jego bodźce, natomiast on nie był świadom jej obecności. Nie miała żadnej kontroli nad nowym ciałem i czuła się biernym świadkiem, jak niemy obserwator. Wiedziała, że już od dłuższego czasu jest on w podróży. Nie znała jednak jej celu, ani źródła. Pomimo jego sporego wycieńczenia, czuła znaczną siłę fizyczną tryskającą z mięśni młodego człowieka. Znajdowała się na tyłach wielkiej podłużnej, drewnianej łodzi, płynącej po bezmiarze głębokich wód, o których tylko dane jej było słyszeć z opowiadań. Czuła, że twarz młodziana okala lekki zarost, a jego silne barki są obciążone ciężarem metalowej łuski. Zdołała zauważyć tylko, że po obu burtach siedziały dwa rzędy obnażonych po pas, mocarnych, ognisto-brodych wiosłarzy, gdy niespodziewanie mruknął do niej ktoś zza pleców.

-Ulgraf nie będzie ze mnie kpił w ten sposób - odezwał się, plując przy tym ohydnie posępny jednooki brodac. Mówił językiem, którego nie znała, jednak doskonale rozumiała. Dziwiło ją wszystko, a najbardziej to, że ludzie mogą być tak bladzi i tak jasnowłosi, jak ci na statku.

-To myślasz, że on jeszcze żyje? - odparła bezwiednie Mała Wydra, nieswoim głosem.

-Ha! Nikt nie będzie kpił ze starego Huunvay'a! - ryknął nieprzyjemny, jednooki typ. - Tam nie ma nic, najwyżej samo leże Le-wiatana, gdzie drakkary Ulgrafa pewnikiem służą mu za podnóżek!

Po tych słowach nastąpiła pauza, w czasie której ten, co się zwał Huunvay'em, popatrzył tępo swym jedynym bładoniebieskim okiem na rozmówcę; oto po tuzinie dni i nocy rejsu rozległ się cichy, niesiony słonym wiatrem śpiew przybrzeżnego ptactwa.

-LAAAAAD!!! LAAAD!!! - wrzasnęła naraż histerycznie załoga przy wiosłach...

-Te mewy... - skwitował niskim głosem młody podróżnik, uśmiechnąwszy się lekko. - Coś ich w ostatnich dniach za dużo latało po

okolicy, nie sądzisz czcigodny Huunvay'u?

Jednooki typ w odpowiedzi zazgrzytał nerwowo zębami. Jednocześnie wtedy podwaliny świata zaskrzypiały, jakby wszystkim bogom naraz zabolęły zęby.

Cały świat skręcił się w tańczącą spiralę i ponownie zapadł się w cichą otchłań najdoskonalszej głębi chaosu, gdzie nie ma kolorów, powonienia, dźwięków. Mała Wydra usłyszała zupełnie znienacka narastający szum, jakby huk kropel bijących o listowie. Jej włosy były mokre. W istocie padał na nią drobny deszcz. Znalazła się po raz kolejny w sytuacji podobnej jak uprzednio, tylko w zupełnie nowym wcieleniu. Teraz stała się młodą kobietą, o długich, kruczoczarnych włosach, splecionych w dwa warkocze spięte rzeźbionymi pysznie drewnianymi ringami. Było późne pochmurne popołudnie. Znajdowała się na skraju sosnowego lasu, nieopodal plaży, ukrywając się przed czymś, lub przed kimś pod rozłożystymi liśćmi brunatnozielonej, przyziemnej rośliny. Kobieta rozglądała się nerwowo; na plaży za zasłoną deszczu, w tle wzburzonych wód morza ujrzała sporych rozmiarów płonące potworne sylwetki, leżące na swych podłużnych brzuchach. Mimo płomieni wysoko wznosiły swe straszliwe jaszczurze paszczęki, osadzone na długich szyjach. W ich pobliżu błyskało całe mrowie postaci w metalicznych pancerzach, które walczyły z kimś zaciekle. Były uzbrojone w okrągłe tarcze i długie, lśniące ostrza. Ci, z którymi owi napastnicy walczyli, byli wojownikami jej ludu. Mała Wydra momentalnie ich rozpoznała, mimo dzielącej odległości, po bojowych pióropuszach i tomahawkach. Była zrozpaczona, że nie jest w stanie nic zrobić, by im pomóc. Wyraźnie przegrywali potyczkę.

Gdy ostatni wojownik padł pod ciosami wroga, kobieta z przerażeniem rzuciła się do ucieczki. Została spostrzeżona przez jednego z pogromców, który momentalnie wraz z kilkoma innymi, rzucił się za nią w pościg z niehumanicznym śmiechem. Odgłosy pogoni nasilały się coraz to bardziej. Mała Wydra wiedziała, że kobieta nie da rady daleko uciec. Nagle z wycieńczenia potknęła się o coś i sturlała po nierównym zboczu, prosto w krzew dzikiego agrestu. Poczula silne rwanie w lewej kostce. Nie była dalej w stanie iść, a co dopiero biec. Na domiar złego ponad nią, niespełna rzut dzirytym dalej, pojawiły się trzy sylwetki. Kruczowłosa panienka desperacko próbowała wstać, ale upadła. Przy kolejnej próbie, gdy jakimś cudem stanęła na nogach i zaczęła koślawo utykać przed siebie, byle dalej od nieszczęścia, ktoś zabiegł jej drogę i chwycił ją w tali. Kobieta zaczęła go gryźć, kopać zdrową nogą i drapać gdzie popadnie, ale porywacz trzymał ją mocno przyciskając do swego torsu, gładząc wolną ręką po głowie. Mała Wydra czuła, że ten ktoś jest jej bliski. Kobieta nagle uspokoiła się i złękciona spojrzała w stronę prześladowców z objęć nieznanego; byli to trzej brodacze, odziani w metal mężczyźni. Przewodził im jednooki typ, którego dziewczynka aż za dobrze pamiętała. Krwawił nieco jego bok. Warknął coś niezrozumiale na dwójkę kompanów i nie zważając na swą ranę, zbliżył się do ściganej do niedawna przez się kobiety, zacierając ochoczo ręce i chichocząc. Kruczowłosa była cały czas w objęciach obcego, który postąpił parę kroków w tył, patrząc groźnie w milczeniu na Huunvay'a. Lekkim zarostem musnął policzek kobiety, szepcząc jej do ucha jakieś uspokajające słowo.

...i nagle Mała Wydra go rozpoznała, pomimo że była uziemiona permanentną indolencją; jej wewnętrzny spokój jakimś eterycznym pomostem przelewał się w duszę młodej kobiety, która odruchowo spojrzała zmęczonym wzrokiem w czułe, mocno brązowe oczy mężczyzny. W odróżnieniu od tamtych, miał on ciemne włosy koloru dobrej, żyznej gleby. Pod jego wydatnym, kształtnym nosem zatańczył lekki, podtrzymujący na duchu uśmiech.

Kilka postaci wypadło bezszelestnie spod drzew, a młody szatyn wypowiedział głośno tylko jedno słowo, pełne radości i ulgi: imię Ulgra, rzekomo zagubionego w odmętach wielkiej wody.

Zawtórował mu pełen wściekłości ryk jednookiego bandyty, wykrzykującego w zdumieniu to imię, po czym rozległ się szczęk oręza.

Dziewczynka już nie ujrzała ani przebiegu tej bitwy, ani jej finału, gdyż niosący kruczowłosą odwrócił się od razu na pięcie i odszedł w głąb nieznanego sobie lądu.

Młodzieniec patrzył w oczy niesionej ze szczerą troską. Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie, tuląc się doń z ufnością. Oczyszczający deszcz narastał...

* * *

Zbudził ją głos ojca. Wtulona była, jak każdego poranka, do swojego ulubionego pluszaka. Obok niej spała jeszcze starsza siostra, Szybka Sarna.

Pierwszym odruchem Małej Wydry było odnalezienie spokojnego uśmiechu Białego Ducha Lasu. Odkryła niespodziewanie całą prawdę – nie musiała daleko szukać. Tym samym uśmiechem darzył ją przez całe życie jej ojciec.

Tymczasem Biały Duch Lasu powracał lekkim krokiem do miejsca spoczynku ukochanej – swego sanktuarium. Jakże Czarna Łania byłaby dumna ze swej wnuczki... Niestety! Jak na razie tutejsze kobiety są jeszcze zbyt mało odporne na tak wybuchową mieszankę krwi. On, Człowiek z Pół przywiózł ze sobą zbyt złego.... Masakra, której nie dało się zapobiec... Przedwczesna śmierć jego miłości przy drugim porodzie... to samo z synową. Nie może on, duch opiekuńczy lasu, dawca mądrości pozwalać na to, aby coś takiego dalej postępowało! Wszak polecił swe wnuczki przyuczyć zawczasu odpowiednich metod leczenia. W razie czego...

Zakopane (śniegiem, jak zwykle) I. 2006 r.

Ar'this

Różaniec

Mariusz Siedlec

Chłodniki, niewielka miejscowość w Łódzkiem. Godzina trzecia nad ranem. Za moment miały pogasnąć lampy uliczne. W ten sposób w gminie próbowano zaoszczędzić kilka złotych. Rozwiązanie to nie było zbyt mile przyjęte przez mieszkańców. Od momentu wcześniejszego wyłączenia oświetlenia w spokojnej miejscowości zaczęły się pojawiać coraz częściej nocne rozboje. A ludzie coraz mniej ufali jeden drugiemu.

Ledwo widoczne kontury postaci przemieszczały się tonącą w mroku ulicą. Gdyby nawet, ktoś próbował wpatrywać się w mrok trudno by mu było dojrzeć cokolwiek, kogokolwiek.

- Gdzieś to tu było – rozległo się w głowie. Szedł wolno szukając tego charakterystycznego miejsca, który był dla niego wyznacznikiem. Ooo... dwadzieścia jeden. Tylko tu przed wejściem na posesję walały się wszelkie możliwe odpady, których kubeł nie był w stanie pomieścić. Widać lokator od dłuższego czasu nie opłacał wywozu. Z miejsca, opierając tylko dłonie na furtce, przeskoczył ją. Po wsi rozeszło się ujadanie psów. Ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Co noc wydzierają się jak głupie słysząc byle szmer albo po prostu innego psa.

Zasłony w oknach pozaciągane, drzwi... jednak nie. Najwyraźniej pan domu zapomniał o zamknięciu drzwi wejściowych.

- Tyle mego – pomyślał. Przynajmniej nie będę musiał kombinować.

Po przekroczeniu progu do uszu wpadł dźwięk włączonego telewizora. Wolnym krokiem skierował się do źródła dźwięku. W fotelu przed telewizorem spał mężczyzna, a na ekranie puszczano jeden z tych amerykańskich „Peep Show”ów. Gołe biusty i nie tylko mięły przed oczyma. Nieco zakłopotany uczynił znak krzyża ale nie wyłączył odbiornika. Dłoń ubrana w czarną, skórzaną rękawiczkę spadła na usta śpiącego. Ten jak rażony gromem otworzył oczy. Próbował zerwać się z fotela. Jednak chłodny metal lufy pistoletu przystawionego do skroni w tym samym czasie odradzał jakiegokolwiek nieprzewidziane ruchy.

- Staraj się nie wykonywać gwałtownych ruchów – szeptał ktoś do ucha. Najlepiej nie ruszaj się w ogóle.

Napastnik zdjął rękę zatykającą usta. Wolno odsunął broń od skroni. Sięgając do zewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął taśmę izolacyjną.

- Kim jesteś? Jeśli chcesz pieniędzy to bierz, wszystkie... błagam nie zabijaj mnie – początkowo szepcząc jego głos stawał się donośniejszy i drżący. Proszę, oszczędź mnie – mężczyzna zaczynał krzyczeć przez łyż.

W pokoju zrobiło się ciszej. Uderzony w potylicę bezwładnie rozłożył się na fotelu. W tym czasie napastnik zrobił użytek z wydobytej z głębi kieszeni taśmy. Pierwsze jej fragmenty znalazły się na ustach. Dalej kilkakrotnie owinał nogi i ręce. Sięgając do tej samej kieszeni wyciągnął niewielkie drewniane pudełeczko. A z niego, po otwarciu wieczka, różaniec. Okręcił nim dłonie ofiary.

- Dość tego wylegiwania – powiedział półgłosem. Kilka plaśnięć otwartą dłonią po twarzy na powrót tchnęło życie w sflaczałe ciało. Przez chwilę ofierze dzwoniło w uszach a wzrok go zawodził. Gdy to minęło po głowie rozlał się okropny ból promieniujący aż na gałki oczne. Mimowolnie zaciskał powieki licząc, że choć trochę złagodzi ból.

Drewniany różaniec zwiślał ze złożonych jak gdyby do modlitwy dłoni. Te ciasno owinięte taśmą izolacyjną drżały. Drżenie wyznaczało kierunek w jakim kołysała się część zwisającego luźno różańca. Poczerwieniała ze strachu twarz, oczy pełne łez wołały litości. Mężczyzna pewny swego stał za ofiarą niewzruszony. Wiedział, że w ten sposób uwalnia świat od cierpienia. I daje szansę grzesznikom. Teraz stał przodem do ofiary. Z oklejonych ust wyrzywały się przytłumione dźwięki zrozumiałe tylko mówcy.

- Znasz mnie, prawda? – mężczyzna stanął w taki sposób, by światło bijące z telewizora padało na twarz rozjaśniając ją. Skrępowanemu ukazała się, przynajmniej tak mu się wydawało, twarz wielbego Pustułki. Ksiądz Andrzej Pustułka tak uwielbiany przez swoich parafian. Teraz dla swojej ofiary stał się najbardziej nienawidzoną postacią.

- A więc, wiesz już kim jestem. I co Ty na to? – kapłan spojrzał mu prosto w oczy pozwalając sobie na chwilę milczenia.

- Co tydzień uczęszczałeś na moje msze święte, Czytałeś słowo Boże... – mówiąc sięgnął wolną dłonią do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyciągnął niewielki pojemnik. Wewnątrz znajdował się olej z oliwek, poświęcony w Wielki Czwartek przez biskupa. Ten sam, który służy kapłanom do ostatniego namaszczenia.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego? – kapłan zdjął z głowy swój czarny kapelusz. Trzymając go jeszcze podrapał się po głowie. Widzisz, mój drogi. Ja wiem. Wiem o wszystkim, ale nie potrafię zrozumieć, skąd w Tobie wzięło się tyle zła? Nie pozostawiłeś mi wyboru...

Skrępowany mężczyzna wstrzymał na moment oddech. Jego przerażone, poczerwieniałe i zasłane łzami oczy patrzyły tępo przed siebie. Wydawał się być zamyślnym.

- Tak wiem, że to Ty zabiłeś... – kapłan zacisnął zęby, co dało się zauważyć po poruszających się mięśniach zuchwy. Wiesz, z początku chciałem pójść z tym na Policję. Niestety na Twoje szczęście zmieniłem zdanie. Pomyśl tylko. Trafiłbyś do więzienia na jakieś dwadzieścia lat, chciałbyś dzień w dzień robić za więzienną... panienkę? Chyba nie, prawda? Widzisz, wyświadczam ci tylko przysługę.

Mężczyzna zaczął się siłować z taśmą izolacyjną. Próbował krzyczeć, lecz nie mógł pokonać blokującej usta taśmy.

- Proś Pana naszego o przebaczenie, bo na tym świecie nie otrzymasz go od nikogo – skwitował wypowiedź

Nadal szamotającego się mężczyznę uderzył w twarz zacisnięta pięść. Po ustach rozlał się metaliczny posmak. Wiedział, że to krew. Nieraz smakował jej uczestnicząc w bójkach za młodo. Z czasem stonował trochę. Stał się spokojniejszy, łagodniejszy jakby nie ten sam człowiek. Życie zaczynało nabierać kolorów. I wtedy coś jakby w nim pękło. Wynurzyło się z mroków. Z mętnych otchłani podświadomości. Niby ten sam człowiek, miły i sympatyczny. Jednak w jego wnętrzu drzemał inny mężczyzna. Potwór mącący mu w głowie, przynoszący krwawe i wyuzdane wizje. Nie był w stanie nad tym zapanować.

- Panie Żywko, nie wysilaj się Pan. – powiedział już nieco spokojniej. Czy chcesz wyznać przed Stwórcą swoje winy i prosić Go o przebaczenie?

Dysząc ciężko mężczyzna skinął potakująco głową.

- A więc przyznajesz, że złamałeś piąte Przykazanie Boskie?

Mężczyzna ponownie skinął głową.

- Czy żałujesz tego z całego serca, z całej duszy swojej?

Jeszcze raz przytaknął.

- Dobrze więc – kapłan to mówiąc zaczął proces namaszczenia.

- Powiniennem wcześniej jeszcze zrobić Ci to samo, co ty uczyniłeś swojej ofierze – przerwał sobie na moment. Niestety, składałem śluby czystości – dodał po chwili, ale jakby bardziej do siebie.

- Przez to święte namaszczenie, niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu, wspomóż ciebie łaską Ducha Świętego. Pan, który odpuszcza Ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podzwignie.

Ponownie stanął za ofiarą. Okraszający koniec lufy tłumik przekradał się pomiędzy porastającymi głowę czarnymi włosami. Żywko poczuł na skórze potylicy chłód metalu. Wiedział już, że nie ocali życia. Nawet gdyby miał odetkane usta i tak w żaden sposób nie byłby w stanie wpłynąć na kapłana. On wiedział, że jest winny. Miał dowody, a takiej zbrodni się nie wybacza. On na pewno nie wybacz. Skrępowany taśmą izolacyjną, mężczyzna szamotał się jeszcze. Były to ostatnie podrygi żywego. Kapłan pociągnął za spust. Zamykając oczy wykonał wyrok. Broń wypaliła ledwo słyszalnym dźwiękiem. Przerwała ostatnie, żałosne próby oswobodzenia się.

Mężczyzna padł na wprost tak jak klęczał. Andrzej Pustułka przykucnął nad ciałem, odwrócił je na plecy. Musiał jeszcze raz jej użyć. Koniec broni przyłożył do klatki piersiowej w okolicę serca.

- Tobie, Boże polecamy naszego brata i prosimy Cię,
Odpuść mu grzechy, które popełnił z ludzkiej ułomności,
żył dla Ciebie.

Ojciec pełen miłosierdzia,
Aby umarły dla świata
Przez Chrystusa, Pana naszego.

Broń wypaliła po raz drugi.

- Amen – zakończył misję wykonując nad ciałem znak krzyża.

Miedzy złożone dłonie zwłok wetknął kawałek wyszarpanej strony z gazety. Spojrzał jeszcze na fragment uwidaczniającego się artykułu.

[...] 7 letnia[...]

[...] uduszona i zgwałc[...]

[...] sam wykona[...]

[...] załamani[...]

Ksiądz Andrzej nałożył na głowę czarny kapelusz. Wstał i wyszedł z mieszkania niknąc w mrokach nocy.

Mariusz Siedlec

SKRAWEK POEZJI

Calendula officinalis :: Słowa

słowa
rozciągają się dziwnie
zakręcone w odbiciu
na moim oku
płynie myśl osobna
że może tak właśnie
ma być zamknięte
w szufladzie wiszą duchy
i kartki z wakacji zapisane
rzeczywistością potarganą
przez dłonie zwiędłe
z nadmiaru młodości

słowa
zawijają się
dookoła
moich myśli

słucham cię i sądzę
że niedługo zrozumieć
co miał na myśli
wiatr dmący prosto w palce

Czarna Materia

Jack Craven

*„don't cry
don't feel
don't die, because i don't think that's real”*

Tweaker

„Więc chodź, są światy lepsze niż ten.”

Stephen King, Mroczna wieża

1.

Rosalyn Waters miała bodajże kilkanaście lat w chwili kiedy straciła ojca. I matkę. I brata. Dokładniej braciszka. Tamtego dnia liczył sobie zaledwie cztery latka. Poeta mógłby powiedzieć: kolejne cztery kartki bezsensownie wyrwane z kalendarza życia, a nihilista, że to wszystko i tak jest gównem. Dla niej znaczyło to dokładnie cztery lata, ani chwili dłużej, lecz na poszarpanym skraju tamtego okresu chwil było pewnie aż w nadmiarze. Błąkających się bez sensu niczym zagubione dusze.

Chociaż różnica wieku pomiędzy nimi wynosiła jakieś dziesięć lat, to w końcu jednak pokochała tego rozwrzeszczanego dzieciaka, który wyrastał powoli na młodego mężczyznę, nowego pana domu; dzieciaka, który niejednokrotnie targał ją za włosy opryskując ściany owsianką. Z czasem zdała sobie sprawę, że tak na prawdę kochała go mocniej niż kogokolwiek innego. Ta prosta świadomość dodawała jej przemieszanej z bólem otuchy, za każdym razem kiedy zaczynała o tym myśleć. Wpierw nienawidziła Bobby'ego, z troski o pozycję jedyne dziecko w domu. Ale wraz dojrzewaniem przełknęła to strącenie z piedestału, tak jak przełykała jego nocne awantury o karmienie i nieznośny charakter. Nawet ogromny przełom czasu, który wtedy wbił się w jej życie, rozdzielając na dwie części niczym ciało od kości, nie był w stanie tego wrażenia zatrzeć. Dwadzieścia lat, a ona wciąż jeszcze na tym ulotnym skraju jawy i snu, na chwilę przed przebudzeniem, ale dopiero za moment, widywała nastoletnią siebie patrzącą przez kuchenne okno na podwórko przed domem, gdzie zwykł bawić się miniaturowymi ciężarówkami, które ładował piaskiem i z pomrukiem przeciągał po chodniku. I w tych snach pachnących błękitem i świeżym praniem, zawsze był to słoneczny dzień.

Wszystkie dni wydawały się wtedy słoneczne, jakby wysnute wprost z krainy Oz, aż w końcu nastał ten jeden. I był to dzień, w którym zgasło słońce. Być może moment, jeden z pośród wielu, zupełnie czarny i lepki od brudu, był momentem, który stanął najdalej na skraju owej rozpadliny, pomiędzy życiem wtedy, a teraz. Nawet jeśli 'teraz' zaczęło się dokładnie 'wtedy.'

Dwie minuty wcześniej zegar w kuchni, gdzie zazwyczaj wspólnie jadaliby obiady, wybił pierwszą. Ale ten fakt wyparował jej z głowy niemal natychmiast i nawet po dwudziestu latach dalej nie było jej dane go sobie przypomnieć; wypchnięty faktami ważniejszymi – na przykład czemu mamusia jest taka

(bru-d-na)

brudna, albo - czego głowa mamusi szuka w zlewie?

Stało się to w czasie jednego z tych upalnych, lipcowych popołudni na ich farmie w środkowym Maine, gdzie słońce świeci nawet w nocy, a kukurydza jest najlepsza na świecie; tryskająca słodkim sokiem spomiędzy zaciskanych szczęk. Gdzie niebo jest tak niebieskie i tak piękne, że warto w nie spojrzeć i umrzeć jak w tej starej piosence.

2.

Butch Waters grzebał pod maską swego starego pickupa od Dodge'a klnąc na czym świat stoi, przez te pieprzone silniki diesla i jeszcze bardziej pieprzone klucze nasadowe, które za nic w świecie nie pasowały do śrub, choć zapłacił za nie grubo ponad trzydzieści dolarów.

...stevens rzuca do andersona!.. bieg do bazy!.. red sox'i prowadzą jednym punktem podczas gdy!.. anderson rzuca!.. niesamowicie proszę państwa, nigdy nie widziałem czegoś takiego!.. to wprost!..

Radio głęboko skryte w mroku jego warsztatu od kilku dnia charczało jakby nabawiło ostrej gruźlicy połączonej z przewlekłym zapaleniem gardła. Oczywiście wykluczone było, aby mogło się tego nabawić na drodze zakażenia innego niż wykonana po omacku próba przestrojenia stacji, co zaowocowało niemal ułamaniem mu antenki. Wprawdzie to nie musiało się tak skończyć, gdyby tylko Butch pozbył się tych paru desek, którymi pozabijał zeszłego lata okna w obawie, że jesienne burze wytluką z nich szyby i zamienią jego warsztat w pieprzone pobojuwisko. Oczywiście burz nie było, ani jednej nie licząc opadów deszczu na przełomie września i października, ale one mogły co najmniej zniszczyć okazy ozdobnego groszku jego żony. A deski pozostały nienaruszone tak ręką, jak i słowem przez kolejne siedem miesięcy. Przypomniawszy sobie o tym akurat w zeszłą środę, trzymając w dłoni wygiętą o siedemdziesiąt stopni antenkę radia, w którym audycja na temat tych pieprzonych komuchów natychmiast zesłała do poziomu niewyraźnych szumów i charkotów. A chciał po prostu dostroić stację. W drugiej ręce trzymał nasadową siódmkę przez chwilę zastanawiając się, co z nią zrobić, czy może lepiej nie robić z nią niczego, czego będzie potem żałował, a którą opuścił w końcu na urządzenie wgniatając jego metalową obudowę do środka. Bynajmniej nie poprawiło to jakości odbioru, poprawiło natomiast jego humor.

W chwili gdy Sox'i zdobywali czwartą bazę, czego on oczywiście nie słyszał, bo na tę chwilę audycja zniknęła pomiędzy pasmem zakłóceń, zdołał jedynie wygramolić się z pod maski samochodu, by rozciągnąć kości. Odszedł parę kroków w lewo i wkroczył w jasny promień światła wlewający się do środka przez szparę w przekrzywionych deskach. Spojrzał na zegarek. Była za trzy pierwsza i praktycznie powinien się teraz związać do domu na obiad, o czym w kapitalny sposób informował go jego burczący brzuch. Jednakże nic nie mogło burczeć głośniejsze od Butcha Watersa we własnej osobie, którego zdaniem najpierw trzeba było sprawdzić tę pieprzoną pompę paliwową, a dopiero potem pozostałą w odłogu resztę świata, nawet jeśli ograniczała się ona tylko do klopsików jego żony.

Ruszył do kabiny pickupa podczas gdy pół jaru dalej Meryl Waters odsączała już kukurydzę od wrzątku w ich kuchni, którą oboje wykładali ceramicznymi kafelkami od Johnsons'n Wesson po ('pieprzone') pięć dolarów sztuka. Kopał zużyte puszkę po oleju silnikowym, które toczyły się po zapiaszczonej podłodze na wszystkie strony i przeklinał w duchu tę cholerną pompę i Wilsona, który niby wspinałomyślnie opchnął mu ją w mechanicznym z trzydziestoprocentową zniżką. Pewnie zatkała się, ale do cholery pompa kupiona miesiąc temu zatkać się nie powinna! W poniedziałek pojedzie do tego starego capa i wetknie mu to ustrojstwo prosto w zadek, jeśli ten stwierdzi, że powinien sobie przeczyścić najlepiej cały układ paliwowy ze śmiecia.

...nasz korespondent donosi, iż... dlaczego... wojska radzieckie... służby dyplomatyczne... niewiadomo... to największy... od czasów kryzysu kubańskiego...

- Pieprzona polityka – mruknął ocierając zatłuszczone smarem ręce w roboczy fartuch, zdaniem Meryl – najtłustszy fartuch na świecie, choć co ona tam wiedziała. Tłusty, roboczy fartuch i samochód z zepsutą paliwową pompą to brzemię każdego, prawdziwego mężczyzny. Przystanął na chwilę wsłuchując się w słowa radiowego spikera rwane częstotliwością na strzępy.

Splunął na ziemię i powoli wgramolił do kabiny. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał. Przekręcił raz jeszcze. I jeszcze. Kiedy w końcu zaczął sobie zdawać sprawę, że prędzej rozwali przednią szybę czołem, niż cokolwiek się stanie, nagle w układzie coś zaskoczyło, a z rury wydechowej trysnęły błękitne spaliny. Wcisnął gaz i stary diesel zawył. Uradowany klasnął w dłonie, a potem walnął mocno w kierownicę; po klaksonie, który i tak nie działał. Wysiadł z samochodu i obszedł go z lewej. Była to stara półciężarówka Dodge'a z 58' o lakierze koloru spłowiałej zieleni i wymienianych w zeszłym roku, brązowych błotnikach z przodu. Tylne koła wisiały w powietrzu na wysokości przeszło trzydziestu centymetrów. Powinien wydawać się zdziwiony, ale się nie wydawał, bo oczywiście sam je tak ustawił; rusztowanie z cegieł i desek, na którego widok każdy inspektor pracy najprawdopodobniej złapałby się za głowę, wznosiło tył samochodu na tyle, aby koła nie buksowały w piachu, kiedy wciskał gaz sprawdzając silnik (co między innymi miało go uchronić przed wjechaniem tym żelastwem w tyłek własnej żony).

Butch Waters mruknął coś pod nosem, prawdopodobnie, że albo potem naprawi to pieprzone radio, albo już nikt go nigdy nie naprawi i wycofał się w kierunku silnika. Niewiele go to obchodziło, niewiele cokolwiek go teraz obchodziło, jeśli nie było bezpośrednio związane z jego obecną robotą.

Otarł wargi wierzchem dłoni i po namyśle schylił się w poszukiwaniu cegieł. Znalazł cztery, zebrał je pod ramię i kolejno władował do kabiny Dodge'a sumiennie kładąc na pedale gazu, dociskając do podłogi. Ostatnia cegła załatwiła sprawę. Szum radia utonął w wirowym ryku silnika, być może samo radio w ogóle przestało grać, bo spaliny wydechu zwyczajnie zdmuchnęły je z krzesła.

Wyprostował się drapiąc po głowie. Po namyśle podszedł do trzęsącego się silnika, by znowu wleźć pod maskę. Zaburczało mu w brzuchu, ale skwarze buchającym z diesla nawet tego nie poczuł. To na pewno ta pieprzona pompa, był tego pewny. W poniedziałek nawet będzie kwestionował jej stan u Wilsona, tylko zwyczajnie wepchnie mu ją do gardła albo...

Oparzył się w rękę o jeden z syczących tłoków i z krzykiem poderwał do góry uderzając potylicą w klapę od wewnątrz. Nawet nie zdawał sobie sprawy, kiedy konstrukcja z cegieł i desek runęła, a wraz z nią koła jego auta, które zaryły głęboko w piachu spiąc pióropusze pyłu.

3.

- Bobby, przestań piszczeć.

Bobby radośnie zapiszczał znowu, wierząc się na krzeselku.

- Hej Bobby? – spojrzała na braciszka wykręcając twarz w komicznej minie. – Hej Bobby, chcesz zobaczyć uśmiech kota?

Roześmiała się serdecznie, kiedy jej nie zrozumiał.

Niespełna czternastoletnia Rose siedziała właśnie przy nakrytym stole w kącie kuchni i czekała na tatę pałaszując stek. Krzyk ojca i hałas jakby walącego się domu rozmył zastygłą ciszę dusznego południa, niczym rozpuszczalnik farby olejnego obrazu. I choć świat kuchni nie zmienił się wcale, to coś niewidzialnego przesunęło się wewnątrz ich wszystkich zostawiając po sobie zasysającą próżnię. Bobby, dotychczas babrzący się w marchewce z groszkiem, poruszył się niespokojnie na swoim krzeselku po drugiej stronie stołu. Mama zabrała go z siedziska i podeszła do okna nad zlewem, jedną ręką rozgarniając firanki, drugą podtrzymując małego, by nie spadł. Od rana chodziła podenerwowana, jakby nad tą rodziną zawisło coś ciemnego i gęstego, na podobieństwo burzowej chmury o krok od ulew. Rose widziała to w jej oczach, kiedy nakładała porcję puree na talerz ojca. Potem nie miała czasu, aby rozpatrywać te zagadnienie swojej głowie,

(„jak się czujesz?”)

(„doskonale, skarbie, jeszcze steku?”)

dojść do tego, że kobiety przed okresem czasami wyczuwają zmiany atmosfery w około osób bliskich. Sama była jeszcze pół roku przed swoją pierwszą miesiączką. Na odkrycie, że matkę z córką powinna łączyć specyficzna więź emocjonalna, podświadome połączenie psychiczne niczym kabel telefoniczny, i że czasem po tym kablu przeskakuje iskra, miała kolejne trzy, albo i więcej lat. Jednakże wyczuła, czymkolwiek to było, bo niosło ze sobą pewne znaczenie i świadomość tego w mgnieniu oka odebrała jej cały apetyt na obiad.

Świat kuchni widziany z perspektywy stołu nie zmienił się wcale. Potem rozedrgał wraz z basowym rykiem silnika, który zbliżał się i przybierał na sile, aż w końcu stał się całym tym światem. Właśnie wtedy na ułamek sekundy zgasło słońce, choć tak naprawdę to przysłoniła je mama, która z Bobbym na rękach odbiła od zlewu i rzuciła się biegiem w poprzek kuchni. Krzyczała. Być może.

Widelec z niewielkim kęsem steku zatrzymał się w połowie drogi do jej otwartych ust.

Świat pękł na dwoje, od lewej ściany do prawej, niczym mocno uderzona szyba i oba spękane obrazy zaszyły na siebie, jakby nagle zawieszono je w próżni. Jednakże szczelina przebiegła na innej płaszczyźnie, skontaktowała Rose wiele lat później. Strzeliła w połowie kuchni. Pomiędzy nią a biegnącą mamą zastygła w bez ruchu stop klatki z jej braciszkiem na rękach. Świat fizyczny nie zmienił się wcale, choć był niczym kraina czarów obserwowana z perspektywy drugiej strony lustra.

Później zaczęli pojawiać się obcy ludzie. Pojawiali się i odchodzili. Jak gdyby całe jej życie stało się nagle karuzelą, do której każdy miał karnet i chciał się przejechać.

Jakiś policjant, który wyglądał na szeryfa i jak szeryf się zachowywał, stwierdził, że był to bardzo nieszczęśliwy wypadek. Zapalił pall malla i zapytał któregoś z kolegów – 'Co teraz pocznie ta mała, zupełnie sama na świecie?' – Kolega nie odpowiedział. Patrzył na stertę gruzu i desek, w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się kuchnia i salon domu rodziny Watersów; teraz jedno wielkie pomieszczenie, teraz kopiec z pogiętym багаżnikiem odrapanego Dodge'a z 58' sterzącym w górę niczym jakiś groteskowy pomnik. Upił tyk kawy i poszedł. Potem odeszła cała reszta i została całkiem sama.

W dwadzieścia lat później dzień dziesiątego lipca także był słoneczny. Rosalyn Waters zmywała naczynia po późnym śniadaniu w swoim domu na przedmieściach Pleasant View w Vermont. Tak naprawdę nie nazywała się już Rosalyn Waters, a Rosalyn Horn. Roger siedział z tyłu przy stole i czytał The Vermont Tribune nieustannie marszcząc brwi.

Odstawiła ostatni talerz na suszarkę i zakręciła wodę. Obróciła się do niego akurat kiedy przewracał na stronę działu sportowego.

- Musimy porozmawiać – powiedziała zdejmując gumowe rękawiczki z dłoni i przewieszając je przez kran.

- Mhm? – mruknął nie odrywając wzroku od kartki.

Oparła ręce na biodrach w geście zrezygnowania. Była niewysoką blondynką o rumianych policzkach, po ostatniej zimie zaokrągloną w biodrach nieco bardziej niż kiedyś. Wyszczuplające rajtuzy i spodnie przestały dawać rezultat już dwa lata temu, ale on nie zwrócił na to nawet uwagi. Typowy facet po łokcie urobiony w swojej pracy, jasne. Pytanie na dziś brzmiało, czy takie zachowanie było domeną wszystkich prawników, czy tylko jej męża?

Przewrócił na kolejną stronę.

- Czytam prognozę pogody.

Rosalyn w zadumie zmarszczyła czoło.

- Roger, trzeba wymienić okap nad kuchenką, cały ocieka brudem i nawet nie wyobrażam sobie, co się stanie po zdjęciu wywietrzników – choć tak naprawdę wyobrażała sobie całkiem szczerze. Wystarczyło, że zamknęła oczy i już widziała te zwały tłustego osadu

ściekające po jej palcach, kiedy próbuje zdjąć spodnią klapkę.

- Wyczyść go – odparł bez emocji. – Wiesz, jutro wieczorem będzie padać. Chyba nici z golfa z Maxem.

- Roger, ale ja nie znoszę brudu. Wiesz, że obrzydzenie mnie bierze na samą myśl...

Przerwał jej w pół zdania:

- A ja nie znoszę tracić czasu na duperele, podobnie jak pieniędzy na wciąż nowe okapy - opuścił gazetę i popatrzył rzeczowo na żonę. – Kochanie, masz trzydzieści cztery lata i brzydzisz się zdjąć okap.

Wrócił do lektury, więc usiadła naprzeciwko niego i sięgnęła po gazetę. Umknął przed jej palcami i czytał dalej.

- Ale ty jesteś moim mężem – ciągnęła dalej. – I powinienś pomagać mi od czasu do czasu do domu. Popatrz na Waltera, on pomaga Megan we wszystkim – starała się ująć to jak najdelikatniej, ale Roger i tak ją wyśmiał.

- Dziwisz mu się? Jest bezrobotny, całymi dniami obija się po domu – parsknął. – Gdyby jej nie pomagał, to chyba padłby od nadmiaru piwa i telewizji. Jak ty w ogóle możesz mnie z nim porównywać, jego ze mną? Naprawdę sądzisz, że ja mam tyle czasu, aby marnować go na porządki? Ile razy, już ci o tym mówiłem? U nich Megan zarabia, on sprząta. Tutaj ja zarabiam, a sprzątasz ty. To chyba sprawiedliwy podział obowiązków, nieprawdaż?

Dziwiła się sobie, że w ogóle poruszyła ten temat. Powinna była wziąć pieniądze i zamówić na jutro fachowców, kiedy byłby w pracy. Znając jego spostrzegawczość, nie domyśliłby się tego nigdy, nawet jeśli przywaliłby w nowy okap głową.

Zagryzła wargi w geście niezdecydowania, które natychmiast zabarwiły się zgrozą na bordowo. Potem popatrzyła na niego i nagle dotarło do niej, że on już chyba się wypalił, że już jej nie kocha. Otwarta prawda uderzyła ją w serce niczym cios dłonią w twarz, ale nie otrzeźwiła. Rosalyn Horn, niespełna trzydziestoczteroletnia kobieta, od 8 lat małżonka, nie wiedziała, co odpowiedzieć swojemu mężowi, podczas gdy dzieliła ich zaledwie powierzchnia niewielkiego stołu. Chciała go ująć za dłoń, ale zrezygnowała. Zdawał się być teraz tak daleko od niej, jakby w innym świecie, że ciężko było określić, czy pokonanie błatu może dać właściwy rezultat. Wiele razy próbowała o tym myśleć, być może nawet bardziej nie myśleć, niż myśleć. W tym tkwił problem? Obchodziła ten temat szerokim łukiem, podczas gdy Roger niezmiennie spał na swojej stronie łóżka, odwrócony do niej plecami, a pas pościeli, pod którym niezliczona ilość razy leżała na sobie, teraz zupełnie beznamiętny, ciągnął się pomiędzy nimi niczym granica ziemi niczyjej. Znacznie głębsza niż blat tego kuchennego stołu. Może nawet głębsza niż cały Wielki Kanion. Ponieważ to było ich łóżko, nie jego i nie jej. Ich. Razem je kupowali, powinni razem na nim sypiać. Myśl o tym, że może Roger ma kochankę, kiedyś wydająca się tak abstrakcyjna, że w ogóle nie brała jej pod uwagę, teraz sprawiała wrażenie bardzo bliskiej. Przerażająco bliskiej. Czyżby miał swój własny świat, do którego nie przyznał jej kluczy? Raz, czy dwa znalazła ślady szminki na kołnierzu jego koszuli, owszem, ale to przecież niczego nie dowodzi. Może jakaś kobieta, nachyliła się nad nim zbyt mocno, spotkał przyjaciółkę z mężem. Mnóstwo możliwości.

Naprawdę w to wierzysz?

Nie chciała o tym myśleć, nie chciała, bo takie myślenie bolało, jakby poszczególne jego wątki porastał kolczasty drut. Nie chciała nawet brać pod uwagę ewentualności zdrady, ani tego, że ich związek cuchnie, bo któregoś dnia zaczął po prostu gnić. Nie była w stanie. Patrzyła bez słowa na ślubną obrączkę, którą wkładał jej na palec pamiętnych osiem lat temu i łapała w nią rozbłyśki popołudniowego słońca.

To, że ich małżeństwo przeżywa jakąś zapaść, dotarło do niej już dawno. Jednak wpięć zrzuciła to na barki kryzysu wieku średniego Rogera, ale potem pojęła, że na to było jeszcze za wcześnie. Sprawiał wrażenie człowieka idącego po linie bez zabezpieczeń. Zamknął się w sobie i wyciszył, ograniczając rozmowy do niezbędnego minimum, jakie narzucało małżeństwo. Cześć, cześć, kiedy obiad? Zauważyła, że zaczął pić więcej niż kiedykolwiek wcześniej, choć jeszcze ani razu nie przyłapała go pijanego, podczas gdy zapas w barku magicznie opróżniał się za jej plecami, pod jej nosem. Kiedy o to pytała, zaprzeczał.

Potem przestali ze sobą sypiać. Wpięć wykręcał się zmęczeniem. Naciskała, więc kładł się spać wcześniej albo zasypiał na kanapie w salonie, podczas gdy ona godzinami patrzyła w błądy sufit sypialni, nie umiejąc zrozumieć, co się do cholery właśnie dzieje, czy dzieje w ogóle, ale pewnie nie dzieje się nic, dlatego śpij dziecko, a jutro wszystko będzie dobrze. Ale jutro następowało takie samo, jak i wczoraj. Budziła się sama albo z kłód Rogera odwróconego tyłem. Był taki sam, choć zarazem jakiś inny, czego nie potrafiła zrozumieć dotykając dłońmi jego pleców, bo wciąż czuła pod koszulką to samo ciało własnego męża. Być może 'jutro' nie następowało wcale i wciąż ciągnął się ten sam dzień. Setki, zamiast dwudziestu czterech godzin. Ciągłe jeden długi poniedziałek.

- Kochanie... - odparła przełamując ciszę. Usta wygięła w drżącą podkówkę. Nigdy nie potrafiła ukryć swojego rozczerwienia, gdzieś wewnątrz wciąż była małą dziewczynką, która

(wpęzła do kuchni. A lodowata woda obmywała jej kostki, kiedy powoli szła do poskręcanego ciała swojej matki, na którym zaczęły zakwitać róże)

potrafi rozryść się o byle drobiazg pokroju ułamanego paznokcia albo przypalonej pieczeni. Głęboko w jej głowie prawdziwa Rose, Waters nie Horn, miała nadal kilkanaście lat i włosy splecione gumkami w blond kucyki.

- Idę na spacer – nieoczekiwanie odezwał się Roger i wstał od stołu składając gazetę. Wyminął ją, by wyjąć mleko z lodówki. Siorbiąc, upił kilka łyków i odstawił karton na kredens. Patrzyła na niego z głęboką dezaprobatą. Co się stało Roger? Czemu zdrowo sobie nie bekniesz? Uczulała go, żeby tak nie robił. Nie siorbał i nie zostawiał napojów w całym domu, ale on dalej robił swoje. Jej słowa trafiały gdzieś obok, albo nie docierały do niego wcale. Siorbał, bekał i odchodził, a ona sprzątała po nim bałagan, kiedy oglądał wiadomości z nogami wciągniętymi pod sam telewizor. Zagryzła wargi.

- Kiedy będziesz? Na kolację robię łosiosa na parze – odparła z trudem opanowując rozedrgany głos.

- Nie czekaj na mnie. Może zahaczę o Roberta i skoczmy na piwo – odburknął drapiąc się po głowie. – Łosiosa możesz zrobić jutro.

Wtedy stało się coś nieoczekiwane, obcego zarazem, bo nigdy nie odkryła w sobie takiej świadomości. Poczula jak zimna igła zatopila się gdzieś pod jej sercem, a potem rozpalila do czerwoności zrzesząc złote iskry. Gorycz i ból były jak beczka trotylu, która niespodziewanie zajęła się ogniem. Krew powoli cofnęła się z jej głowy, a potem wróciła z zadziwiającą siłą podrywając na nogi.

- Specjalnie na dzisiejszy wieczór kupiłam tego łosiosa, Rogerze Horn i jeżeli nie masz ochoty zjeść go ze mną, zjem go w takim razie sama! – rzuciła w jego stronę i tym razem trafiła, bo Roger znieruchomiał. Przez chwilę zdawało się jej, że szczeka męża sięgnie poziomu kolan niczym wilczkowi w kreskówkach Warnera. Patrzył w jej stronę szeroko otwartymi oczyma, podczas gdy ona spłótła ręce na piersiach i dodała:

- Może schowałbyś mleko z powrotem do lodówki, skoro już raczyłeś je z niej wyjąć?

Wraz twarzą Rogera świadczył, iż nie za bardzo wiedział, jak teraz postąpić albo czy postąpić w ogóle. Kłapał tylko ustami i przełknął ślinę, zaskoczony jej niespodziewaną zaciekłością. Sprawiał wrażenie, jakby nie doszłyśła, a było to raczej wątpliwe po tym, jak mocno podniosła swój głos, co robiła rzadko od początku małżeństwa, prawdopodobnie nigdy.

Pomyślała z satysfakcją, że nareszcie coś go zatkało i po raz pierwszy dzisiejszego dnia, być może po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna, uśmiechnęła się do siebie zupełnie szczerze. Nakrzyczyła na niego i boże, jej jaźń buzowała właśnie od koktajlu z porzeczki triumfu i skrajnej paniki, którego smaku nie zaznała nigdy wcześniej.

Roger zamrugał jakby przebudził się z bardzo długiego snu i machinalnie sięgnął w kierunku kartonu. Zawadził o niego nadgarstkiem i stracił z kredensu rozbryzgując mleko po podłodze. Cofnął się o krok, jakby upuścił co najmniej wiadro z kwasem, a potem odwrócił gwałtownie w jej stronę i przeszył oskarżycielskim wzrokiem.

- Widzisz, co zrobiłaś? – krzyknął. – Wszystko przez ciebie! Nic tylko skrzeczysz! Podnieś, zamieć, posprzątaj, Roger, trzeba wymienić ten okap, bo brzydzi się go wycyzścić! Nic tylko siedzisz w domu, ścieraszk kurze i tyjesz! A myślisz, że dzięki komu masz co i czym sprzątać? Dzięki mnie, do cholery, dzięki temu, że kupujesz za moje pieniądze te wszystkie ścielki i detergenty, zamiast zrobić sobie liposukcję tych pieprzonych, tłustych bioder!

Później wrzeszczał nadal, ale ona już go nie słuchała. Szklany hełm szoku przykrył jej percepcję, wytłumiając wszystkie dźwięki do poziomu głuchych szumów, jakby wsadziła głowę do wielkiego basenu pełnego wody. Zrobiło jej się słabo. Nie mogła dalej rozpa-trywać jego obelg, coś w niej pękło i rozeszło z suchym trzaskiem po całej jaźni. Postąpiła dwa kroki w przód i odruchowo wymie-ryła mu policzek. Wtedy kłosz szoku rozpadł się i usłyszała, jak płacze. Dźwięk uderzenia był suchy i krystalicznie czysty. Niczym lodowaty szpikulec przeszył jej uszy w poprzek mózgu. Roger był błyśnięty na twarzy, nie licząc odbitych pięciu palców jej dłoni.

- Ty podła świni! - wrzasnęła oblewając się łzami. - Mężczyźni! Wszyscy tacy jesteście, podłe, podłe świni!

Czuła, jakby miała zwirować; jej żołądek płał. Wybiegła z kuchni zostawiając go samego obok kałuży mleka, ze wzrokiem wbitym w podłogę i czerwonym śladem na policzku. Przez przedpokój wbiegła do salonu potykając się o dywan. Złapała się me-łocianki i przytrzymała. Potem puściła się schodami na piętro, do

(?swojej, jego?)

ich sypialni tak głośno trzaskając drzwiami, że aż zadygotały. Chciała usiąść na łóżku, ale nogi się pod nią ugięły i padła na kolana w połowie drogi. Pogromiła się do materaca i przywarła do niego, podczas gdy świat w około wirował w szaleńczym rytmie krwi pulsującej w jej skroniach. Widziała jak przez włączony mikser. Zebrało się jej na wymioty, ale stłumiła je głębokimi haustami po-wietrza. Kolorowe mroczki wystąpiły na oczach mieszając wzrok, a kiedy wtuliła twarz w poduszkę, ujrzała już tylko czerni.

Łkała cichutko, choć wewnątrz jej czaszki rozbrzmiewało wciąż tym samym krzykiem. Był to krzyk dziecka, które jednego dnia zdało się zachować życie, tracąc jednocześnie wszystko pozostałe. Pod zaciśniętymi powiekami wytapetował się jej obraz dziewczynki szaleńczo sprzątającej pobożowisko wcześniej będące

(?moim?)

domem. Spękane ściany, gruz na podłodze, kobieta obrastająca kwiatami róży, to wszystko zlewające się w dziwny pokaz slaj-dów niczym na filmie z przełomu wieków.

Szalejesz, stwierdziła resztkami sił. Odbija ci, na boga opanuj się!

Ale nie była w stanie. Dzisiejszego dnia Roger zranił ją dotkliwie i choć fizycznie była zupełnie cała, to wewnątrz krwawiła najczyst-szymi emocjami. Nie potrafiła ich łapać, nie mogła nawet tego zatamować. Przelewały się pomiędzy jej palcami, niczym fragmenty żywej tkanki, by rozbriznąć gdzieś poniżej, a tam już nie sięgała wzrokiem.

(mama zakwitająca różami)

Załkała. Wydarzenia ostatnich chwil wydawały się tak beznadziejnie żałosne. Tak brudne, jakby wyjęte z rynsztoka, a które na-stępnie zbrukały czystość jej świata. Zdeptane kwiaty, połamane huštawki, głowa siłą wypychana do lepkiej muszli klozetowej w obskurnej toalecie. Nie była w stanie postrzegać tego inaczej. W jej głowie z szaleńczym łoskotem rozbrzmiewały pytania. Gdzie podziały się te sieci rozplecione pomiędzy ich spojrzeniami? Dlaczego nie potrafiła się w żadną z nich już zaplątać? Jak delikatna jest ta granica pomiędzy szczęściem a skrajną tragedią? Na wyciągnięcie ręki, a siła potrzebna do jej przekroczenia naprawdę jest równa sile wypowiedzenia obelgi? Takie to proste? Wystarczy wykonać prosty krok i wyjść z krainy czarów w sposób nieporówny-walnie łatwiejszy od wrócenia tam z powrotem? To zbyt banalne jak na małżeństwa, jak na związki ludzkich psychik. A jeśli nawet, to cóż w obliczu tego znaczy miłość, skoro można ją zniszczyć z siłą potrzebną do zdmuchnięcia świeczki?

Nie, to przecież nie miało sensu. Ona dalej go kochała. Znienawidziła tylko siebie. Nagle i bez przesadnego patetyzmu, jakby prze-wróciła końcową kartkę czytanej z przymusu książki. Dlaczego w ogóle poruszyła kwestię tego cholernego okapu? Idiotka. Czuła, że on miał rację i to była jej wina. Wszystko to była jej wina. Są w małżeństwach sprawy, których dotyczyć mimo wszystko nie powinno, dla dobra miłości i pokoju na świecie. Bez orderów i defilad. Bez konfetti i szampa. Wszystko opierało się na dystansie. To była jej wina, bo pragnęła tym rządzić wedle własnych praw. Idiotka. Jej nadgorliwość wpraw zepsuła Rogera, teraz ich zwią-zek. Wiele razy starał się to jej uzmystwić, ale dopiero dzisiaj do tego doszła, co zakrawało na absurd, niczym wyjęcie zawleczonego z granatu i czekanie na eksplozję.

(mamusia nie ma głowy)

Mówił jej - to twoja wina, skarbie. Znowu przesadziłaś. Męczysz mnie. Nie rozumiesz. Mylisz się, nie wiesz, nie pojmujesz, jesteś wadliwa, ograniczasz mnie, jesteś beznadziejna. - A ona zawsze słuchała jego słów cierpliwie, jak na żonę przystało, jednocześnie wymijała je gdzieś w połowie drogi skręcając objazdem, jaki nigdy nie miał prawa tam stanać; odchodziła w kąt niczym skarcony pies, który za jakiś czas ugryzie znowu. Tymczasem Roger nadal kroczył po linii, bo sama go na tę linię wepchnęła. A teraz nie chciał już z niej zejść, wołał chwycić się nad przepaścią, niż znowu wrócić na tą smycz.

Nie kochasz mnie już, a mi jest tak bardzo wstyd, że nazwałam cię podłą świnią.

Odkleiła mokrą twarz od poduszki. Czarne smugi rozmytego tuszu do rzęs ciągnęły się na poszwie rozmazanymi pasami jej łez.

Ubrudziła poszewkę, głupia suko! Podła, podła świni!

Cisnęła nią przez łóżko i po chwili przerwy rozplakała znowu, kryjąc twarz w dłoniach. Wiedźma! Dziwka! Suka! Szmata! Podła...

- Rosalyn?

... podła świni, oto czym jesteś!

- Kochanie? - głos Rogera dotarł do niej dopiero za drugim razem, i boże jak bardzo ten głos kochała, jak rozpaczliwie za nim tęskniła. Teraz zmęczony jeszcze bardziej niż zwykle, jakby zapadły do środka.

Zapukał.

- Odejdź stąd, nie chcesz mnie oglądać! - krzyknęła przełamując słowami płacz.

Oczywiście zrobił coś zupełnie przeciwnego. Usłyszała jak cicho zamyka za sobą drzwi i zrozumiała, że czasami jest równie delika-tny, jak kiedyś i byłby taki ciągle, gdyby go nie zepsuła. Nie czuła jego delikatności od bardzo dawna, od kiedy zniknęła za pasmem szorstkości.

Podszedł do niej i kucnął obok. Odsunęła się.

Dlaczego od niego uciekasz? Nie widzisz, że chce ci pomóc? Jesteś wadliwa, nie oszukuj się. W tym związku nawalasz tylko ty. Boisz się, że zamarniecznie daleko od siebie, a jednocześnie odsuwasz jeszcze bardziej w bok. Taką politykę wyznajesz? Dziwisz mu się, że zamknął się w sobie, skoro sama mu w tym pomagała, ty popieprzona histeryczko?

Spojrzała na niego dopiero, kiedy położył dłoń na jej ramieniu. Wiedziała, że wygląda teraz strasznie z rozczochranymi włosami i smugami tuszu spływającego po policzkach. Choć Roger milczał, to jego wzrok mówił miarowo - 'znowu to zrobiłaś, znowu to zepsułaś', a ona uśmiechnęła się mizernie na zgodę z tym stwierdzeniem, mając nadzieję, że gdyby czas cofnął się o pięć minut i nadal byli w kuchni wszystko byłoby w porządku.

- Nie chciałam, Roger - załkała. - Ja naprawdę nie chciałam.

- Wiem - wydawał się taki smutny w trosce nad jej osobą. Rozedrgana wyobraźnia podsunęła jej wizerunek ogromnej i mrocznej katedry, w której była kompletnie sama, dopóki on nie podszedł do niej z latarką niczym wędrowiec pytający o drogę, choć tak naprawdę jej tę drogę wskazał.

Pogładził ją po włosach, a ona wtuliła się w niego z siłą naznaczoną rozpaczą. Wstydziała się siebie, do tego stopnia, że nie potrafiła odezwać. Idiotka. Spójrz, jak psujesz własne małżeństwo, uciekasz od męża, choć tak naprawdę to odchodzi on, po tym jak stałe go krzywdzisz.

Tego nie musiał jej uzmystwiać, a świadomość niedawnego odkrycia była tym bardziej szokująca. Jakim prawem w ogóle podniosła na niego rękę, kiedy mówił jej szczerą prawdę? Idiotka. Histeryczka. Masz rację, mała, jeśli siebie teraz nienawidzisz. I mój się, aby nie znienawidził cię równie mocno.

Na boga, jak mogła być tak ślepa?

- O Jezu, co ja zrobiłam - wyplakiwała się w jego pierś, raz po raz krztusząc łzami. - Jestem głupia i wadliwa, powinieneś mnie ukarać zamiast tulić. Obić pasem te, te... tłuste biodra!

- Już dobrze – odparł spokojnie i ucałował w czoło. – Nikt nie będzie już więcej nikogo bił. Zrobiłaś źle, ale kocham cię, dlatego nic się nie stało i nie rozmawiajmy już o tym. A teraz chodź i zrób mi coś do jedzenia, bo zgłodniałem.

- To nie tak, Roger. Ja znowu przesadziłam. Nadgorliwość jest gorsza od faszystwu, a ja z każdym kolejnym dniem biję wcześniejsze rekordy. Nie poprawiam się, nie zmieniam, a ty ciągle przeze mnie cierpisz.

Westchnął i podniósł ją na łóżko. Usiedli razem, ona wczepiona w niego, on gładzący jej włosy, spływający dłońmi po karku na ramiona. Długo wpatrywała mu się w oczy, łączywie spiżając z nich jego troskę. Przy nim czuła się taka malutka, ale to dobrze, bo i bezpieczna. Mały promyczek światła, niczym na końcu długiego tunelu, rozjaśnił jej myśli. Mały promyczek światła, niczym ogień zapalniczki jaśniejący w ciemności, niczym reflektor wystarczył, aby nie straciła nadziei, że Roger nadal ją kocha. Dlaczego miałby teraz do niej przychodzić i pocieszać, jeśli nie z powodu miłości, którą ją darzył i troski?

- Muszę posprzątać – stwierdziła, choć chciała wspomnieć o czymś ważniejszym.

Zawsze sprzątała w chwilach głębokich rozterek

(Rosie myjąca mamusię)

i od zawsze traktowała to jako swą osobistą terapią rozluźniającą. – A potem ugotuję łososia dla nas kiedy już wrócisz od Roberta, okay? – uśmiechnęła się promiennie.

Powiedz, że go kochasz. No jazda, krzycz!

Ale nie potrafiła zdobyć się na te proste słowa. Jej gardło przypominało rurę zatkaną jesiennymi liśćmi.

- Dziś nie pójde do Roberta. Po tym wszystkim, nie powinienem zostawiać ciebie samej. Najlepiej będzie jak zostanę i się zdrzemnę. Co ty, na to? Nie będę ci przeszkadzał w sprzątaniu, zanim w telewizji nie puszczą powtórki Dodgers'ów.

Jego starania głęboko ją wzruszyły. Spuściła wzrok, ale podniósł palcem jej brodę i spojrzał czule w oczy.

- Uderz mnie jeszcze raz i to będzie koniec – stwierdził rzeczowo. – A teraz kocham cię, królowo.

Uciał rozmowę zanim zdążyła odpowiedzieć i pocałował ją w usta, mocno przytulając. Oddała uścisk tonąc w nim niczym rozbitek na sztormowym morzu. Po chwili puścił ją i rozłożył na łóżku wspierając o łokieć.

- Z salami.

- Słucham?

- Kanapki, najlepiej z salami – odparł i zamrugał.

- Dobrze – zgodziła się.

Uśmiechnął się rozbrawiająco, a ona – blady cień samej siebie, wyszła cichutko zamykając za sobą drzwi sypialni, jakby po dokonaniu najgorszej zbrodni.

Ty idiotko, nawet teraz nie mogłaś mu tego powiedzieć. Od kiedy w normalnym małżeństwie 'kocham' mówi tylko facet? No?

W korytarzu zachwiała się nieco i oparła plecami o ścianę. I choć rozum podpowiadał, że wszystko jest w porządku, to serce wciąż biło niespokojnie w jej piersi. Wzięła kilka głębokich haustów powietrza dla rozluźnienia. Czuła jak powoli wraca do siebie, ale porzuciła ten spokój na rzecz rozterek.

('uderz mnie jeszcze raz i...')

Mało brakowało, głupia. Mało brakowało, a znowu byś to zepsuła. Dziś naprawdę niewiele brakowało, aby go popsuć. Bóg mi świadkiem, że ten mężczyzna to największy skarb twojego życia. Dbaj o niego, równie mocno jak on o siebie.

Odeszła od ściany i ruszyła w kierunku schodów. Zatrzymała się przy balustradzie, chwytając poręcz, bo nogi znowu się pod nią ugięły. Spojrzała rozpaczliwie piętro w dół przewieszając przez barierkę.

Jazda, spadnij! Narób mu jeszcze większych kłopotów niż za życia, pomyślała histerycznie.

Odczekała chwilę i uważnie zeszła po schodach ześlizgując barkiem po ścianie, niczym ciężko ranna osoba. Zastanawiała się, czy tak właśnie czują się ludzie, którzy cudem uszli z życiem z wielkiej katastrofy. Kiedy chciałoby się, aby po tym koszmarze świat był jak z waty i każdy upadek od teraz kończył się zawsze lądowaniem w puchu. Tyle, że świat jest okrutny w swoim biegu na przód, bo nie zasypia nigdy. Kiedy więc potrafi wstrzymać oddech? Terrorysty wtargnęli do ambasady i wzięli zakładników, czterdzieści osób uwięzionych w płonącym hotelu, twa walka o życie poparzonego chłopca – nie, to nie tak. Zatrzymać ludzi w połowie drogi do rozbicia o skały, o granitową ścianę, o bandę, za którą rozciąga się granatowa ciemność morza – tak brzmiała podstawowa kwestia. To zadziwiające, że ludzka świadomość w tym temacie wciąż jest naiwna i nie zdaje sobie sprawy z wagi własnej potęgi. Po cóż głowić się nad moralnością wystrzelonego pocisku, zatrzymywać czas w połowie trwania i obserwować mętne lśnienie kuli? Nie lepiej cofnąć się do momentu naciskania spustu i wymierzyć broń w powietrze, w swoją skroń jeśli już krzywdzić musimy, bo czemu zawsze niewinnych zamiast siebie? Dlaczego wściekła się na męża, zamiast wściec się na siebie? Skoro tak łatwo było jej skrzywdzić ukochanego, dlaczego więc nosi na palcu obrączkę ślubną? Idiotka. Cofając się w stronę początku wydarzeń powoli odkrywała, że choć ciągle ucieka od brudu świata zewnętrznego, jego zła i prymitywnego sadyzmu, kryształ jej świadomości posiadał skazę. Strzelała z armat do robaków, zamiast użyć gazety. Idiotka. Dlaczego zawsze czyścisz wszystko dookoła, zamiast zacząć od samej siebie? Jesteś taka jak wszyscy, zawsze płaczesz po wystrzale zamiast na chwilę przed.

Zobaczyła czternastoletnią dziewczynkę, wyjmującą kobietą głowę z kuchennego zlewu.

Kiedy zebrało się jej na mdłości po raz drugi, już ich nie wstrzymywała. Rzuciła się pędem w kierunku łazienki na parterze. Szczelnie zamknęła za sobą drzwi. Potknęła się o kosz na pranie i niemal wpadła na umywalkę. Targana nudnościami namacała po ciemku klapę toalety. Przewiesiła głowę przez muszlę i czekała chlipiąc żałośnie. Długie nici śliny rozplotły się pomiędzy jej wargami, starła je i splunęła pełna odrazy do samej siebie. Oto ryszotok, do którego należysz. Z niego biorą się takie podłe, podłe świny. Jesteś cała

(kęsem mięsa)

leпка!

Kiedy poczuła jak torsje się cofają, brutalnie wetknęła sobie palce w gardło i zwymiotowała gorzkim strumieniem.

Obmyj się – odparła dziecięcym głosem pośrodku swej jaźni. – Dalej. Obmyj się w brudzie, jeśli na czystość jesteś zbyt nieczysta. Oto czym jesteś! Twoje miejsce jest głęboko pod taflą tej wody!

Skulona nad toaletą zwymiotowała znowu, tryskając cieczą przez palce i niezdarnie ślizgając na gładkiej posadzce łazienki szukając oparcia. Otwierała szeroko oczy, bez nadziei na jakikolwiek pocieszający widok światła. Dokoła niej ciemność zdawała się tętnić życiem. Przeplatała i kołysać w takt jej szlochania, jakby były jednym i tym samym organizmem. Dławić Rose i wypychać głęboko przez usta na groteskowe podobieństwo oralnego gwałtu. W tej schludnej ciemności, za którą lśniły białe kafle i chrom, wszystko wydawało się jednakowe, w takiej ciemności wszystko mogło być absolutnie wszystkim, niepomne na granice rzeczywistości. Jakby obraz realności zaklęty w jej głowie wylewał się ze sztywnych ram, ciekąc po ścianach jaźni brudnymi pasmami. Czerń rozkołysała się gdzieś przed jej twarzą, jakby coś wypełzało z wody i zacisnęło lepkie pnącza na jej szyi wciągając w głąb. Ciemność wśliznęła się pomiędzy jej wargi, głęboko w gardło niczym pulsująca larwa. Zwymiotowała ponownie, z przeświadczeniem, iż wymiotuje samą sobą, a gorzka nienawiść powoli przeszła w gorzki rozpacz i Rose załkała żałośnie. W ciemności niej samej ruszało się wszystko.

Była daleko poza świadomą percepcją, kiedy sięgnęła dłonią w głąb muszli, wybierając z niej śluz torsji i wypychając go sobie machinalnie do ust, przeżuując i polykając na nowo, by po chwili zwymiotować znowu.

Posił się sobą – kwiliła gdzieś w jaźni, rąbiąc na kawałki pojęcia samokontroli i rzeczywistości.

Teraz nabierała łączywie oboma rękami.

Posił się, bo oto czym jesteś!

(jesteś przetrwonionym kęsem mięsa sprzed dwudziestu lat!)

Jesteś tym, co jesz!

W pewnym momencie wypłuła wszystko i opadła beznadziejnie głową na ramię, a pod zamkniętymi powiekami rwany pokaz slajdów przedstawiał skuloną dziewczynkę szorującą bezgłowe ciało matki, szaleńczo nurzającą ręce w jej brudzie, aż nie zapienił się niczym mleko i nie trysnął gorzkim strumieniem prosto w jej twarz.

Cisza rozbrzmiewała głuchym kapaniem łez.

Dopiero potem zapaliła światło, by przyjrzeć się własnemu odbiciu w lustrze.

Tusz na policzkach zdążył zaschnąć w czarnych smugach, w około ust pieniały się resztki wymiocin, których jeszcze nie starła. Lewą rękę miała unurzaną do łokcia, prawą po nadgarstek. Przymkniętymi oczyma wpatrywała się we własny wizerunek

('i wtedy ja przeszedłam na drugą stronę lustra')

taksując go chłodnym wzrokiem. Nienawiść do samej siebie sięgnęła zenitu i wymierzyła sobie policzek. Dźwięk uderzenia ociekał wrażeniem brudu. Uderzyła ponownie, za Rogera i jeszcze raz i jeszcze. Jej dolna warga pękła w dwóch miejscach. Na widok krwi rozpląkała się pozerwanym. Co ona mu teraz powie, jak to będzie wyglądało przed sąsiadami? Czy w szczęśliwych małżeństwach kobiety chodzą z rozerwanymi wargami? Powiedzą, że to jego wina, że się znęca – hej, widziałas jej usta? Musiał jej nie źle przyłożyć, pieprzony skurwiel.

Odkręciła wodę w umywalce i zaczęła szorować dłonie, aż poczerwieniały. Podniosła wzrok. Pochyliła się i przemyśla twarz. Namacała szczotkę do paznokci i zaczęła trzeć policzki i usta. Woda na dole zabarwiła się w różowy wir.

Dlaczego nie była szczęśliwa wiedząc, że z Rogerem już wszystko w porządku?

Dlatego, że jesteś torsjami samej siebie. Zwymiotowanymi resztkami człowieka.

Przepłukała usta i zakręciła wodę. W zaparowanym lustrze jej twarz wyglądała na wyjętą z sennego koszmaru, rozmytą wybudaniem i powrotem do świadomości. Starła skroploną parę, ale koszmar zamiast odejść, wyostriżył się bardziej.

('i wtedy ja...')

Zza szklanej tafli spoglądała wiedźma o podkrążonych oczach i zassanej do środka twarzy.

(oto czym...)

Wybiegła z łazienki nie gasząc światła. W salonie przerażenie dodało jej bodźca. Spojrzała histerycznie w górę przeświadczona, że Roger stoi na podeście schodów w pełni świadomy tego, co się z nią dzieje. Ale w promieniach popołudniowego słońca podest wydawał się cichy i pusty. Podobnie kuchnia, do której zajrzała po chwili. Roger najwyraźniej sprzątnął mleko z podłogi, zanim do niej zajrzał i teraz jaśniała tam tylko wilgotna smuga.

('kanapki, najlepiej z salami')

('dobrze')

Odbija ci, skontaktowała podchodząc do chlebaka. Za miesiąc będziesz się nadawała na lokatorkę domu bez klamek. Wyjęła pieczywo. Przyjrzała się nożom zwisającym z namagnesowanej tarczy. Zdjęła najdłuższy i najostrzejszy. Ukroiła kilka kromek. Ku swemu zmartwieniu w lodówce nie znalazła nawet odrobiny salami. Wzięła zwykłą szynkę i pokroiła w plastry, resztę zawinęła z powrotem w folię i schowała do lodówki. Miała tylko nadzieję, że Rogerowi będzie smakować. Wszystkie te czynności, tak nierozważnie związane z małżeńską stroną jej życia, zanim wdarły się w nie gorycz i mrok, działały teraz uspokajająco. Prawdę mówiąc, stęskniła się za traktowaniem ich w ten sposób. Kromki posmarowała masłem, przykryła szynką, udekorowała pietruszką. Z szafki nad kredensem wyjęła talerz i ułożyła na nim kanapki. Wychodząc z kuchni czuła w sobie spontaniczną radość nastolatki, która po pasmach niepowodzeń nareszcie zrobiła coś jak należy.

Roger stał w połowie wysokości schodów, kiedy weszła do salonu. Zobaczyła go i jakby niebo nad jej umysłem nagle zakryły ciemne chmury.

Żachnął się z głęboką zmarszczką na czole.

- Czemu tak długo?

- Nie rozumiem – odparła zupełnie szczerze.

- Głodnieję już od półtorej godziny.

Wzruszył ramionami. Jak zwykle wyprzedzał ją w czynach i zanim cokolwiek odpowiedziała był już na dole i zabierał jej talerz.

- A gdzie salami?

- Zabrakło – stwierdziła cicho, uciekając od nuty wyrzutu w jego głosie.

- Potem pójdziesz do sklepu i kupisz porcję.

Przytaknęła.

Ugryzł kęs bez słowa i wszedł do kuchni. Usłyszała, jak znowu otwiera lodówkę i siorbie z nowej butelki mleka.

Wzięła głęboki wdech i pokornie odsunęła się w kierunku łazienki. Światło w środku paliło się nadal, kłapa toalety była uniesiona, a wnętrze muszli zbryzgane w wyniku jej torsji. Patrzyła na pecynę z rosnącą konsternacją, aż w końcu ukłuta obrzydzeniem spuściła wodę. Twarz w pomazanym lustrze mówiła przepraszająco, że wszystko jest w porządku. Teraz jaśniejsza i żywsza niż wcześniej twierdziła, że nic się nie stało. Miałaś atak Rose, to minie, dziś jesteś w strasznym stanie. Ale to normalna rodzina, nie zapominaj o tym, więc to wszystko także mieści się w granicach normy. W zupełności normalna rodzina, to nie podlega dyskusji.

Jak długo byłaś nieprzytomna, leżąc w tych ciemnościach?

To nieistotne – ucieła.

Choć w głębi duszy sądziła coś zupełnie innego, ale posmak tej myśli miał w sobie coś nieprzyjemnego, coś z drażniącego oczy kwasu, dlatego go porzuciła.

Smutnie przyjęła do wiadomości, że nawet nie zwrócił uwagi na jej wargę. Zaraz potem, zrewidowała ten pogląd, bo w obecnej sytuacji może to i lepiej, że wymiana zdań między nimi zakończyła się tak szybko i bez zbędnych podtekstów. Następnym razem mogła nie mieć tyle szczęścia i Roger z pewnością by się na nią wściekł. Sądziła, że najlepiej postąpi, jeśli ukryje ranki pod podkładem i nigdy nie wspomni Rogerowi o tym, co zaszło. O ile zaszło w ogóle, bo przecież tylko mogło się jej wydawać. Na pewno mogło, zaszła w konwulsjach i doznała złudzeń. To zdecydowanie bardziej prawidłowe.

Przez chwilę zastanawiała się, jak rozegrać problem z rozerwaną wargą. Odrzucała pomysły ciągłego ukrywania ust albo ich przygryzania. Roger może i był mało spostrzegawczy, ale nie aż na tyle, aby nie zastanowić się, co też jego żona z tymi wargami wyprawia, skoro więcej ich nie widzi, niż widzi.

Zmarszczyła brwi dochodząc do jedyne w tych warunkach słusznego rozwiązania.

Z kosmetyczki pod lustrem wyjęła czerwoną szminkę i umalowała usta, starając się jak najstaranniej ukryć krew. Czuła się w tej roli nieswojo. Nie lubiła używać szminki, wydawała się jej nazbyt pretensjonalna. Jej ojciec zwykł mawiać swego czasu – przezorny, zawsze ubezpieczony, dla tego zawsze nosiła jedną sztukę w kosmetyczce, po części przez sentyment, po części przez rzeczywistą wiarę w moc tych słów. Starła się myśleć jedynie o dzisiejszej kolacji, a im myślała o niej więcej, tym bicie jej serca wracało do spokojniejszej normy. Złe chwile coraz bardziej wydawały się zaledwie snem odchodzącym z myśli im mocniej parło się w nowy, słoneczny dzień.

Kiedy skończyła, niespodziewanie naszło ją drażące żołądek pragnienie kąpieli. Zmycia z siebie nawarstwionego brudu, jakby teraz miało to jakiekolwiek znaczenie, jakby ból i troska mogły spłynąć z niej razem z wodą i zawirować w odpływie przed zniknięciem w głębi rur. Miała nadzieję, że czysta będzie w stanie racjonalnie myśleć. Dlatego rozpięła bluzkę.

Schyliła się, by zdjąć pantofle. Kropla czerni splamiła kafelki pomiędzy jej stopami. Kolejne dwie chlapnęły obok niczym atramentowe kleksy z pióra. Spojrzała w górę odruchowo szukając jakiegoś przecieku, co zrazu wydawało się pozbawione logiki, bo przecież rury biegają tylko w ścianach, a woda w nich prawie na pewno nie jest czarna. Przykucnęła i niepewnie dotknęła kropli. Coś zimnego leniwie wpłynęło jej do ust i wtedy z opóźnieniem zrozumiała. Niepewnie poderwała się do góry obracając głowę w kierunku lustra. Z lewej dziurki jej nosa matową smugą wypływała wodnista ciecz koloru kruczych piór, która sączyła się w kierunku brody.

W pierwszej chwili pomyślała - przywidzenie. Niestety, ten widok przywidzeniem przestawał być z każdym kolejnym centymetrem, jaki pokonała nachylając się ku własnemu odbiciu. Był prawdziwy, więcej - był nienormalny.

- Słodki Jezu - odparła głucho, choć jej słowom bliżej było do niewyraźnego szepotu człowieka na skraju agonii niż młodej kobiety w kwiecie wieku. Chciałaby wierzyć, że to krew, że dostała nagłego krwotoku ze zdenerwowania, jednakże ten płyn krwią nie był, nieważne jak bardzo tego pragnęła. Głównie dla tego, że był czarny jak smoła i miał obrzydliwie słodki smak.

Pochyliła się jeszcze bardziej, coraz szerzej otwierając oczy. Jej źrenice, wielkie niczym spodki, skurczyły się nagle do rozmiarów główki od szpilki. Patrzyła na nagle obcą jej Rosalyn Horn z niemym krzykiem na ustach, z trudem dławiąc w gardle krzyk prawdziwy. Ciecz popłynęła mocno, załamując się na linii warg, dotarła na brodę, z której pokapała plamiąc białą koronkę stanika.

Natychmiast pomyślała, że to brud.

Najprawdziwszy skondensowany brud sączy się teraz z twojego ciała. Przebrałaś miarkę Rosie, jesteś tak skażona, że twój organizm tego nie wytrzymał. W głowie pękła ci jakaś cysta pełna czarnej ropy.

Nie potrafiła tego dotknąć, jedynie z obrzydzeniem splunęła czarną śliną do umywalki.

Rozpaczliwie przebiegła wzrokiem po gładkich powierzchniach kafelek w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby to zetrzeć. Dostrzegła swój różowy ręcznik i zdjęła go nieomal zrywając plastikowy haczyk, na którym wisiał. Mocno przycisnęła tkaninę do nosa. Trzymała tak przez chwilę nie mając szerszego pojęcia, co się z nią dzieje. Na pewno nic normalnego i to było w tym wszystkim najbardziej przerażające. Mimo najszczęśliwszych chęci, nie była sobie w stanie tego wytłumaczyć, a im dłużej o tym myślała, tym jej myśli zasnuwały się coraz gęstsza, brunatna mgła. Nie pojmowała istoty tej matowej substancji, która nagle popłynęła jej z nosa, zwłaszcza tego, że smakowała jak guma do żucia. Tonąc w rozterkach zrozumiała, że to nie brud. On zbiera się pod paznokciami, na zębach, zbiera się w szarych smugach na szyi i ciele, ale nie wycieka z nosa.

To też zalicza się do dziennej rutyny w zwyczajnych rodzinach? - pisała w głębi serca.

To, że krwawisz czernią?

Odsunęła ręcznik dostrzegając na nim rosnącą, hebanową plamę. Ponownie spojrzała do lustra, na umazaną jakby smolą twarz.

Źrenica jej lewego oka niespodziewanie pękła i zawirowała niczym atrament w kałamarzu rozlewając się po gałce.

Pisała zakrywając dłońmi twarz. Odeszła krok wstecz czując, jak czerń przeciekała przez jej palce sącząc się wzdłuż rąk, aż po łokcie. To ją plamiło. Coś nieopisanie ohydne, obcego kałało teraz jej ciało i właśnie ona to coś z siebie wydała.

W pierwszej chwili nie zdała sobie sprawy, że dźwięki, jakie do niej dochodziły, a które brała za irracjonalne sygnały z innego świata, być może świata jej jaźni, były w rzeczywistości dźwiękami kroków jej męża. Z tego zdała sobie jednak sprawę zbyt późno, wyrwana z ciasnej rzeczywistości rozmyślań stanęła jak wryta. Roger opuścił kuchnię w chwili, kiedy jej lewe oko wypełniła czerń i siedł teraz do łazienki. Bynajmniej nie z powodu troski o żonę, która znowu zniknęła w toalecie i może, Jezu coś z nią nie tak? Zwyczajnie chciał się wysikać, tylko tyle, jak zwykle.

Tego oczywiście nie wiedziała, bo i wiedzieć nie mogła. Lecz w chwili, kiedy wyciągał dłoń ku klamce, instynkt samozachowawczy, który Rose zawsze stawiała niżej, pod zwykłą kulturą, odruchowo rzucił nią pod drzwi i nakazał ręką zatrzasnąć zasuwę. On nie miał prawa zobaczyć jej w takim stanie, to oznaczałoby koniec wszystkiego. Nie miał cholerne go prawa! Bo, czy normalny prawnik, przedstawiciel typowej amerykańskiej klasy średniej będzie w stanie trwać w związku z kobietą taką jak ona? Jak będzie to wyglądało kiedy znowu zestawia ją z żonami swoich znajomych z pracy i partyjek golfa? Nigdy nie odnajdywał w niej cech zdecydowanie pozytywnych, poniosła żalostną na tym polu klępkę, toteż musiała się ukrywać. Ukrywać swoje ułomności, aby nie przegrać zupełnie.

Klamka poniżej zaczęła szaleńczo podskakiwać.

Jego niespokojny głos:

- Rose, co ty wyprawiasz? - z perspektywy Rose, głos pełen nie (w żadnym wypadku!) oskarżycielstwa, lecz troski, wypełnił ją kolejną falą odrazy dla własnej osoby. Tym bardziej znienawidziła siebie za wpłatanie go w te nienormalne podchody.

- Rose do cholery, muszę się odlać! - warknął. - Kurwa!

- Już wychodzę - starała się nadać słowom jak najspokojniejszy ton. Nie miała pojęcia, jak bardzo sieprzyła sprawę i czy sieprzyła w ogóle. Miała tylko nadzieję, że Roger niczego nie wyczuje.

Panicznie przywarła do chłodnej powierzchni drzwi szukając na śliskiej podłodze oparcia dla nóg, na wypadek gdyby spróbował sforsować je siłą.

- Otwórz drzwi! - zagrmiał. - Rose, to nie są żarty! Zmieniłem zdanie i chcę wyskoczyć na chwilę do Roberta. Natychmiast skończ się wydurniać, bo muszę tam jechać, a nie mam zamiaru tego robić z pieprzoną plamą na spodniach!

Dopadła ją paranoja i jak dzikie zwierzę zaczęła rozszarpywać na strzępy. Poczula się beznadziejnie. Gorzej niż dotychczas, choć sądziła, że dotarła na sam skraj mentalnej wytrzymałości. Myliła się. Nigdy nie było tak źle, aby nie mogło być gorzej. Zawędrowała o krok od prawdziwej rozpacz, którą dotychczas obchodziła szerokim łukiem jakby najgorszego wroga. Niczym gówniara przyłapaną przez ojca na seksie na tylnym siedzeniu auta, kiedy obserwowany świat staje się jakby wytłumiony, a wszystkie jego ostre krawędzie i nierówności nagle miękkie i delikatne. I choć zdarzenia pędzą wtedy szybko, człowiekowi zawsze wydaje się, że trwają ohydnie długo, dźwięki schodzą o parę tonów niżej, a cienie przestają być cieniami w normalnym rozumieniu tego słowa. Stają się rozlanymi skupiskami czerni, ciągnąc smugami za wzrokiem niczym blask neonów na Broadwayu. Jedyńa czernią pozostającą czernią w tych ostrych ramach pojmowania, była czerń ciekająca teraz jej z nosa i po policzku, na podobieństwo łez. Czula ją na sobie, plamiącą i upadlającą. Na boga, błagam Roger, przestań walić we drzwi...

Ale Roger nie przestawał. Był wściekły, co było słychać w jego głosie. Było słychać doskonale, bo przecież mówił bardzo głośno.

- Idź na górę! - krzyknęła, a na jej twarzy czerń zmieszała się ze łzami w mętne smugi.

- Nie! - wrzasnął. - Chcę tutaj i nie będziesz mi kobieto mówiła, gdzie mam się załatwiać! Nie w moim domu! Otwórz te cholerne drzwi albo stracę do tego cierpliwość! Mam je wyważyć, tego naprawdę chcesz?

Faktycznie byłby do tego zdolny. Znowu go rozwścieczyła. Jednym kopniakiem mógłby rozwalić zasuwę, ale wtedy zobaczyłby, jaka jest wadliwa i zrozumiał, że ożenił się z żalostną podróbką zwyczajnej kobiety. Nie mogła do tego dopuścić. By odkrył z odrazą, że związał się z chodzącą anomalią. To przecież normalny świat i normalna rodzina. Czula jak ten od zawsze 'normalny' świat wirował obecnie w koło jej głowy rozmazanymi pasami, pełen wytłumionych dźwięków i kwaśnego zapachu strachu. Świat zazwyczaj stojący w miejscu i prawidłowy, w którym jedyną drzazgą była ona, a wszelkie jej starania wobec męża polegały na tym, aby się o tym nie dowiedział.

Zdobyła się na ostatnie resztki sił, by nadać głosowi spokojny ton, pewna, że jeśli Roger nawrzeszczy na nią znowu, to coś w niej trzaśnie, trzaśnie tak potężnie, że zacznie walić głową w drzwi, aby ten dźwięk zagłuszyć i nie przestanie, do póki coś nie trzaśnie znowu. Drewno albo jej czaszka.

- Zaraz wyjdę, skarbie - odparła ciepło, z bólem zatapiając wypielęgnowane paznokcie w lakierze drzwi. Jej dolna warga podskakiwała szaleńczo, niczym u człowieka będącego o krok od kompletnego załamania. O krok od tej mistycznej, głębokiej czeluści wielkiego miasta widzianego z perspektywy czterdziestego pietra wieżowca, na którego dachu trzeba stanąć. Tak też rzeczywiście było, Rose znajdowała na krawędzi, za którą rozciągała się nieskończona beznadzieja. - Zaraz wyjdę. Wiesz, babskie sprawy, dostałam okres i muszę zmienić podpaskę. Jeśli chcesz, możesz mi pomóc, mam z tym prawdziwe urwanie głowy.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza. Potem Roger znowu się ożywił, niespokojnie przestępując z nogi na nogę. Słuchała tego z przerażeniem, że jej słowa nie zdały rezultatu i on zaraz krzyknie znowu.

- No dobra - mruknął, niczym przywołane do porządku dziecko. - Jesteś niemożliwa - dorzucił oskarżycielsko po chwili. - Zastanów się, która żona odstawiałaby takie cyrki? Cynthia Rutheford? Marry Hauer? Nie, nie. Tylko ty zachowujesz się w ten sposób. Mogłaś od razu powiedzieć, co robisz, zamiast zmuszać mnie do tkwienia pod tymi drzwiami jak kotek!

- Przepraszam – wychlipała żałośnie, przeciągle artykułując poszczególne sylaby.

- Skończ w kółko przepraszać! Weź się wreszcie w garść albo od razu wyjdź i nigdy nie wracaj. Nie mam zamiaru być jedynym facetem w kancelarii mającym pod ręką żonę histeryczkę, rozumiesz? Doktor Connors się mylił, jesteś zupełnie popieprzona! Proziom to gówno, powinien ci przepisać Prozac!

- Przepraszam... – powtórzyła ześlizgując się po drzwiach na podłogę, ale on już jej nie słyszał; gniewnie poszedł do łazienki na piętrze mamrocząc coś pod nosem.

Zdała sobie sprawę, że wchodzi po schodach na górę, wreszcie ją zostawia pozwalając dogorywać w samotności. Wtedy nagły impuls, (wynurzył się z sadzawki tępego bólu niczym tygrys z ciemności i mgły nocy) wbił się głęboko w unerwioną strukturę jej myśli. Przez dłuższą chwilę skręcała się na podłodze znienacka pogrążona w ogromie dezorientacji. Potem powróciła pełna świadomości, z przeciągłym gwizdem jaki pojawia się po mijającym ogłuszeniu, wraz z nią przerażenie i ból, brutalnie uderzając prosto w skronie.

Przekręciła się na brzuch ciągle szlochając. Przed jej twarzą rozciąńczona łzami czerni kapą w nieregularnych odstępach. Szachownica z kafelek pod jej palcami zdawała się przeplatać i kołysać w pijanym rytmie. Ostrożnie podniosła się z posadzki wiedząc, że jeśli nogi znowu się pod nią załamią, runie przed siebie na oślep. Jej dłonie ześlizgiwały się po ścianach, kiedy szukała oparcia. Znalazła je w postaci umywalki. Chwyciła jej kraniec i z trudem podniosła.

Chwiejnie stanęła pośrodku łazienki, dysząc ciężko jakby właśnie stoczyła najzacieklejszą bitwę swojego życia.

Odpowiedź na pytanie, jak mogło do tego wszystkiego dojść, znajdowała się poza granicami jej pojmowania. W innym świecie. Albo to ona znalazła się gdzie indziej, podczas gdy wszystko inne pozostało na swoim miejscu. Porzuciła te rozmyślania natychmiast, bojąc się, że oszaleje przez nie do końca (o ile nie oszalała już), jakby tego dnia wszystkie siły sprzysięgły się przeciwko niej, ze zdrowym rozsądkiem na czele.

Widziany obraz białej łazienki spływał czernią niczym oblany atramentem obiektyw kamery. Chromowane kurki, perfumowane mydło na metalowych tackach, w końcu białe fugi, które każdej soboty szorowała w pocie czoła, brak zacieków na wannie... wszystko lśniło czystością. Wszystko poza nią samą, choć to właśnie ona powinna być tutaj najczystsza.

Miotana drgawkami zdecydowała się spojrzeć w lustro ponownie. Brzydziła się tego, co miała w nim zobaczyć i świadomości, że oto wróciła do punktu wyjścia, że ta wiedźma zza szklanej tafli znów będzie patrzeć na nią z wyrzutem, perfekcyjnie kopiując wszystkie jej ruchy. Nienawidziła tych rozterek, ale wewnętrzna siła sprawcza była silniejsza, stanęła więc naprzeciw zwierciadła i w końcu podniosła wzrok.

Widok własnej, rozedrganej twarzy napełnił ją dziwnym spokojem. Była przekonana, że nie pozna w sobie człowieka, ujrzy groteskowego potwora z bajki z czerwonymi krążkami zamiast oczu i burzą rozczochranych włosów. Jednakże poznała swój ludzki pierwiastek i widok ten był pocieszący... nawet w obliczu tego, że lewa połowa jej twarzy tonęła właśnie w płynnej czerni. I chciałaby się uznać, że to tylko rozmazany łzami tusz do rzęs. Bardzo dużo tuszu, w który Rose tak rozpaczliwie chciałaby uwierzyć.

Dotknęła policzka zostawiając wytartą, jasną smugę.

To nie był tusz i wiedziała to doskonale.

Jakie to uczucie, kiedy rozpadają się myśli? – zapytała w głębi samej siebie.

Odpowiedź nasunęła się sama. To żadne uczucie, bo wtedy człowiek zostaje wyssany i przestaje odczuwać cokolwiek.

Największą rysą na tym twierdzeniu było jednak to, że czerni nadal wylewała się z jej oka, ciekła z nosa niczym katar niezależnie od tego, jak bardzo pragnęłaby ją zatamować i to bolało. Wewnątrz jej ciała ból rozpalał się ciągle nowym, piekącym żarem; coś w niej tkwiło, niczym płynny ołów, jak więc mogłaby stwierdzić, że nie czuje nic?

Stojąc naprzeciwko własnego odbicia, tej w schludnej i czystej łazience, o którą zawsze dbała z wielkim namaszczeniem, patrzyła jak ocieka czernią, a bezsilność wobec zaistniałej sytuacji stawała się powoli nie do zniesienia. Wydała z siebie brud, którego nie zmyje z niej nigdy żaden detergent.

Jej żołądek wykonał całą serię salt. Poczuła jak w ustach słodycz czerni miesza się z goryczą trawiennych soków. Wnętrznosci zakipiała skwaśniałą pianą wzdłuż przełyku i po raz drugi rzuciła się w kierunku toalety.

- J-ak się czu-jesz?

Powietrze poruszyło się jakby przecięte rozpalonym mieczem i wykręciło młynka zawijając za sobą szachownicę kafelek.

- Do-skonale, skar-bie. Jeszcz-e st-eku?

Dobiegły ją poszarpane głosy, niczym ze starego gramofonu i natychmiast stanęła jak wryta. Zmysł równowagi zatańczył jej przed nosem, musiała wyrzucić ręce do tyłu, aby nie upaść. Przygnęła plecami do ściany niczym złodziej przyłapany na nocnym rabunku, umykający przed światłem policyjnej latarki. Raz po raz głośno wciągała powietrze, chcąc zdławić torsje.

- H-eh

(Bobby)

Chc-esz z-obaczyć uśm-iech k-ota?

Głos dobiegał z toalety. Słyszała, jak z bulgotem wypływał na powierzchnię. Głos kogoś mieszkającego głęboko w krainie, do której prowadziły wszystkie te zatechnięte rury. Krainie z wilgoci i rdzy. Mówił do niej mieszając ścieki w ustach, leżąc na wznak pośrodku wielkiego łoża nakrytego poplamionym prześcieradłem w kratę, a ściany jego pokoju pełne były wystających zębatach kółek i odpływowych siatek. Leżał i mówił przykładając końcówkę rury do ust, szeptał głosem puszczonego z zepsutej płyty. Głosem, który już dawno temu postrzegł czas, zgrzytliwym i pełnym brudu, przyzywając imię jej brata głęboko pod powierzchnią jaźni.

Uniosła kłapę.

Oczy miała szkliste, skórę wilgotną od potu. Mokre pasma włosów opadły jej na twarz kiedy niepewnie pochyliła się do przodu. Wybuchła krótkim, zdławionym śmiechem. W świetle jarzeniówek uśmiech ten rozbłysł szaleństwem i natychmiast zgasł.

Łazienka po obu jej bokach jakby się cofnęła, wykonała krok wstecz i ściany rozpląnęły się w zamazanych pasmach wyciągając daleko w tył niczym na filmowym kadrze. Ktoś szarpnął świat z tyłu za ogromny, irracjonalny łańcuch i przyciągnął do siebie. Być może to ona została popchnięta w przód, być może nie stało się nic, być może dokładnie wszystko i z głębi muszli eksplodowała głęboka czerni. Uderzyła ją w twarz wypychając oddech i świadomość jak przez dmuchaną słomkę. Rose zgięła się w pół, później osunęła niżej, w końcu runęła na kolana. Odruchowo zaparła się dłońmi o krańce muszli, paznokcie jej lewego kciuka eksplodował w krwawej mgiele odrywając się od ciała, ale nie poczuła tego, bo przestała odczuwać w ogóle. Dłoń się jej omsknęła, potem cała ręka wpadła do środka. Spieniona czerni nakryła ją swoim płaszczem niczym kielich zamykającego się kwiatu. Jej popękane myśli rozpląnęły się i pociekły w dół jaźni. Słodka czerni przedarła się przez zaciśnięte szczęki do gardła i wypełniła jej ciało. Wtedy przestała myśleć w ogóle i upadła w pak czarnej róży.

Rzeczywistość urwała się niczym filmowa taśma w projektorze. Świadomość stała się zepchniętym na podłogę wazonem; potłuczona i w kawałkach. Ciało było jak przetrawione i wypłute w ropnej mazi do rynsztoka. Chciałoby się zaśpiewać spojrzeć w niebo i umrzeć, ale widok nieba nie był jej przeznaczony. Podobnie jak koniec i śmierć.

Stoi teraz w jednym miejscu pośrodku niczego. Sama, jako każdy kim chciałaby być prócz samej siebie; jednocześnie jako nikt, bo może być jedynie sobą. Stoi choć się porusza; to wiruje ciemność dookoła. Wiruje coraz szybciej podczas, gdy gdzieś nad jej głową jasnym blaskiem zapala się srebrna dziesięciocentówka światła. Sunie w przestrzeni - jasność sunie. Ciemność tymczasem obraca się ślisko, jakby dobrze naoliwiona, tak tłusta, że wszelakie ukryte w niej pokraczne mechanizmy rodem z krainy Mordoru działają bez zarzutu. Nagle zdaje sobie sprawę, iż to nie ciemność się porusza. I nie światło, wielkie teraz i srebrzyste jak księżyc, który wcale nie jest srebrny, lecz niebieski. Porusza się Rose, w tym zastygłym wirze stopklatki, spirali mroku. Niczym pocisk wystrzelony z gwintowanej lufy karabinu, trafia w końcu do wyjścia, wypada na zewnątrz wprost w naginaną jak guma z procy czasoprzestrzeń, która wstrzeliwuje ją tam z powrotem... wpada więc tyłem, cofa z impetem wstecz. Szalony rollercoaster pędzący szynami spiralnej pajęczyny rozpiętej pomiędzy gwiazdami mlecznej drogi. I galaktyka ta jest niczym innym, jak kosmosem jej własnej jaźni, pajakiem zaklętym w błękiecie jej oczu. Zaczyna spadać, zapadać się... do przodu. I niebieska tarcza księżyca staje się nagle... niebieską taflą nieba, takiego jak to wiszące nad Maine, dnia dziesiątego lipca w południe.

Rosalyn Waters sięgnęła ręką w kierunku tego nieba, próbując je uchwycić niczym dzieciak mający nadzieję, że tym razem uda mu się złapać wstęgę płynącą z kranu wody, spojrzeć w niebo i umrzeć, ale natrafiła palcami na płynną materię błękitu. Rozpostarła dłoń szeroko, a niebo przeciekło przez jej palce... i niebo to nagle przestało istnieć, kiedy odnalazła ją świadomość i wszystko cofnęło się znowu, jak na przewijanym do tyłu filmie.

Jakby rozerwawszy cienkie warstwy gazy upadła w szare tumany dieslowskich spalin. Czerń zamknęła się nad jej głową gasząc jasność. Dym palił ją w oczy. Przez zmrużone powieki wpięrw ujrzała kontury rzeczy. Dopiero potem, gdzieś z góry, spłynął na nie kolor i je wypełnił. Przeraził ją widok zielonego, ryczącego potwora, jaki ujrzała. Dopiero po chwili pojęła, że to bagażnik obracej ciężarówki z tylnymi kołami wzniesionymi na dziwnym, ceglany rusztowaniu. Potężny ryk silnika uderzył ją w uszy, aż się skuliła. Zawadziła o coś barkiem strącając to brzdękem na ziemię. Radio. Przestało grać. Stare jak na obecne czasy. Czy przypadkiem podobnego nie miał jej ojciec, zanim...

Przez chwilę niczym w delirium patrzyła na tylnią, poobijaną klapę ciężarówki, a gdzieś pod powierzchnią czaszki odpaliła jej ognista kometa, po której została roziskrzona smuga. Niezdarnie zrozumiała, jaki to model, choć przeczyło to wszelkim zasadom logiki, bo przecież niemożliwym jest, aby...

Jakaś od dawna napięta w niej struna pękła nagle i ucięła te myśli.

Pogrążona w cieniu niezdarnie wycofała się do tyłu. Dodge Pickup z 58' roku. Nie musiała nawet sprawdzać, czy ma wymienione, brązowe błotniki z przodu. Po prostu wiedziała. Ta irracjonalna pewność przerażała ją równie mocno co napawała fascynacją.

Ale skoro był tu samochód, to powinien być i...

Drzwi kabiny otworzyły się zgrzytliwie i z ciężarówki powoli wygramolił się Butch Waters. Ojciec. Poprawił zabrudzone smarem spodnie. Właśnie skończył układać cegły na pedale gazu.

- Tatku - jęknęła. Jakiś zatarty od lat mechanizm poruszył się w niej na nowo i Rose poczuła, jakby ktoś wrzucił ją do starego albumu rodzinnych fotografii, zbiornika pełnego wody, na której unosiły się te wszystkie zatrzymane w bezruchu twarze Zakrzusiła się spalinami i w tej samej chwili jej ojciec odwrócił głowę w kierunku ciemnego kąta, w którym się skuliła. Zamarta, nie mogąc wydusić z siebie słowa, choć w jej wnętrzu ktoś o głosie nastoletniej dziewczynki wrzeszczał oszalały. Butch Waters mruknął pod nosem coś pod adresem radia i ruszył kierunku silnika nie poświęcając temu najmniejszej uwagi.

Tutaj wszystko się zaczęło - skomlał dziewczęcy głos w jej głowie. - Wszystko zaczęło się tutaj, zaczęło się dokładnie za chwilę.

Ogarnęło ją desperackie poczucie tęsknoty za ojcem.

Stój! - wrzasnęła dziewczynka z jej głowy. - Nie waż się tego zrobić!

Niby czego? - zapytała w myślach podnosząc się z ziemi.

Nie waż się, go poczuć. Wcale tego nie chcesz, prawda?

Skąd możesz wiedzieć, czego pragnę?

Wcale tego nie chcesz. Wcale ich nie chcesz!

To kłamstwo!

- Jesteś tego pewna? - zachrypiała głosem, który ją przeraził. - Jesteś tego pewna, tak jak uśm-iechu k-ota?

Przed jej twarzą rozklekotany bagażnik dodge'a drżał w takt ryczącego diesla. Samochód jej ojca, mistyczny jak potwór zbudowany z zielonej blachy, którym często zabierał ją na przejażdżki do miasta albo na piknik. Garaż jej ojca, do którego czasem zakradała się dyskretnie, by obserwować jak naprawiał, skręcał i zbijał. A radio w kacie grało stare, rockowe kawałki w kółko i ktoś w środku śpiewał spojrzyć w niebo i umrzeć, być może sam Johnny Cash. Dwadzieścia lat wstecz, choć odniosła wrażenie, jakby ten garaż od łazienki w jej domu dzieliły zaledwie sekundy.

- To niemożliwe...

To nieuniknione.

Błędem byłoby stwierdzić, że jej oczy zrobiły się nagle mokre od łez; od początku takie były. Jednakże dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to płacze dorosła kobieta, którą była, nie dziecko z jej głowy, którym być przestała. Histerycznie zacisnęła pięści. Paznokcie wbiły się w ciało jej dłoni zostawiając po sobie krwawe półksiężycy. Spojrzała na nie z przerażeniem.

Zastanawiałaś się kiedykolwiek dlaczego jesteś taka wadliwa, Rose? Nie okłamiesz mnie, wiem wszystko doskonale. Jestem dziewczynką z twojej buzi. To jak będzie, dobijemy targu? Zostało ci ostatnie dziesięć sekund do końca świata.

Ale ja nie je-stem w-a-dliwa...

Oczywiście, że ty nie jesteś. - przerwał beczelnie głosik z jej głowy. - Wadliwa jesteś TY i tylko TY. Sądzisz, że to z powodu ich śmierci, tak myślisz, prawda?

Jak potrafię być normalna, skoro ciągle się psuję - wyskamlą w głębi.

Wiesz czemu się psujesz?

Bo od zawsze by-łam brudna.

Mylisz się. Jesteś brudna, bo twój ojciec był brudny, i twoja matka. I twój braciszek także, chociaż ob-d-arzyłaś go uś-miechem k-ota. 'Zawsze' nie istniało dla ciebie nigdy, tylko jedno długie 'teraz.' Teraz jesteś brudna, Rose. Dalej tego nie pojmujesz? Oni byli brudni. Wszyscy, którzy splamili czernią ciebie! Brudni od zawsze, a teraz tylko TY. B-RU-DNI!

(!!!)

Drewniane drzwi garażu otworzyły się delikatnie jak za podmuchem letniego wiatru. Ciasna szczelina słonecznego światła oślepiła jej oczy. Jasność szyderczo rozplynęła się smugami po zranionej jaźni niczym farba z płukanego w wodzie pędzla. Dziecięcy cień wślizgnął się do pomieszczenia niczym wąż i rozplynął pośród mroku. (Nie) ujrzała tego. (Nie) patrzyła kiedy przysłonięte słońce konspiratorsko zgąsło

!!ZGASŁO!!

na moment, a w chwilę później drzwi ponownie się zamknęły niczym pchnięte identycznym wiatrem. Jakby na skraju koszmarnego snu zobaczyła jak w zwolnionym tempie wyrzuca lewą nogę w powietrze i trafia nią w zderzak ojcowskiego auta.

Jedna z cegieł w przechylanym rusztowaniu eksplodowała w podmuchu czerwonego pyłu. Gdzieś z przodu ojciec krzyknął od oparzenia się o tło, ale jego krzyk utonął w ryku, jaki wydobył się spod kół kiedy zaryły w piasku. Rose skuliła się w kacie zasłaniając dłońmi uszy. Tumany piasku uderzyły w jej ciało, kłując i rozcinając delikatną skórę. Krzyk, choć nie rozumiała, czy był to krzyk jej czy zranionego świata, którego była częścią, i któremu odbierano właśnie ktoś z istnieć.

Pickup wyrwał do przodu z hukiem przebijając się przez drewno i blachę. Blaszone ściany zadygotały w fasadach i wszystko jakby przesunęło się o kilkanaście cali za samochodem. Potłukły się okna ojcowskiego garażu, pospadały z brzękiem śrubokręty i francuskie klucze. Półka z nakrętkami pękła w połowie i trzasnęła o ziemię. Rose wciskała się w kąt, starając nie patrzeć się na ciężarówkę

z rykiem mknącą w kierunku, którego znać nie chciała, choć wydawał się on najbardziej oczywisty.

Szukając odrobiny cienia po omacku miotła rękoma bijąc ściany i okoliczne szafki. Uderzyła ręką o jakąś butelkę i stłukła ją głęboko rozcinając sobie nadgarstek. Ból pociękł wzdłuż jej ręki razem z ciepłem krwi. Jasność wdarła się do garażu przez potężną wyrwę w ścianie. Rose zakrztusiła się pyłem. Usta miała pełne piasku. Z ledwością otworzyła skatowane oczy, kiedy w oddali cichnący ryk samochodu przeistoczył się w potężne uderzenie pękających z hukiem desek. Wtedy jej świadomość przeskoczyła w nadprzestrzeń rozmyślań i ujrzała wszystko z zupełnie innej perspektywy.

Prasnęły ściany domu od strony tylnego wejścia. Długie drzazgi drewna pofrunęły w powietrzu ruchem wirowym, wczepiając się w firankę, opryskując podłogę i meble. Implodowały kuchenne szyby krzesząc w powietrzu rozbłyśki światła. Strzeliły rury, po jednej w każdym zlewie i fontanny kryształ trysnęły w powietrze, aż pod sufit. Samochód śmignął w wąskim paśmie jej percepcji podzielony na troje – przód, środek, tył, i zatopił się w przeciwległej ścianie, przebił ją, potem przez korytarz przedpokoju. Odgłos darcia był nieznośny. Jakby rozdzierano ogromny, płócienny worek. Trzask drewna, jazgot blachy. Kolejne uderzenie, to pękała wewnętrzna ściana domu. Następny huk, kiedy samochód uderzył w ścianę nośną salonu i na niej zatrzymał wymiatając dywan spod kół.

Czekała na trzask walącego się stropu, a w czekaniu tym sekundy upływały niczym godziny. Czekała, z rozpaczą brodząc w modlitwie

(boże, niech to się już skończy, słodki Jezu, spraw, bym miała to już za sobą, błagam cię na wszystkie świętości)

jak jeszcze nigdy wcześniej. Dźwięki były jak ogromna fala zalewająca z rykiem plażę, na której samotnie stała malutka ona.

Budna.

Machinalnie powiodła wzrokiem wzdłuż ręki, ku rozerwanemu nadgarstkowi. Jej oczy otwierały się coraz szerzej.

W oddali nowe pęknięcia pokryły ścianę kominka w salonie domu. Tynk posypał się na maskę i dach samochodu ojca. Strzeliła potężna wyrwa w suficie, deski z jękiem wygięły się ku dołowi pod własnym naporem. Strop pękł niczym płyta pilśniowa łamana na kolanie, zasypując auto meblami i gruzem. Komoda mamy, jej kanapa, dywan i poduszki, parę krzesel; wszystkie spadały i tłukły się na dole.

B-ru-dna.

Niezdarnie skulona w kącie garażu uśmiechnęła się krzywo. Trzy wąskie odłamki barwionego szkła sterczały z jej ręki niczym połamane maszty, lecz to nie one ją rozśmieszyły. Gęsta czerrć wyciekała z tej rany niczym ropa naftowa z pękniętego zbiornika tankowca. A to już było zabawne. Cha-cha-cha! Jak komedie Woody'ego Allena, kiedy na końcu bohater-milioner kończył bez spodni i z dolarem w portfelu. Świetny dowcip wart każdej ceny w sobotnim quizie na kanale piątym.

Rose wzięła jeden, głęboki wdech.

Ostrożnie wyjęła palcami szkło i rzuciła gdzieś przed siebie, jeden kawałek po drugim. Nie czuła bólu, ta ciecz musiała działać kojąco niczym morfina. Czerrć popłynęła mocniej. Nie czuła bólu. Czuła ją, jakby pod ciśnieniem wysysaną na zewnątrz. Chciała się wydostać z jej ciała. Rose nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wyrwała się na wolność, niczym wymioty w czasie torsji.

Dreszcz.

Więc chodź. Są światy inne niż ten.

I Rose wstała, by ruszyć do wyjścia tropem śladów kół. Włosy miała w nieładzie, rozczochrane kosmyki sterczały na różne strony oblepione mieszkanką potu i brudu. Wargi opuchnięte, pogryzione na strzępy. Podkład z czerwonej szminki (świadomość, że zrobiła go zaledwie przed paroma minutami wydawała się zupełnie bajkowa) zniknął gdzieś pod warstwą cieczy, którą krwawiła. W młym świetle lipcowego słońca, jej uśmiech lśnił bielą poprzecinaną straszliwymi żyłami głębokiej czerni.

Wlokła się niczym poranione zwierze. Słońce raziło ją w oczy, więc je zmrużyła. Przekroczyła rozwaloną półkę z nakrętkami, krzywiąc się po nadeptnięciu na niektóre z nich; na stopach miała jedynie cienkie pantofle z gumową podeszwą.

(jeśli to sen, to jakim cudem czuję?)

(może to wcale nie jest sen)

Dyszając zrobiła kolejne trzy kroki, kiedy radio na tyłach garażu odezwało się niespodziewanie rwanym pasmem zakłóceń.

... fragment zaprzysiężonego zeznania... Rosalyn Horn złożonego... Komisją Śledczą Stanu Maine... w związku z... miały miejsce... w... dziesiątego lipca... pięćdziesiątego ósmego... w Castle Hill, Maine...

- Pani Horn, czy mieszka pani na stałe w Pleasant View?

- Naz-y-wam się Waters.

Zatrzymała się i obróciła spłoszona. Kucnęła nasłuchując niepewnie. Głosy, które do niej dochodziły brzmiały znajomo. I słowa rwane częstotliwością na kawałki, zatarte, jakby wyjęte ze starego filmu, innego wymiaru żyjącego pod kruchą tkanką tej rzeczywistości.

- Hej, Rose. To radio... Chc-esz z-obaczyć uśm-iech k-ota?

Wróciła w głąb garażu, w miejsce, gdzie

(i wtedy ja przeszłam na drugą stronę lustra)

upadła,

(z nieba wysokiego na ziemię)

a wraz z nią runęły wszystkie bariery rzeczywistości, jedna po drugiej niczym kostki w reakcji domina. Stanęła ponad szumiącym radiem ojca. Leżało na boku, na wpół przysypiane piaskiem. Przypomniało jej się, jak kiedyś słuchała na nim Johnny'ego Casha jedząc czereśnie z sadu. Matczynym gestem wzięła je w ręce i podniosła głośnik do ucha.

- ... dziesiątego lipca... dlaczego... drucianą szczotką...- pytał wladczy, męski głos.

- ... czarna materia...

- ... miazgę...

- ... jesteś-my... bru-d-ne...

Ponownie spojrzała na rozcięty w czerni nadgarstek. Konspiratorskie szepty z radia umilkły, jakby nigdy wcześniej ich tam nie było i pozostał jej tylko szum. Słuchała przez chwilę tego szumu z nadzieją, że głosy pojawią się znowu. Nie pojawiły się. Zostawiła radio i poczęła się ostrożnie wycofywać na zewnątrz. Do światła, do ciepła, czegokolwiek mogącego rozrzedzić jej splątane myśli, bez nadziei, że kiedykolwiek to się uda.

- Są światy inne niż ten – dobiegł ją dziewczęcy głosik zakończony chichotem. Tym razem nie z jej głowy, lecz radia, a potem umilkł wraz z zakłóceniami pośród ogłuszającej ciszy. I na tę chwilę jakby umilkło wszystko inne. Tylko gdzieś w oddali szczekał pies, być może nawet w drugim mieście. W upalne dni takie jak ten, dźwięki potrafiły nieść się równinami Maine przez długie kilometry. Niemal wyobrażała sobie złote połacie pól ciągnące się jak z bicia strzelił, aż po horyzont jak na zdjęciu rodem pocztówki, kiedy raptem niebo w tym obrazie zalało się czernią. Zgasło słońce, a potem wielki czarny strumień wylał się z jego tarczy i runął na te złote pola zmiatając z nich wszystko spienioną falą.

Więc chodź.

Otworzyła powoli oczy.

Czarna materia. Więc tak się nazywała? Czuła ją, wypływającą z rany. Aha. Jej materia.

Odniosła wrażenie, jakby dotarło do niej coś niesamowicie dla obecnej sprawy ważnego. W zadumie zmarszczyła brwi, nie mogąc odkryć, o co chodziło i czy w ogóle chodziło o cokolwiek. Jej skołatany mózg co chwilę podsuwał jej obrazy, których znaczenia rozszyfrować nie potrafiła. Połamane huśtawki, zdeptane kwiaty. Białe, drewniany płot, tak bardzo podobny do płotu przed jej rodzinnym domem, teraz leżący w kawałkach na trawniku. Dom w końcu.

Ostrożnie przekroczyła poszarpaną wyrwę w przedniej ścianie garażu. Blacha tutaj była powykręcana na zewnątrz niczym serpenty. Stanęła niepewnie pośród nieruchomych tumanów pyłu. Szyby światła przebiegały pomiędzy jego zwalów niczym na

obrazku 'Bóg przemawiający do Abrahama' w książce katechetycznej, którą jako dziecko przeglądała w szkole. Odetchnęła ciężko. Mrużąc oczy uśmiechała się szeroko w kierunku słońca, tak – chyba z tęsknotą za jego ciepłem na twarzy. Poczula się odrobinę lepiej, ale tylko odrobinę. Stanowczo za mało jak na uśmiech, więc przestała się uśmiechać.

Czarna materia skapywała po jej palcach na ziemię upadając w piach niczym gęsta smoła.

- Dom – szepnęła Rose suchym, ziarnistym głosem przechylając głowę w bok, aż nie strzeliły wszystkie kręgi w jej szyi.

Niepewnie ruszyła przed siebie. Szła tropem wyrytym kołami Dodge'a, znacząc swoją drogę tropem własnym; łańcuszek czerni wyznaczał plamami jej kroki. Zniknęła pośród gęstych kłębow pyłu, zupełnie malutka i taka samotna. Rozcięta ręka zaczęła ją piec, więc jęczała.

Ryła w połamanym ostrokrzewie. Ojciec posadził go jeszcze przed jej narodzeniem, aby odgrodzić dom od warsztatu. Nigdy nie zbliżała się do niego przed osiągnięciem wieku ośmiu lat i jeszcze nigdy o niego nie skaleczyła. Teraz kolce poszarpały jej kolana i stopy. Zdarły z tydek strzępki skóry. Jakiś pęd odgiął się i uderzył ją w twarz. Ukłękła, zrażona niespodziewanym atakiem. W podbicie jej stopy wbiła się naraz kilkanaście długich kolców. Jej niegdyś białe pantofle teraz przesiąknięte były czernią do cna. Pod jej lewym okiem rozkwitła w ranie paleta mroku i spłynęła w dół twarzy. Zlizwała tę słodycz językiem unosząc głowę. Podniosła się cała i ruszyła dalej, raz po raz wstrząsana drgawkami. Tuliła zranioną rękę do piersi kołyszając się na boki. Nie bolało. To wcale nie bolało. Tylko jaźń. Ona bolała bardzo. Zmasakrowana na czarną miazgę jak po obróbce miksera.

- Dom – powtórzyła z żalem, podążając tym pobożowiskiem. Już niedługo. Czula jak tęsknota rosła w jej sercu im podchodziła bliżej. Już niedaleko. Tuż, tuż. Wyszła z tunelu w ostrokrzewie i przyspieszyła kroku. Tchnienie miała suche, niespokojne.

Pojawił się czereśniowy sad. Wyrzucił spośród kłębow kurzu mistyczny i głęboki niczym zamglony las z powieści Lewisa Carolla. Nieco z lewej. Kilka pierwszych drzew i ozdobne wejście z kutego żelaza. W tym sadzie niegdyś grywała z Bobbym w berka. W dni słoneczne takie jak ten. Przypomniła sobie, jak kiedyś upadła w kosz czereśni i mama pomyślała, że ich sok to krew. Ale to było dawno i teraz nie miała już na sobie tamtej błękitnej sukienki w kwiatki, ani niczego z dawnych lat poza wspomnieniami. Uśmiechnęła się do tej myśli powłócząc w piasku poharatanymi nogami. Nie musiała nawet opuszczać wzroku, by wiedzieć, że tam w dole cała ociekała czernią.

Drewniana altanka. Ojciec zbił ją kiedyś z desek, jakie zostały mu z remontu ganku. Miała wtedy cztery lata. Białe drewno wyglądało niczym połupane kości, rozrzucone niedbale na trawie. Tutaj, w soboty, siadali całą rodziną i pili mrożoną herbatę. Teraz krzesła zostały poprzewracane, a dębowy stół przełamany na połowy pośród kobierca drzazg. Na tym stole, na tym stole kochaj mnie. Czy to nie tę piosenkę mama nuciła czasem ojcu wieczorami? Być może właśnie tę. Być może nie musiała nucić wcale, by i tak wiedzieć, że ją kochał.

Rose zatrzymała się przy krzesłach. Je kupili później. Na wyprzedaży w mieście. Pamiętała ten dzień dobrze, bo wtedy ułamał się jej pierwszy, mleczny ząb. Później, o zmierzchu na jednym z tych krzeseł kuliła się płacząc, zanim nie przyszedł do niej ojciec i jej nie przytulił. A potem wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

Ruszyła dalej zostawiając altankę za sobą, a wraz z nią tamte wspomnienia. Stąd słyszała już szum wody w kuchni. Dobiegał z opóźnieniem, pachnący soczystą przeszłością. Przyspieszyła kroku. Skatowane nogi pulsowały szaleńczym bólem. Sprawiały wrażenie odlanych ze szkła, które za chwilę imploduje w mgławicy drobniotkich odłamków. Ale myśli o domu odepchnęły te rozterki. Boże, jak bardzo za domem teraz tęskniła. Tęsknota dodawała jej bodźca, pchała w plecy niczym wiatr, i z każdą chwilą mocniej. Złota dolarówka słońca rozbłysła gdzieś u góry niczym supernowa i fala światła padła na zdewastowane podwórko. Kurz się rozrzodził. Zobaczyła powyginaną huśtawkę brutalnie przewaloną na bok. Prezent na jej dziesiąte urodziny; metalowe ramiona biernie wskazywały niebo. Minęła je nie odwracając głowy. Płuca. O Jezu, jej płuca płonęły! Zabrakło jej tchu, lecz była stanowczo zbyt blisko, jednocześnie zbyt daleko od całej reszty, by móc teraz zaprzestać. Bliźniacze ślady kół ryły głęboko w trawniku rozkopując go na boki. Ojciec kosił ten trawnik w zeszły piątek. Było jej przykro, bo nie wybaczyłby sobie, gdyby wiedział, co się z nim stało. Połamane kwiaty. Ogród jej matki. Nasturcje, tulipany i róże. Ich wonny zapach uderzył w jej nozdrza wywołując wspomnienia poranków, które spędzała tutaj pośród rosy i słońca. Konfetti ich płatków okalało ziemię kolorowym dywanem. Deptała ozdobny groszek rozwleczone pod jej stopami. Kilka jego pędów zaplątało się jej w kostki. Schyliła się, by go zerwać i rzuciła dalej już biegiem ocierając łzy. Łkając dobiła do rozprutego płotu. Ujrzała deski połamane niczym wyszczerzone zęby. Przeskoczyła te resztki, jedna po drugiej i pędem puściła się przez wilgotny od rosy trawnik. Tutaj ślad skręcał z rozmachem przewalając trawę na lewy bok. Powiodła za nim wzrokiem, a kiedy w końcu zobaczyła, jakby ziarno piasku upadło w mechanizm jej biegu i nogi raptem odmówiły posłuszeństwa. Prześlizgnęła się po trawniku wymachując rękoma i runęła z jękiem do przodu. Świat zawirował niczym kalejdoskop zwinięty tubą wokół jej oczu. Świadomość urwała się nagle i brutalnie, jakby po ciosie policyjną pałą w spłot słoneczny. Zanim powróciła, Rose zaryła barkiem w ziemię, bezwładnie sunąc przed siebie. Zatrzymała się. Rzęzenie. Oddech... jej. Wbrew wszystkiemu był pocieszający. Uświadamiał jej, że jeszcze żyła i trwała, chociaż resztkami sił.

Jęknęła przeciągle z policzkiem przyklejonym do trawy. Z trudem przekręciła się na plecy i spojrzała w niebo. Niebieskie. Jak każdego lipcowego dnia w środku Maine, prawda? Spojrzeć w niebo i umrzeć, jak w tej starej piosence. Czy kiedykolwiek spojrzysz w to niebo do końca? Kiedykolwiek, lecz jeszcze nie teraz. Spojrzeć w niebo, by zapomnieć. Nie, jeszcze nie.

Dom. Był tutaj. I ona też była. Podniosła się i ruszyła w stronę kuchni.

Gruz. Wszędzie. Przemieszany z kawałkami desek i szkłem. Do koła niej wyrastał kwiat nieopisanego chaosu naraz przykrywając swymi płatkami wszystko inne. Z rozpaczą deptała potłuczone strzępy pastelowego świata dzieciństwa, który upadł tutaj i już nigdy nie powstał. Gorycz i żal przelewały się w niej kipiącym roztworem, jednakże były niczym w porównaniu z uczuciem powrotu, jakiego doświadczyła. Czas cofnął się wstecz na zegarku, którego nie potrafiła objąć umysłem i oto znów stanęła u rozerwanego progu własnego domu. Potężnej wyrwy w sercu tej rodziny, zminimalizowanej do miary jej serca i nieustannie krwawiącej. Stąpała pośród tego syczącego pobożowiska z szeroko otwartymi oczyma. Lecz zamiast szoku, ziała z nich pustka. Głęboka i czarna jak materia, którą krwawiła. Poczucie wewnętrznego wstrząsu nie miało racji bytu w sytuacji, której już kiedyś doświadczyła. Czula się wyrwana z kontekstu, wycięta z innej fotografii i przeklejona do drugiej, lecz mimo to nie obco. W żadnym wypadku. Przecież już kiedyś tu była.

Przed jej mizerną postacią wyrastała kulista wyrwa średnicy kilkunastu stóp. W miejscu w którym w ścianę wbiła się ciężarówka ojca, domu nie było. To oczywiste, był w innym miejscu. W kawałkach i wszędzie dookoła. Była także dziura, która niesmacznie kojarzyła się z dziurą po postrzale w głowę. Jakiś żartowniś z Saturday Night Show mógłby stwierdzić, iż tutaj rodzina Watersów otrzymała wielką kulę w łeb.

Nie bawił jej taki humor.

Przekroczyła to, co kiedyś było progiem jej domu, teraz tylko stertą drewna, z przeświadczeniem, że wchodzi do ostatniej krainy czarów. Odsuwając nogami połamane deski, chwiejnie wkroczyła do kuchni. Tam się zatrzymała.

Zza rogu wyłonił się nakryty do obiadu stół. Talerze, sztućce, po środku wciąż parująca miska z tłuczonymi ziemniakami, kompot z czereśni rozlany do czterech szklanek z matowego szkła. Ale poza tym stół był pusty. Trzy nakrycia i krzeselko braciszka rozbite na kawałki. Przez chwilę wydało jej się to oczywiste: przecież jak mogłaby być tam, skoro pojawiła się tutaj. Strach przed ujrzeniem samej siebie sprzed wejścia w głęboką strefę cienia stał się nagle bardzo miękki, aż w końcu rozpułnął w ogóle, jakby wcale nie był strachem tylko lodami pozostawionymi na słońcu.

Wpełzła jeszcze odrobinę. Krwawy widok ciała mamy i szczątków Bobby'ego w połamanych rękach rozerwał jej nerwy niczym wiatr pającyczyny. Poczula się jak podczas szaleńczej jazdy kolejką górską, o krok od utraty przytomności i zmysłów. Zbyt brutalnie jak na obecne realia, zbyt brutalnie jak na cokolwiek, co już widziała i teraz wydawało się jej to zaledwie rozmytym snem. Ale potem, z tyłu, z trzaskiem strzeliła deska i myśli o tym przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Odwróciła się powoli i ona szła do niej.

W pierwszej chwili pomyślała, że to jakiś ponury żart. Jej ciało było pokraczne, jakby zapadłe do środka, wysane z emocji i życia irracjonalną strzykawką wbija w jaźń. Potargane niczym małe monstrum nieudolnie wydarte z papieru. W szarych promieniach słońca sprawiała wrażenie ofiary wypadku, zjawy zbiegłej z czyjegoś kosmaru. Włosy miała rozczochrane, a niebieską sukienkę w strzępach. Nogi po kolana zmasakrowane we krwi, jakby brodziła w potłuczonym szkłe. Lepka od potu i cała brudna, z drugiej strony taka malutka i beznadziejnie pogrążona w tym chaosie sprawiała żałosne wrażenie kiepsko ucharakteryzowanej kukły. Jej oczy – pozbawione wyrazu, jak oczy wściekłego psa i lśniące mętnie, wyglądały niczym dwa bursztyny nieprzypadkiem jarzące się z oczodołów. Człapała z trudem, a opuszczona głowa podskakiwała w rytm jej kroków. Płytką raną na policzku ociekała szkarłatem, znacząc delikatną linię jej szczęki. I linia ta przesunęła się w dół, kiedy miała uśmiechnąć się półgębkiem. Jedną ręką pśotnie skryta za plecami, nadgarstek drugiej rozcięty głęboko ociekał krwią. Kiedy Rose ujrzała go i ten szkarłat miarowo kapiący na ziemię, szkarłat jak czerń, który jednak wcale czernią nie był, choć zdawał się płynąć z identycznej rany... skomląc wycofała się do tyłu, weszła głębiej do kuchni, pchana mieszaanką strachu i niepewności. Tam nogi się pod nią zarwały jakby wpadła w bajoro i uklękła nie mogąc iść dalej.

Dziewczynka z groteskową zwinnością przekroczyła rozwaloną stertę gruzu, skacząc z deski na deskę i stanęła dokładnie na wprost niej. Przypominała tym strażnika więziennego, który przybył na inspekcję celi, kogoś, kto znacznie lepiej wie, co robiłaś wczorajszego dnia i ponieważ jesteś ścierwem, ma prawo uderzyć cię pałką.

Rose patrzyła na jej poranione, bōse stopy. Mała wykonała kolejny krok i dźwięk ten był mokry jakby właśnie rozdeptywano soczysty owoc.

- Hej, Rose - zawołało to dziecko wylaniając drugą rączkę zza pleców - H-ej, Rose chc-esz z-obaczyć uśm-iech k-ota?

Przed jej twarzą zamigotał krótki, drewniany uchwyt. Rączka obróciła się ponownie, ukazując jej poskręcane druciki starej szczotki do zdzierania farby, którą ojciec trzymał w garażu.

- B-ru-dni, Rosie. Dlatego trzeba szorować i szorować na błysk.

Najbardziej na świecie Rose zapragnęła teraz wrzasnąć.. Ale krzyk nie potrafił przedostać się przez jej gardło, bowiem wpięrow podeszło do niego serce, a teraz żołądek i reszta trzewi. Nie mogła także wstać, nogi miała jak wykute z lodu: zimne i bezwładne. Odwlokła się w tył niczym sparaliżowana, a potem jeszcze trochę. Ciężko jej było określić czy bardziej ze strachu, niż obrzydzenia. Być może z powodu obu, a im odsuwała się bardziej, tym mocniej czuła, że zewsząd umykał sens realności, a miejsce po nim wypełniał absurd w najczystszej postaci. Natrafiła palcami na wodę z popękanych rur. Wzdrygnęła się na jej zimno, ale nie zatrzymała. Nie wyobrażała sobie, aby móc się teraz zatrzymać. Te wulgarne w swej niewinności stworzenie człapało jej tropem znacząc podłogę krwawymi śladami stóp. Trzymająca szczotkę rączka chybołała się niczym wahadło w lewo i w prawo, rozbrzmiewając wymaginywanym tik-tak, tik-tak. Człap-człap.

- Przed czym uciekasz? - zapytała dziewczynka i Rose zatrzymała się pośladkami na granicy wody. - To nie jest niemożliwe, tylko nieuniknione. Wiedziałaś o tym dwadzieścia lat temu, czemu nie wiesz tego teraz? I to ja jestem skażona?

Rose nie odpowiedziała. Podniosła za to głowę i spojrzała dziewczynce w lśniące oczy. Wstrząsnął nią ich blask, ale nie odrzucił. Patrzanie w nie przypominało próby dojrzenia twarzy człowieka przez światło latarki, którą trzymał przed sobą. Stwierdziła nagle, że ten blask wcale nie jest tępy, tylko pełen nadziei. Nie tak świecą oczy wściekłego zwierzęcia, tylko latarnia morska wypatrywana w czasie nocnego sztormu.

- Myślisz, że niemożliwym jest, bym miała twoje rany na ciele. Nonsens. Nieuniknionym jest, byś nie miała na sobie moich ran. Och, Rose. Jesteś taka skażona. B-ru-dna.

- Przepraszam - odruchowo odezwała się Rose spuszczać głowę. Podkuliła nogi, w których raptem odzyskała czucie. Mogłaby wstać i uciec, jak pragnęła jeszcze przed chwilą, ale nie zrobiła tego. Zmasakrowane dziecko, które przed nią stało, niespodziewanie wydało się teraz najbardziej upragnioną rzeczą tego świata. Rozwiewało wątpliwości, a to one właśnie leżały u podstaw jej problemów - ta ostatnia myśl tchnęła świeżością; nigdy nie patrzyła na to w taki sposób. Zdecydowała się przy niej pozostać. I przy dziecku też.

- Nie ty powinnaś przeproszać, tylko oni - dziewczynka kucnęła obok i musnęła dłonią jej policzek. - Spójrz na mnie.

I Rose spojrzała. Linię ust wygięła w drżącą podkówkę, a potem zakryła je dłońmi. Poczła jakby dane jej było spojrzeć w lustro cofające rzeczywistość wstecz. Ujrzała czternastoletnie, zakrwawione dziecko, w którego oczach jawił się nieprawdopodobny wręcz błękit i wiedziała, że są to także jej oczy. Coś głęboko pod ich szklistą powłoką, a co ona po prostu musiała wylapać, szaleńczo płynęło z lodowatym strumieniem pośród błękitu żreń. I czymkolwiek to było, Rose po prostu musiała do dostrzec. Nie umiała tego nazwać, ale było to znajome, bo jakby wyjęte wprost z lustrzanego odbicia.

W tej chwili poczuła się zatracona potężniej niż kiedykolwiek. Pojawiło się drażące umysł pragnienie śmierci, uśmierzenie tego bólu w metalowym blasku brzytwy.

- Nie płacz - odparła ciepło, ze zrozumieniem. - Nie bój się.

- Nie boję...

- Nie umieraj, bo nie sądzę, aby to było prawdziwe.

Rose nie odpowiedziała. Znowu spuściła wzrok wlepiając oczy w podłogę, jak zawsze kiedy traciła wątek. Pragnęła się odezwać, nie wiedziała jednak, od czego zacząć. Milczała więc, licząc, że mała podejmie rozmowę pierwsza.

- Boisz się, że stracisz ich wszystkich, kiedy zrozumieją, że wcale nie jesteś taka czysta, jaką się wydajesz - podjęła, od razu przechodząc do rzeczy. - Ale mylisz się, ty nie należysz do nich, a oni nigdy nie należeli do ciebie. Są jak suche liście. Niczyi, a już na pewno nie twój w swoim locie z wiatrem. Są skażeni w pierwszej kolejności, którzy potem skazili ciebie. Nas. Stąd ta szczotka w moich rękach. Stąd samochód wbity w ścianę salonu. Przysłaś tu nie z tęsknoty, ale ponieważ w głębi serca pragniesz się tego wyzbyc. Jesteś wypłutym strzępem steku sprzed dwudziestu lat, nie możesz być lepsza, więc nigdy nie będziesz. Musisz być inna. Bo ich czystość, to twoja skaza. Dlatego tutaj jesteś. Zauważ, że zaczynasz myśleć inaczej, kalkulować, stwierdzać. Dochodzić do wniosków, które cię przerażają, każą zadać pytanie, jak mogłaś na to wpaść. Coraz częściej. Czy tak myślałaby Rosalyn Horn? Nie, w tej głowie tak może myśleć jedynie Rosie Waters! - nachyliła się nad nią, a strużki krwi pociekły jej po jej twarzy, jak pot. - Czerń, którą krwawisz, jest porządkiem reszty twego świata. To wadliwa czystość, wadliwa i zepsuta. Od dwudziestu lat uciekasz przed tą prawdą. Żyjesz w zawieszeniu pomiędzy rozpaczą, a głupim szczęściem, podczas gdy ludzie cię oszukują. Roger zdradza. Ileż razy widziałaś ślady szminki na kołnierzu jego koszuli? Ile razy nie była to twoja szminka, bo przecież ty nigdy nie używaś szminek? Ile? Straciłaś już rachubę, no nie? Potem udajesz, że niczego nie dostrzegasz, by następnie winić za takie rozmyślenia siebie.

Dziewczynka popatrzyła na nią z wyrzutem.

Rose nie mogła wydobyć z siebie słowa. Gdzieś w jej głowie zacięła się płyta i to ją denerwowało, bo nie miała pojęcia, dlaczego coś takiego się dzieje. Chciałaby zapytać, jednakże nie miała takiej siły. Słuchała dziewczynki noszącej jej oczy, jej twarz sprzed lat, jej uśmiech i głos, coraz bardziej przekonana, że w rzeczywistości jest to ktoś zupełnie obcy.

Mimo wszystko wydawało się to dobre. Ku swojemu zaskoczeniu nie rozpatrywała tej kwestii w kategoriach prawdy czy fałszu, tylko przyjęła do wiadomości od razu lokując w miejscu, które od zawsze w niej było, choć dopiero teraz znalazła klucz do niego.

Mała odezwała się znowu:

- Dlatego mówię, nie bój się. Ten brud można zmyć pod warunkiem, że przestaniesz nazywać go brudem. Wtedy staniesz się czysta, a skazisz wszystko inne. Ale to wszystko tak naprawdę jest niczym, więc nie bój się, jeżeli to stracisz.

- Kim jesteś? - zapytała ochryple Rose, czując, jak znowu zbiera w niej gorycz i żal. - Czemu mi to mówisz?

Mała uśmiechnęła się bezprętnie.

- Jestem dziewczynką z twojej buzi, naturalnie. Wiem-my o sobie wszystko.

- Nie jesteś mną - zaprzeczyła jej z rezerwą w głosie. - Nigdy tobą nie byłam.

- Czy powiedziałam, że jestem? Ja nie jestem tobą, ale przede wszystkim ty nie jesteś mną. Nie teraz, jeszcze nie - zauważyło dziecko. - Tylko tyle, że jestem czysta i taką pozostanę.

- Gówno prawda! - zaatakowała Rose, a potem się speszyła, czując jak na jej policzki powoli wypływa czerwony rumieniec.

- Czyżby? - zapytała dziewczynka bardziej nachylając się ku jej twarzy. Jej oczy rozbłysły zaciekle. - Co stanowi o twojej czystości? Status rozhisteryzowanej blondynki bojącej się spojrzeć prawdzie w oczy?

Położyła krwawiącą rękę na jej kolanie. Była lodowata. Rose się wzdrygnęła, ale nie potrafiła cofnąć.

- Ja...

- Tak, ty! Jesteś-my! Ale już nigdy nie będziesz musiała robić tego znowu. Przemień błękit w czerń i spójrz na nią jak w niebo. Potrafisz! Wiesz o tym doskonale, ale dopiero kiedy sama to sobie powiesz zamiast słuchać innych. Rozpatrujesz to zagadnienie w niewłaściwych kategoriach, krzywdząc samą siebie. - Dziewczynka zmrużyła oczy i uśmiechnęła się zakrąwionym półgębkiem.

- Roger myśli o tobie dokładnie to samo: coś za tępa, tłusta suka, a ty przynosisz mu śniadanie do łóżka i pytasz, jak się czuje. Problem w tym, że winisz siebie za to, jak cię nazywa, traktuje i jak pieprzy z własną asystentką po kątach kancelarii, zamiast rozwalić mu patelnię łeb. To on jest wadliwy. Zupełnie jak tatuś, mamusia i pocieszny Bobby ze swoimi roześmianymi twarzami wolnymi od trosk. Roger jest brudny i w dodatku durny. Ty pozostaniesz brudna do chwili, gdy nie zmienisz kategorii oceny samej siebie. Nie możesz żyć inaczej, bo rzecz już się dokonała. Naprawdę myślisz, że tego dnia wstałaś od stołu, kiedy to się stało? To naprawdę właśnie wtedy zgasło słońce?

- To niemożliwe - odparła Rose głucho, mechanicznie. Sprawa, którą właśnie zaczęła pojmwować zdawała się pęcznić i rozrywać jej głowę od środka. Z początku pozbawiona sensu, nabierała teraz cech logicznych. Powróciły myśli o Rogerze, o jego nagich, chłodnych plecach lśniących od potu w bladym świetle poranka. Plecach białych jak sufit, w który wpatrywała się przez setki bezsensownych nocy, podczas gdy zimny blask księżyca malował na jej twarzy cienie żaluzji i drzew za oknem.

- To nieuniknione. Nic nie zmieni tego świata, ale nie możesz pozwolić, by świat zmienił ciebie. Wiesz o tym doskonale. Czekałam na ciebie tyle lat, w nieskończoność rozgrywając jedną i tą samą scenę, jak na w kółko przewijanym filmie.

Rosalyn popatrzyła na nią rzeczowo, co w tych okolicznościach zdawało się wyczynem na miarę zatrzymania pociągu gołymi rękoma, a potem zapytała z wyrzutem:

- Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego pozwoliłaś mi żyć w nieświadomości przez tyle czasu?

- Bo sama tego chciałaś. I wtedy i dziś.

- Jakie wtedy? - zapytała Rose czując w żołądku zasysającą nagle próżnię, wir jak po wyjęciu zatyczki z wanny pełnej wody.

- Dzień, w którym zgasło słońce, pamiętasz, prawda?

Rose skinęła niepewnie głową, choć miała wrażenie, że daremnie zgadza się wciąż nie pojmując istoty tej sprawy. Podobnie bywało z pożyczkami w pięć minut, które trzeba było oddać z trójkrotną nawiązką. Nie podobało jej się to przeświadczenie, ani zgadzanie się w sprawach, tak bardzo zagmatwanych. Gdyby ta scena rozgrywała się gdzieś na skarpie na skraju morza, pierwsza warstwa ziemi właśnie by się osuwała spod jej stóp, a kolejne czekałyby na swoją kolej.

Mała ciągnęła dalej:

- Tyle, że zawsze chodziło o dwie różne rzeczy. Och, Rosie, świat jest taki inny, kiedy nie patrzysz na niego przez zamknięte oczy. Chodzi ci po głowie, dlaczego tutaj jesteś-my? Sama tego nie wiem, to ty mnie wezwałaś i sądzę, że z podświadomym sygnałem pomocy. Czekałam na ciebie od dwudziestu lat. Jesteś-my tu, bo tego właśnie chciałaś. Otwórz oczy, a zobaczysz własną twarz odbitą w lustrze z łazienki, uśmiechnij się, a zobaczysz uśmiech k-ota.

Zmasakrowana dziewczynka wyciągnęła ku niej rękę. Kropelki krwi rozpaczliwie zatańczyły na koniuszkach jej paluszków.

Więc chodź...

- Proszę - powiedziała błagalnie. - Nie pozwól nikomu więcej się skazić.

... są światy lepsze niż ten.

Rosalyn ważyła w głowie kolejny ruch i słowa, o ile w ogóle chciała, by jakiegokolwiek padły. Zrezygnowała z mówienia. Zamknęła oczy i zobaczyła Rogera, jak pieprzy się z Susan Norton na swoim mahoniowym biurku w kancelarii. Była to prosta, niczym nie upiększona wizja, mówiąc językiem księgowego - chłodna kalkulacja, tyle, że poszerzona do projekcji psychicznej. Być może tak to właśnie wyglądało, nie mogła mieć pewności, nikt nigdy nie zrobił im zdjęcia. Być może, to wcale nie była Susan Norton, tylko jakaś płatna suka z agencji. Nieważne. Problem nie miał postaci żadnej z kobiet, które rznął jej mąż po tym, jak przed ośmioma laty włożył jej obrączkę ślubną na palec, a wszyscy goście bili brawo. Problemem były spodnie spuszczone do jego kostek. Majtki też. I jego owłosiony tyłek błyszczący się w świetle żyrandola. Widziała to, jak film z kasety wideo dobrej jakości. Stary, ale niezły pornos, proszę pani. Pięć dolarów sztuka.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała własną rękę machinalnie wyciąganą do przodu. Pył w powietrzu zamarł na chwilę i znieruchomiał jakby czas stanął w miejscu. Woda z tyłu ucichła, być może w ogóle przestała płynąć zatrzymana w stop klatce; teraz było to już nieważne. Bezwartościowe jak pieniądze po denominacji.

Z rozcięcia w jej nadgarstku pociekła tylko krew i boże, chociaż bolało jak diabli, to ból ten był naprawdę wspaniały pośród swej szczerości.

Ich palce zetknęły się już pośród ciemności, która runęła z góry niczym kurtyna po skończonym spektaklu. Zniknęło słońce, zgasło. Gruz i deski odeszły, odeszła krew, odeszły myśli, cierpienie i ból. Ostatni akt tej sztuki właśnie się zakończył. Goście wstają bijąc brawo. Jedna czerwona róża upada na scenę tuż pod jej zgrabne, wcale nie tłuste nogi.

Zostały tylko one dwie, jakby wyrzucone w próżnię kosmosu, trzymając się za ręce niczym rozbitkowie w czasie najcięższego sztormu w historii.

- Nie, już nikomu nigdy na to nie pozwolę - powiedziała Rosalyn głosem opanowanym i spokojnym, bez cienia hysterii czy strachu, na wpół dziewczęcym i pełnym słodyczy. Odniosła wrażenie, że oto przestały istnieć jakiegokolwiek rzeczy, które mogły ją skrzywdzić. Zostały zdmuchnięte, zupełnie jak świeczki na urodzinowym torcie, podczas wkraczania w nowy rok życia.

Życia... - powtórzyła w myślach. Trochę zabawnie do brzmiało. Miała wrażenie, jakby właśnie urodziła się na nowo. Brzmiało to nawet bardziej zabawnie, niż trochę. Być może w tym miejscu zawieszonym pomiędzy jawą a snem uśmiech podobnie jak czas i rzeczywistość, nie miał już żadnego znaczenia, lecz mimo to się zdecydowała się roześmiać. Do samej siebie, bo w końcu tylko ona sobie pozostała. Gdzieś wewnątrz jej jaźni rozbrzmiewała pewność, że to wcale nie był ostatni akt. Nonsens, bo to wcale nie była sztuka sceny, tylko sztuka życia. A w takiej zawsze pojawiają epilogi. I napisy końcowe.

Otwórz oczy.

Rozluźniła uścisk i mała dłoń tej dziewczynki o jej oczach, twarzy, jej ranach i krwi wysunęła się delikatnie z jej dłoni. Zawierowała pośrodku ciemności jakby były suchymi liśćmi targanymi wiatrem. Przestała myśleć i dała się unieść temu wiatrowi, przez ostatnią chwilę czując, że to okaleczone dziecko wcale nie odeszło, tylko wpadło w jej ramiona, a ona je przytuliła i razem, niczym matka z córką, zapadły się w ciemność.

Upadła znowu.

Brutalnie powróciło uczucie. Oblepiło ją obrzydliwe wrażenie, że została zmiotowana. Była to krótka świadomość, zbyt krótka, aby mogła zdać sobie groteskową sprawę z rzeczywistej nieprzyjemności, jaką podczas niej przeżyła. Wpierw przeżuta i połknięta

wpadła w sam środek żrącego piekła, w którym nieomal utonęła pośród setek innych rozkładających się ciał. Myślała, że umrze. Była tego pewna, jak pasażer samolotu, któremu właśnie wysiadły wszystkie silniki i nieważne, że obok, stewardessa w firmowym uniformie uspokajała, że wszystko będzie dobrze. Potem coś drgnęło ślisko i piekło zabulgotało skwaśniałą pianą, a ona popłynęła tym gorzkim strumieniem razem ze wszystkim innym. Na spotkanie jasnego światła, które zawsze kończyło tego typu tunele. Wpadła na zewnątrz. Cicho, jakby szeptem. Niczym kropla. Lśniące ła. Upadła na białą kafelkę, a obok niej dwie kolejne. Rose, pochylona, by ściągnąć pantofle, zamrugła teraz w niezrozumieniu. Poczucie wyrwania jakby ze śpiączki było nieokreślone i dziwaczne. Przede wszystkim jednak było obce, jak zimny kamień ciężący w brzuchu; kostka lodu, której wcale nie połykała (albo nie pamiętała, że połknęła). Piekły ją oczy, zmrużyła je, ale to nie pomogło. Fakt, że była słaba, niewiarygodnie słaba, pozostawał dla niej jeszcze przez moment tajemnicą. Zrozumiała to w chwili, kiedy się wyprostowała i zakreśliło się jej w głowie. Opadła na ścianę z tyłu. Po niej osunęła na podłogę, przeplatając oddech raz płytki, raz głęboki. Szklista od potu, z twarzą wilgotną od (krystalicznych)

(?)

kilku łez. Jak we śnie dotknęła swojego policzka, nie rozumiejąc, czego powinna spodziewać się na własnych palcach, kiedy w końcu podniesie je do oczu. To tylko łzy, zapewniła siebie w duchu i istotnie tylko nimi były, lśniąco mokro na opuszcze jej kciuka. Postanowiła dać sobie jeszcze kilka chwil na zebranie myśli. Dobra, pamiętała, że chciała wziąć prysznic dla rozluźnienia. Czemu? Bo czuła się brudna. To oczywiste, od rana harowała jak wół, podczas gdy Roger jak zwykle udawał, że niewiele go to obchodzi. Zresztą wcale nie musiał udawać. Brawo, Rosie, właśnie odkryłaś podstawową prawdę twojego małżeństwa i być może wszystkich innych. Wszystko od zawsze sprowadzało się do tego, że żony harowały, a ich mężowie mieli to w dupie. Problem w tym, że to nie działało w drugą stronę i kiedy harowali mężowie, to żony zwykły wiele się tym martwić. Komfortowo. Był to chyba jedyny powód, przez który ich rasa zdołała przetrwać tyle setek lat pomimo wojen, zaraz i zawałów.

Nie zapytasz mnie, co robiłam, kiedy wyszedłeś?

Nie.

A jak poszło Ci w pracy?

Czasem zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi. Na końcu i tak zawsze kazali im wynosić się z miotłami i ścierkami gdzie indziej. Aha. Małżeństwo to bardzo niebezpieczny zawód. Poza tym kompletnie nieopłacalny. Już lepiej pracować jako wtyczka w przestępczym półświatku, jak Don Johnson, w którymś odcinku Nash Bridgies. Aha.

Czuając, jak zawroty głowy powoli mijają, spróbowała się podnieść. Pierwsza próba była niezbyt udana i Rose przechyliła się niebezpiecznie w bok. Idiotka. Powinna była się tego spodziewać. Podtrzymała się ręką, aby nie upaść i wstała ponownie. Bardzo powoli, stale monitując własne nogi i to, czy przypadkiem znowu nie zbierze im się na zarwanie. Na szczęście nie zebrało.

Miała wrażenie, że jej świadomość to nieudolnie zmontowana taśma filmowa, źle sklejona w którymś miejscu, na skutek czego obraz skakał i zacinął się. Z chęcią urwałaby ją koleśowi odpowiedzialnemu za ten burdel w projektorze.

Oparła się o umywalkę i zajrzała do lustra. Postać w jego wnętrzu była blada i spocona. Jasne blond włosy opadły na jej twarz w tłustych strąkach przypominając pozelepiane ze sobą sznurki. Pomimo tego i rozerwanej wargi, poczuła się całkiem fajną kobietą, jak na swoje trzydzieści cztery lata i męża pasożyta. Prawdę mówiąc w ogóle dziwiła się, że jeszcze miała męża.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi kuchni i jego kroki w salonie. Szedł do niej. Postanowiła nie robić nic i czekać na rozwój wypadków. W tej sytuacji czuła się po trochu jak szachista planujący kolejny ruch. Uśmiechnęła się do odbicia w lustrze i oczy jej załśniły, kiedy Roger bez pukania otworzył drzwi i stanął ostentacyjnie w progu. Witaj, Rog, ty niewychowany chamie. Żałowała, że właśnie nie zmieniała podpasek; miałaby teraz bardzo głupią minę. Pod warunkiem, że w ogóle by coś zauważył.

- Muszę się odlać - stwierdził drapiąc się po kroczu. Właśnie zrozumiała, jak bardzo ją to irytowało. Drapał się tak jeszcze od kiedy ze sobą chodzili, czyli już jakieś dziewięć i pół roku temu. Cóż, ale wtedy był jeszcze przystojny i tyle nie pił, więc pozwalała temu umykać jej uwadze. Teraz było to obleśne. Gdyby Bóg był szczodry, podarowałby mu w tym miejscu kolejną rękę, i nie przeczyła, że umiała by z niej korzystać. Ale widać Bóg miał w dupie Rogera Horna składając go w całość, dlaczego więc nie mogłaby i ona?

- Aha? - spytała grzecznie. Spojrzała na niego odgarniając włosy za ucho i błysnęła zębami przesyłając uśmieszek, który powinien zakwalifikować w kategorii tak nigdy nie uśmiecha się moja żona.

Jego oczy rozbłyśły na moment pytająco, ale natychmiast zgasły. Zawahał się chwilę, aż w końcu powiedział:

- Zmieniłem zdanie, chyba jednak wyskoczę do Roberta na piwo.

Skinęła głową na znak zrozumienia, a potem znowu zajrzała w lustro. Cieszył ją blask jej oczu. Pod ich szklistą powłoką, coś co potrafiła teraz nazwać, szaleńczo płynęło z lodowatym strumieniem pośród błękitu jej żrenic. To coś nazywało się PRAWDA. Ta PRAWDA w pewnej chwili przeplatała się z ODWAGĄ, dając...

(druciana szczotka)

- Rose, ja na prawdę nie mam czasu - odezwał się Roger nerwowo przestępując z nogi na nogę. Rose ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że naprawdę nie wiele potrzeba, aby zmiękczyć faceta. Wystarczy zablokować mu drogę do kibla.

Ta myśl bardzo ją rozbawiła. Bardziej być może niż nagłe wyobrażenie zaferowanego Rogera z rosnącą, ciemną palmą na spodniach. Rose wybuchła perlistym śmiechem opluwając lustro łazienki drobniutkim maczkiem śliny. Odrzuciła głowę do tyłu i aż kucnęła z wrażenia. Sądziła, że zaraz się ze śmiechu popłaczę, jednakże nic z tego. Jej oczy wydawały się z łez wysuszone. Mogłaby zastanawiać się nad tym zagadnieniem dłużej, gdyby nie wtrącił się ten kutas Rog ze swoim manierycznym tonem:

- Znowu przesadziłaś z Proziem?

- Nie biorę tego świństwa od miesiąca, skarbie, w ogóle wyrzuciłam je z pamięci - rzuciła dławiąc się powietrzem. - Może to dlatego w końcu przestałam być taką rozkojarzoną suką - ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźnym naciskiem. - Powinieneś być mi wdzięczny, bo w końcu przestałam tracić wątek podczas rozmów z żonami twoich kolesi z pracy.

- Uspokój się - nakazał jej krótko marszcząc brwi. Pomyślała, że jest żaloszny, mówiąc do niej w ten sposób i jednocześnie krzywiąc się na swój pęcherz, niczym ośmiolatek w szkolnej ławce na pięć minut przed dzwonkiem. Bardzo żaloszny. Nawet bardziej niż 'bardzo' - niewyobrażalnie, a jego nieświadomość tylko dopełniała tego marnego dzieła.

Podniosła się chwytając umywalki i popatrzyła na niego pozwalając, by wszystkie emocje spłynęły z jej twarzy niczym ciepły, letni deszcz.

- Jasne - odparła unosząc brwi do góry.

- I ubierz się - dodał szybko.

- Jasne.

Zgarnęła z podłogi rzuconą niedbale bluzkę i ruszyła do wyjścia. Z początku chwiejnie, w krok później zupełnie prosto. Usunął jej się z drogi (jak wystraszony pies) i weszła do salonu. Pomimo cienkich pantofli kontakt jej stóp z dywanem był miłym i przyjemnym uczuciem. Zupełnie innym, od stania na chłodnych kafelkach w łazience. Nie kupili nawet dywanika kąpielowego, bo Rog jak zwykle skąpił kasy. Rozkoszowała się uczuciem miękkości, niczym lampką doskonałego wina. Puchem dywanu i wściekłością na męża.

- Nie zapomnij zostawić uniesionej kłapy sedesu - rzuciła w jego stronę nie odwracając głowy, ale jej nie odpowiedział, szkoda, tylko zniknął za drzwiami pospiesznie rozpinając spodnie. Cóż za pech, Rog, że chyba jednak się zsikasz, po tym jak nie uda ci się w porę odnaleźć małego, zważywszy jakie ma rozmiary. Być może stracisz nawet przytomność, kiedy zobaczysz, że on na końcu ma twoją główkę, a mimo tego można by go nazwać największym kutasem.

Myślała, że zegnę ją w pół ze śmiechu. Nie zgięło, ale i tak wystarczyło, by znowu zaczęła kaszleć. Po długiej chwili kaszlu stwierdziła, że krztusi się lepiej niż Doc Holliday w zaawansowanym stadium gruźlicy.

Śmiejąc się spojrzała na schody prowadzące na piętro. Urwała śmiech w połowie piątej sekundy i poprawiła włosy niczym żołnierz przed poranną musztrą. Wciągnęła na siebie bluzkę, która od razu przylgnęła do jej spoconego ciała, zapięła guziki jeden po drugim

uważając, by nie wpaść żadnego do złej dziurki.

W porządku.

Obrzuciła salon przelotnym spojrzeniem. Na tej kanapie wylała na siebie zimny koktajl, kiedy oglądała Santa Barbare w telewizji, bo on zaszedł ją od tyłu i wystraszył jak dziecko. Potem kochali się do zmroku na podłodze i szklanym stole (na tym stole, na tym stole kochaj mnie) obok, który jakimś cudem pod nimi nie pękł. Ile to już lat, pięć? Chyba więcej. A mimo to, żywe wspomnienie tamtych chwil dalej odzywało się w niej niczym echo w komorze pogłosowej. Ciekawe, czy kiedy on nocował tutaj, tę niezliczoną ilość razy pozostawiając ją samą w sypialni do świtu, myślał o tym w podobny sposób, co ona teraz.

Potem Roger się popsuł, pękła w nim sprężyna, wypadła zębatka, zatarło się coś, czego gwarancja już nie obejmowała. Pierdolić go. Żadna gwarancja nie obejmuje tego typu spraw.

Ruszyła w kierunku schodów, powoli na piętro. Nic jej nie gnało. Nie musiała przeskakiwać po dwa stopnie na raz w pogoni za pragnieniami, które w końcu i tak zawsze okazywały się stertą brudnych szmat, męskich koszul ze śladami kobiecej szminki, która nie należała do niej.

W tym niknącym świetle dziesiątego dnia lipca, który powoli ustępował miejsca sztyletom nocy, wydawała się czymś bardziej ulotnym, niż rzeczywistym i zdeterminowanym tak szalenie, że wręcz ociekającym adrenaliną i potem. Nic z tych rzeczy. Tego dnia histeryczna Rosalyn Horn przestała istnieć, została zdeintegrowana do poziomu marnych resztek, rozbita na cząstki, rozpieprzona na miazgę, adieu!

Schodami kroczyła Rose Waters. A potem zniknęła na piętrze.

Dla pewności zadzwoniła z sypialni do Roberta Handrive'a; tak było bezpieczniej i nie ryzykowała, że Roger cokolwiek usłyszy, gdyby zrobiła to z salonu. Zero-osiem-jeden-pięć-dwa-trzy-dwa-pięć, klik-klik-klik; stukot przycisków działał podejrzanie kojąco. Halo, Robert? Rose Horn, z tej strony. Tak, mi też miło. Aha. Słuchaj, mam ważną sprawę. Mogłbyś... Aha, no jasne, że mu powiem. Słuchaj, nie mogłbyś odwołać spotkania z Rogerem na dziś wieczór? Gotuję rybę na parze i chciałabym, aby... Jak to jakie spotkanie? On przecież wybiera się do ciebie na piwo. Nie mów, że... Och, jaka szkoda. Biedny Roger musiał się pomylić. Ostatnio pracuje coraz ciężiej, chodzi przemęczony, zaspany. Nie, nie musisz dzwonić, sama mu to przekażę. Tak, oczywiście, nie ma sprawy. Na pewno nie zapomni. Aha. Ty też się trzymaj.

Pierdol się opalony na solarium kutasie.

Odłożyła słuchawkę na widełki białego Royała. Prawdę mówiąc – zastanawiała się. – Mogłaby przeczesać jego szafę w poszukiwaniu koszul ze śladami szminki, ale to bez sensu; swego czasu prała te koszule z tak histerycznym namaszczeniem, że ubrudzona nie została się raczej żadna. Cóż, widać wyniki twierdzenia, że wszystko jest w porządku niczym stary trup właśnie wypływały na powierzchnię. Aha. Poradzi sobie i bez tego. Wróciła do salonu, akurat kiedy Rog spuszczał wodę w muszli. Oj, Roger, całe dwie minuty. To chyba nie prostata?

Lekkim krokiem weszła do kuchni i usiadła za stołem, w tym samym miejscu, w którym dziś siedział on, kiedy zmywała naczynia. Potem rozmawiała z nim, choć rozmową nie było to nawet w jednej ćwierci. Prędkiej jej monologiem, poprzetykanym jego chrząknięciami, a potem to już wcale. Skarciła się w myślach, że dopiero teraz do tego wniosku doszła. Delikatny uśmiech rozświetlił jej twarz. Dobrze, że przynajmniej dała mu wtedy w pysk.

Spojrzała na miejsce, gdzie rozlał mleko, teraz zupełnie suche. Powyżej na kredensie stał niebezpiecznie wysunięty za krawędź talerz, na którym przyniosła mu kanapki. Dziwne, że jeszcze nie zleciał. Mężczyzna w kuchni, jak widać potrafi zadbać o wszystko. Nie myślała już dalej o tym, co robiła, kiedy wybiegła z kuchni i potem przyszedł do niej Rog. Te wspomnienia napawały ją obrzydzeniem, jak wspomnienia minionego gwałtu; zbyt wyraźne i takie już pozostaną. Ze znużeniem obserwowała chybotający się talerz, szacując ile jeszcze trzeba, aby zleciał i rozpieprzył na kawałki. Czasem wystarczy jedno piórko. Słyszała, że rewolwery z odpowiednio spiłowanym bezpiecznikiem były w stanie wystrzelić po uderzeniu w stół, na którym leżały. Ile siły potrzeba, by rzucić ten talerz? Talerz to krucha konstrukcja, zupełnie jak skóra i kości. Znajdź punkt przyłożenia, a poruszyś ziemią – mawiał kiedyś jej nauczyciel algebry w Chicago, do której odesłał ją dom dziecka. Niesamowite, zadumała się szczerze. Powiedzmy, że jedno piórko wystarczy, by ten talerz runął w dół. Skoro tak, to czego potrzeba, aby złamać ludzką piszczel?

Roger wszedł do kuchni z naciąganą gracją lorda, którym nie był nie tylko ze względu na strój i otworzył lodówkę. Wyjął kolejne mleko. Rozerwał dzióbek i zaczął siorbać.

- Zaraz wychodzę – odparł przełykając zimny płyn. – Nie czekaj na mnie.

- A ryba? – zapytała wyblakłym głosem. – I kolacja?

- Nic z tego, Robert ma pilną sprawę do mnie, coś w związku z kancelarią.

- Z kancelarią – powtórzyła po nim znudzonym głosem. – Nie wątpię.

Przeniosła wzrok na niego. Stał prawie w samym kącie za lodówką z miną zmęczonego ciecia na nalanej twarzy. Wielką tajemnicą było dla Rose, jak w ogóle mogła za kogoś takiego wyjść. To źle, jeśli po paru latach człowiek ze schludnego i szarmanckiego staje się własną karykaturą, z koszulą wyłazłą z za paska i zroszonym kartonem mleka w ręce, na którego czterech bokach uśmiechnięta krówka Molly zachęcała wszystkich do picia wspaniałego wyrobu z jej gruczołów.

- Może powinienś zadzwonić do niego i upewnić się, że nic nikomu nie wypadnie – zauważyła.

Siorbnął łyk znacząc wargi białą kreską i odpowiedział:

- Już dzwoniłem. Wszystko załatwione – uśmiechnął się.

- Aha.

Przeniosła wzrok z jego żalosnej postaci na garnek stojący na lodowce. Trzymała w nim gulasz do zeszłego tygodnia i jeszcze nie zdążyła sprzątnąć. Wydawał się niesamowicie lśniący i zimny. Nie wiedzieć czemu, bolała ją głowa... albo wiedzieć, do cholery, dziś miała tyle spraw do zrobienia! Jej mama, zanim zdechła pod kołami samochodu ojca, który zdechł pod nimi niewiele wcześniej, bardzo często robiła zimne okłady bokiem trzymanego w chłodnej wodzie noża. Tak. Przyłożyć metal do policzka i delektować się ujmującym zimnem. Przyłożyć... do głowy... w głowę.

- Na pewno wzięłaś Proziom? Connors mówił wyraźnie, żebyś nie przerywała kuracji. Ale jak dla mnie, to chyba połknęłaś dziś o jedną pastylkę za dużo.

- Tylko dlatego, że najpierw się pokłóciliśmy, a potem jestem jakaś nieobecna? – spojrzała na niego w taki sposób, jakby czytała mu w myślach. – To jeszcze niczego nie dowodzi. Jako ludzie posiedliśmy w głowach zadziwiającą konstrukcję huśtawki nastrojów.

- Między innymi – wzruszył ramionami i znowu siorbnął. Wydawał się jakiś bardziej rzeczywisty kiedy na niego nie patrzyła; jego głos budził w niej skojarzenia z kurduplowatym księgowym w kiepskim garniturze i pogiętymi okularami w masywnej oprawie. Ale nie bladego upiora, którego plecy widywała przez większość poranków ostatnich trzech lat, i chyba wszystkie ostatniego półroczia. Pod takim kątem wydawało się to przyjemniejsze.

Leniwie przebiegła wzrokiem po drewnianej powierzchni kuchennej boazerii. Znowu garnki. Dla odmiany popatrzyła na zestaw patelni wiszących nad kuchenką. Przekrzywiła badawczo głowę. Osiem modeli, od tego do sadzonego jajka, po olbrzyma mieszczącego cztery, dużej wielkości steki. Mówiła Rogerowi, że są fantastyczne, nie steki – patelnie, choć tak naprawdę to były beznadziejne; od pół roku rynek i wszystkie supermarkety znały pojęcie teflonowej powierzchni smażenia. Wolała sobie nie wyobrażać nagłówków w gazetach z patelnią w roli głównej. Nawet teflonową za trzydzieści pięć dolarów i dwadzieścia centów.

Wetknęła lewą rękę pod głowę na znak zmęczenia. Westchnęła w leniwej ciszy tego poniedziałkowego wieczoru i po raz pierwszy zaczęła przypominać zadumana. Za oknem jakiś samochód Forda przejechał z terkotem wzdłuż Weasel Street, by potem, na skrzyżowaniu, być może skręcić w lewo do miasta, albo ruszyć w drugą stronę i po dwudziestu minutach dotrzeć do rozjazdu prowadzącego na szosę numer osiemdziesiąt coś-tam-jeszcze. A stamtąd już wszędzie, w poszukiwaniu krainy spojrzeć w niebo i umrzeć, do Montpellier albo Portland w Maine przez Bradford. Takie myślenie posiada skazę – skontaktowała szybko – Równie dobrze za

kierownicą mógł siedzieć stary pedofil trzymający w bagażniku skrupowanego ośmiolatka. Nic nie jest takie, jak myślisz, do chwili gdy nie zajrzysz do bagażnika. Zupełnie nic.

Wiatr na zewnątrz zawył cichutko, jakby na znak, że wszystkie normalne, amerykańskie rodziny zasiadają właśnie do wspólnej kolacji, choć nie o to mu pewnie chodziło. Rozparcelowują między siebie steki i ziemniaki z sosem dyskutując wszystkie ważniejsze wydarzenia tego dnia, sprawy minione i przyszłe. Ich dzieci zapewne już śpią, a jeśli nie to zaraz pójda, tylko wpierv obejrzą Ulicę Sezamkową i Przygody Człowieka Rakiety. Była siódma trzydzieści. Za pół godziny puszczali Lśnienie na kanale piątym.

Jej wzrok padł na chromowany korkociąg wiszący na drewnianej tablicy z lewej strony okna, tego nad zlewem. Za mały. Przepłynęła spojrzeniem przez wszystkie cztery szpikulce do lodu z drewnianymi rączkami w czterech różnych kolorach. Gdzieś w jej głowie niczym kolorowy neon z Vegas odpalił obraz Sharon Stone z Nagiego Instynktu i natychmiast zgasł. To filuterne 'gdzieś' wystarczyło, by powędrowała wzrokiem jeszcze dalej. Hop! Takie to proste! Hop! Otwieracze do puszek. Hop! Do wyboru do koloru. Hop! Nożyczki, w tym te z zabezpieczeniem przez urnięciem sobie palców przy wycinaniu wigilijnych wzorków na święta. Hop! Czego dusza zapagnie! Magnesowana tarcza z nożami? Proszę bardzo! Jednego brakowało. Dziesięciocentymetrowego Sharpless Blade'a, ale go przecież ściągnęła przy krojeniu kanapek; teraz powinien spokojnie leżeć w zlewie czekając na umycie. Ale noże od początku wydały się jej sztampowe, jak urodzinowe życzenia z kartki, czy coś. Hop! Nawet dziecko to potrafi! Ozdobny dziadek do orzechów w kształcie Ronalda Regana? Tłuczek do mięsa w dwóch wariantach kolorystycznych? Szpikulec do mięsa? Duża metalowa tarka z czterema rodzajami oczek? Może ubijaczka do jajek? Hop!

Jakiś logiczny mechanizm zaskoczył w głowie Rose ze zgrzytem niczym wajcha włączająca alarm w wojskowej bazie. Odnalazła w jaźni przycisk przewiń w tył i go wcisnęła. Ubijaczka - tarka - korkociąg - szpikulec - tłuczek... kurwa, do przodu, tłuczek - szpikulec - korkociąg - tarka, STOP!

B-ru-dni, Rosie, dlatego trzeba szorować i szorować na błysk.

Szerzej otworzyła oczy pochylając się nad stołem do przodu. Bezwiednie napięła mięśnie twarzy, a potem je rozluźniła.

- Hej, Roger? - zapytała zanim zdecydował się odstawić mleko na kredens i wyjść z kuchni. Jeszcze kontemplował zawartość brudu spod paznokci, potem tylko w myślach kiedy spojrzał na nią.

Zamrugła i uśmiechnęła się promiennie, pierwszy raz od nie wiadomo jak dawna. Widząc blask w jej oczach uśmiechnął się także, nieco zmieszany. Patrzyła mu prosto w twarz, jednak kątem oka spozierała gdzie indziej, bardziej w bok, i jeszcze troszkę. Nie, nie na ten korkociąg.

Głęboko w jej głowie, tam gdzie czarne, jak heban myśli przelewały się w potokach mrocznego kryształu psychiczny projektor zadziałał na nowo. Tam gdzie ludzie chowają najskrytsze tajemnice i najbrudniejsze sekrety, w krainie to-nieludzkie-miejsce pamięci obraz padł na siatkę jej jaźni, kamera, akcja. W tkanej z cierpienia krainie wspomnień Rosalyn jednocześnie upadała do garażu dwadzieścia lat wstecz i wkładała się tam przyodziana w cień niczym złowroga nimfa. Rozerwawszy ostatnią wadliwą strunę, niszcząc melodię od środka, roześmiała się na głos. Teraz układała wszystko od nowa, w nieskończoność zapętłonych klisz. Film, który zobaczyła w głowie, ukazywał jej obraz zniekształcenia i rozkładu w świecie podobno zbudowanym z kwiatów i słońca. Ujrzała twarz dziecka płynącego w półmroku, pośród spalin i pyłu, by stracić cegłę, za którą rozpadnie się wszystko.

- Chc-esz z-obaczyć uśm-iech k-ota? - zapytała męża w tonie towarzyskiej rozmowy.

2 listopada 2006

Jack CravenS

SKRAWEK POEZJI

Misiael Pierwszy :: Szczęście

Widziałem gniew, zdradę i obłudę,
widziałem zło, mrok i zakłamanie.

Mam szczęście,
Oślepiłem.

Słyszałem krzyki, wołanie o pomoc,
słyszałem przekleństwa, i dziki skowyt.

Mam szczęście,
Ogłuchłem.

Teraz,
Ślepy i głuchy,
Jestem prawdziwie szczęśliwy.

Umarły Poeta

Nikko Takeda

PROLOG

Wpadł w zaułek pomiędzy dwoma blokami. Rozbieganymi oczami powiódł po uliczkach i kłatkach. Mimo okrutnego bólu w piersiach, biegł dalej. Dławiła go straszna myśl. "Nie, nie poddam się. Ucieknę choćby na koniec świata!". Pędził, potykając się o leżące na ziemi śmieci. Nagle zza rogu wypadło dwóch mężczyzn. Uciekający przyspieszył bieg, mimo iż niemal padał ze zmęczenia. Dwaj goniący go krzyczeli:

- Nie uciekniesz nam, Takeda! Mamy cię!

Ten nazwany Takeda skręcił w uliczkę po prawo. Niestety był tam mur i droga się urywała. Oprawcy dopadli go w chwilę potem. Odepchnęli go na ścianę. Takeda uderzył w nią głową. Poczł ciepłą ciecz na policzku i promieniujący ból rozchodzący się po całej twarzy. W ostatnich przeblysłkach świadomości krzychał:

- Nigdy mnie nie złapiecie!!! Nikt nie zabroni mi pisać!!! Niech żyją Umarli Poeci!!!

- Nikko Takeda, wyrokiem Sądu Najwyższego Czwartej Rzeczypospolitej Polski za zdradę państwa zostajesz skazany na karę śmierci. Nikko Takeda, jako niegodny stapania po naszej polskiej ziemi zostaniesz powieszony. Nikko Takeda od tej pory twoje imię zostanie zapomniane, wszelkie dane o tobie zniszczone, akta tej sprawy spalone. Dla narodu polskiego byłeś, jesteś i pozostaniesz szczurem, podłym zdrajcą!

- Spotkamy się jeszcze Leszczyński... - szepnął Nikko. - Choćbym miał duszę diabła zaprzedać... Zabiję cię...

- Lepiej szybko dobijaj targu - zjadliwie odparł sędzia. - Wyrok zostanie wykonany za trzy tygodnie. Zamykam rozprawę.

ROZDZIAŁ I NAGŁA ZMIANA LOSU...

Prowadzony był do celi śmierci. Myślał o straconych stronach tekstu, o jego wołaniu o wolną Polskę. O świergocie ptaków i szumie wiatru wśród liści. O wierszach, które pisywał siedząc w cieniu ukochanej wierzby płaczącej. Wszystko stracone w jednej chwili. Mimo tego czuł, że ze spokojem godnym stoika pożegna się z życiem.

Cela śmierci. Pokój o wymiarach dwa metry na dwa metry. Mała waziotka prycza i stolik. Wszystko w sterylnie białym kolorze. Naprawdę napawa optymizmem.

Niewysoki, dobrze zbudowany mężczyzna siedział na pryczy. Czarne jak skrzydło kruka włosy zasłaniały jego szare oczy, puste, zimne jak stal. Rysy twarzy niemal jak wykute w granicie wyrażały bezgraniczną pogardę.

Nikko miał powody do złości. Ci, którzy byli jego przyjaciółmi wystawili go władzy. "Stowarzyszenie Umarłych Poetów". Ta "wspólna sprawa, za którą wszyscy umierają". Puste słowa. Zbieranina ludzi, którzy sądzą, że pisanie powiastek, artykułów i innego ściernia pomoże pokonać władzę. Oni nawet nie wiedzą, że to służy do podniesienia larum przeciwko nim. Śmieszne.

W nowej, Czwartej Rzeczypospolitej Polskiej, istnieje tylko jedna władza: Prawo Sprawiedliwości[1]. Oczywiście z nazwy. Legalna opozycja została zniszczona, czwarta władza podporządkowana prezydentowi. O sądownictwie i ustawodawstwie lepiej nie wspominać. Wszelkie sposoby komunikacji z Europą zostały zamknięte poprzez odejście CRP z Unii. Grożono nam karnymi oddziałami Organizacji Narodów Zjednoczonych, niestety okazała się ona równie straszna jak tani klaun z podrzędnego cyrku.

Szkolnictwo zostało objęte programem upartyjniania, czyli każdy chłopiec należy do młodzieżówki i uczy się być "porządnym" obywatelem. Dziewczynki kształcą się na wzorowe żony i matki. O podjęciu studiów marzą ludzie mający kontakty na tajnych kompletach. Inaczej kończy się osiem klas podstawowych i zawodówkę.

"Stowarzyszenie Umarłych Poetów" należało do nielicznych grup ludzi, którzy byli wykształceni. Należeli do nich synowie prominentnych ludzi, może z małymi wyjątkami. Jednym z nich był Nikko. Był synem ubogiego rzemieślnika, który ogromnymi wyrzeczeniami i strachem przed władzą wysłał swoje dziecko na studia. Chłopak zdał z najwyższymi wynikami i dostał się do "SUP"- a. Ojciec był z niego bardzo dumny. Niestety okazało się, że odkryto spisek tajnej organizacji. Plotka głosiła, że Leszczyński Tomek sprzedał ich za paszport do Anglii. Złapano wszystkich, lecz tylko Takeda stanął przed sądem. Dostał wyrok za tych, których wyciągnęli rodzice. Najwyższy, jaki można było...

Budynkiem więzienia wstrząsnął wybuch. Zadrżała cała sześciopiętrowa forteca, zdawałoby się nie do zdobycia. Nikko zerwał się gwałtownie. "Cholera, że też coś takiego mogło się stać" - pomyślał przytomniejąc. Instynkt przetrwania natychmiast się ożywił. Jeszcze chwilę temu myślał, że nie zależy mu na własnym życiu. Teraz było odwrotnie.

Z całej siły kopnął w drzwi, tuż przy zamku. Raz, drugi, trzeci. Wysiłek się opłacił, bo po kilku ciosach drzwi ustąpiły. Oczom Nikko ukazał się obraz istic apokaliptyczny: kilka makabrycznie rozzerwanych ciał strażników i masa więźniów uciekających w stronę wielkiej wyrwy w ścianie. Niewiele myśląc ruszył biegiem schylony przy resztkach muru. Od pierwszego lepszego ciała, które niegdyś zapewne było strażnikiem wziął broń. Nic świetnego - beretta 92F.

- Musi wystarczyć na wszelki wypadek - mruknął.

Wybiegł na dziedziniec nie niepokojony przez nikogo. Passa nie trwała długo, bo rozległy się odgłosy posiłków. Zapowiadała się nieźla akcja, jednak Nikko nie chciał w niej uczestniczyć. Z małą berettą nie miał szans przeciwko armii z ak-47 na wyposażeniu. Kryjąc się za pojazdami więziennymi, rozejrzał się po terenie. Przed wyrwą w murze stał pancerny krążownik wojskowy, zapewne tych szeroko kolportowanych terrorystów z Klewek, do którego wprowadzano kilku ludzi. Takeda ich nie rozpoznawał z prostego powodu: cały czas był odizolowany od reszty więzienia. Teraz miał kłopoty, bo plac roił się od ludzi. Mając wrodzone skłonności do efekciarstwa i broń w garści podbiegł parę metrów dalej do mężczyzny kradnącego furgon więzienny.

- Otwieraj szybciej, bo rozmażę twój zasrany łeb na drzwiach! - wrzasnął.

- Hej, spox ziom! - odkrzyknął facet. - Nie zabijaj!

- Otwieraj i wywozisz mnie stąd! - rozkazał Nikko.

Facet okazał się wprawny w swoim rzemiośle. Samochód otworzył w ciągu kilkunastu sekund. Wskoczyli obaj do wozu niemal na chwilę, zanim salwa z kałasznikowów trafiła w pojazd. Pancerny wytrzymał. Mężczyzna uruchomił silnik metodą zamykania obwodu elektrycznego. Pod ciągłym ogniem ruszyli tocząc się ocieźale za pojazdem terrorystów.

- Ziomal, tym szybko nie pojedziemy, ale mam plan... - zaczął facet.

- Rób wszystko, byle tylko uciec im! - ryknął Takeda.

- Bez nerwów, ziomal, mnie jeszcze nigdy, nikt nie capnął za jazdę! - powiedział z wyczuwalną dumą w głosie.

- To za co kiblowałeś?

- Za krojenie gablot, ziom...

- Możesz przestać grypsować? - zapytał spokojnie Nikko.

- Jak przestaniesz mi machać tą klamką nad uchem, ziom. Nawiasem, Świr jestem - odparł.

- Przepraszam. Nikko - przedstawił się. - Może przeszkodzę w miłej konwersacji, ale... Gliny nas gonią!!!

Rzeczywiście, robiło się coraz bardziej gorąco. Radiowozy i furgonetki wojskowe były coraz bliżej. Z przodu sprawy też nie miały się najlepiej. Przed nimi był zerwany most, który terroryści najprawdopodobniej wysadzili.

- Świr, co teraz? Jak nas złapią to zabiją nas na miejscu!

- Tobie to obojętne, bo i tak by cię zabili - odparł ze stoickim spokojem.

- Skąd wiesz?

- Znam wszystkich kiblujących i klawiszy z tego pierdła. GAZ DO DECHY, ŚWIR!!! - wrzasnął do siebie.

Furgonetka przebiła z impetem blokadę i wjechała na most. Nikko czuł jak przechodzą go dreszcze. Wszystko działo się jak w "Matriksie", spowolnione, niemal nienaturalne. Lot trwał tylko kilka sekund. Pojazd z impetem wpadł do rzeki...

ROZDZIAŁ II LEPIEJ DO TEGO PRZYWYKNIJ

- Ty cholerny idioto!!! - wrzeszczał Nikko. - Mogłeś nas zabić! Kto ci dał prawo jazdy?!

- Tak serio... To nikt - odparł rezerwowo Świr. - Mam fałszywe.

Nikko sam dziwił się jak im się udało wyjść z wraku pojazdu. Wypełnili z sterty złomu i natychmiast zaczęli pieszą ucieczkę przez las. Musieli się śpieszyć bo cały czas mieli "na ogonie" pościg.

Takeda spojrzał uważnie na swojego towarzysza. Wyglądał na starszego człowieka niż sam Nikko. Góra trzydzieści pięć lat. Miał miękkie rysy twarzy, głęboko osadzone i niesamowicie przenikliwe oczy. Ostry nos i wąskie usta dopełniały wyglądu poważnego faceta. Nic bardziej mylnego. Ten chudy szczur był stanowczo najbardziej niezrównoważonym człowiekiem w promieniu najbliższych szpitali psychiatrycznych.

- Nikko, masz może na stanie szluga? - zapytał.

- Co ja ci mówiłem o grypsowaniu?

- Dobra, już dobra... - odparł zawiedziony. - Masz?

-Nie. Palenie szkodzi zdrowiu - warknął Takeda.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Nikko czuł się trochę wkurzony ponieważ Świr nie był wcale takim złym człowiekiem. "To nie powinno tak się dziać" - myślał. Mimo tego niewytłumaczalny impuls nakazał mu iść ze Świrem. Ta znajomość mogła się przydać.

- Słuchaj Świr, jeżeli mamy ze sobą wędrować, to opowiedz mi o sobie - zaproponował Nikko.

- S... - zawahał się - spokojnie, nie ma sprawy. Jestem spod Warszawy, dokładnie z Białobrzega. Miałem tam niewesołe życie. Matka umarła, kiedy miałem sześć lat. Ojciec był strasznym pijakiem, ale lepiej taki niż żaden.

Uśmiechnął się delikatnie. Wyglądał jak osoba zasłuchana w odległy szepł wspomnień. Przez kilka chwil maszerowali w zupełnej ciszy. Takeda miał już zapytać go o dalszy ciąg historii, lecz Świr ocknął się.

- Na czym to ja... Ach, tak. Ja miałem kiepefe i znalazłem sobie nowe towarzystwo. Na przeciwko mojego domu był warsztat, który prowadził przyjaciel ojca. Facet często załatwiał gabloty na części, "legalizował je" i opychał na giełdach - uśmiechnął się. - To on nauczył mnie obrabiać wszelkie fury, jeździć szybko i gubić pościgi. Swego czasu, zanim go ktoś sprzedał, powiedział: "Uczeń przetrwał mistrza".

- Wnioskuje, że nadal jesteś najlepszy - powiedział Nikko. - Znam trochę teorii o zamkach i wiem, że trudno jest otworzyć furgonetkę więzienną mając do dyspozycji kawałek cynowego drucika.

- Heh, szefie... - skromnie odrzekł Świr. - Swoją mańką to dlaczego trafiłeś do białego pokoju?

- Długo by opowiadać... - rzekł wymijająco Nikko. - Ktoś mnie sprzedał...

- Leszczyński?

Nikko gwałtownie stanął, odwrócił się i złapał Świra za ramiona. Szarpiąc go na wszystkie strony krzyczał:

- Co o tym wiesz? Skąd? Jak? Dlaczego?

- Spox, Nikko, szefie!!! Już mówię! - wrzasnął lekko zaskoczony. Nikko puścił go i patrzył wyczekująco. - Ależ masz silny uścisk...

- Mów - szepnął.

- Leszczyński to sędzia prowadzący sprawę zdrady państwa. Już kilku ludzi w naszym pierdłu dostało dożywocie lub stryk. Jego syneczek był w kilku organizacjach mądrali i najbardziej aktywnych politycznie sprzedawał ojcu. Stąd droga do nas. Słyszałem jak mówili, że to szych jakich mało. Dostaje taczkę zielonych za wydanie jednego aktywisty.

- Dlaczego nikt z tym nic nie robi? - spytał Takeda.

- Coś ty wczoraj się urodził, szefie? - odpowiedział pytaniem Świr. Nazbyt ironicznie. - Kto jest w stanie postawić się władzy?

- Ja - uciął krótko i ruszył w dalszą drogę.

Świr spojrzał na Takedę jak na skończonego palanta, ale nie skomentował. Nie odezwał się ani słowem. "Každy ma swoje dziwactwa" jak to mawiał jego ojciec. Szczerze mówiąc, to pierwszy raz spotkał takiego człowieka. Normalny gangster nie zostawiłby go przy życiu, pozbyłby się ciężaru niemal natychmiast. On nie potrafił nacisnąć na spust.

Inną kwestią było to, iż niewiele mówił o sobie. Świr wnioskował, że musiał należeć do organizacji mądrali, bo mocno rozsierdziło go nazwisko młodego Leszczyńskiego. To musiał być jakiś goguś lub bogata ciotka.

- Nikko, ziom, ja ci już o sobie coś mówiłem. Teraz twoja kolej... - zachęcał go Świr.

- Nie ma czasu - uciął. - Widzisz to co ja?

Na wzgórzu pod lasiem były tory kolejowe i malutka stacyjka. Wiekowa budka dróżnika z czerwonym daszkiem i wyglądający jak Arka Noego samochód. Nic bardzo specjalnego: fiat 125p. Nikko wymownie spojrzał na Świra. Ten w mig pojął w czym rzecz.

- Szefie, to da się otworzyć nawet papierosem...

- Idziemy.

Cichutko jak myszy, ze sprawnością *shinobi* zbliżyli się do pojazdu. Świr wyjął z skarpetki kawałeczek drucika i zaczął majstrować przy zamku. Takeda stanął na czatach. Absolutna cisza i spokój w promieniu kilkuset metrów jakoś niepokoił Nikko. "Dlaczego nas nie ścigają?" - pomyślał.

Z rozmyślań wywołał go zduszony okrzyk.

- Kurwa, co wy tu robicie?!

Dróżnik zapewne, wyskoczył ze swej oficyny. Świr już szarpnął za drzwi by wsiadać, gdy rozległ się strzał. Dróżnik chwiejnie postąpił kilka kroków w tył z płamą na piersi koloru jasnego karminu. Twarz jego wyrażała zdziwienie. Kolejny strzał rozerwał mu twarz.

- Czy cię powaliło? Skończony idioto! Zwróciliśmy na siebie uwagę kilku okolicznych wsi! - wrzeszczał Świr.

Nikko nie słyszał nic. Do jego umysłu dopiero docierało co się właściwie stało. Kiedy mężczyzna wyskoczył z oficyny, on niemal natychmiast zerwał się z miejsca. Nie zastanawiał się ani chwili. Instynkt kierował jego ruchami: prostującą się ręką, palcem sztywniejącym na spuście. Naciśnięciu go.

Te oczy. Mieszanina zdziwienia i przerażenia.

- Biorę od ciebie tę klamkę - oznajmił Świr po sprzątnięciu trupów. - Jeszcze gotów rozwalić każdego frajera, którego spotkamy. Spadamy stąd.

Powoli, jak jakiś cholerny automat, wsiadł z tyłu. Świr znów zastosował swoje sztuczki i odpalił pojazd. Ruszyli w kierunku Radomia. W drodze obydwa zachowywali milczenie. Świr zapobiegawczo "wypożyczył" pieniądze od dróżnika. Nie było tego dużo, może około 200 złotych. Musiał przecież kupić trochę ubrań, by nie paradować w więziennym pasiaku. Złe załatwia się własne sprawy wyglądając jak więzień.

- Słuchaj Nikko - zaczął rozmowę. - Kwestie mają się tak: Radom to moje miasto, mam tu dużo ziomów.

- Aha.

- Najpierw skaczesz do pierwszego lumpeksu na Piętnastoleciu.

- Dlaczego ja? - zapytał martwym głosem Nikko.

- Bo ja mam juchę na koszuli - odparł szybko. - Dalej skoczymy do mojego zioma R-Mana.

- Po co?

- To jest tak. Załatwiłeś człowieka, spox. Musisz do tego przywyknąć.

- O czym ty, kurwa, mówisz? Nie rozumiesz tego? - pytał wstrząśnięty Nikko. - Człowieku, ja nigdy w życiu nikogo nie pobiłem. Ba, nie powiedziałem nigdy o nikim złego słowa. I ty mówisz... Jak możesz...

Świr zaszepczał. Nie myślał, że Nikko może aż tak źle to przyjąć. Po kilku minutach rozmyślenia powiedział.

- Powiem to jeden i ostatni raz. Nikko, za to morderstwo przesiedziałbyś może dwadzieścia pięć lat.

- Co z tego? - warknął.

- To, że ciebie uznano za zdrajcę państwa. Z góry jesteś przekreślony, co oznacza, iż nie istniejesz.

- Gównu warta wiedza - odparł apatycznie. - Zabiłem człowieka...

- Jeśli policja ujmie cię, umrzesz. Nie masz wyboru, musisz przyjąć moją propozycję...

- Czygo ty w ogóle ode mnie chcesz?! - wrzasnął Nikko. Mierziła go myśl obcowania z człowiekiem, przez którego zabił inną osobę.

- Pomóc ci - powiedział tonem, o który trudno go było posadzać. Takim... Ojcowskim.

- Tak... - szepnął.

- Moi przyjaciele nigdy nie zawodzą. Możemy ci pomóc...

- Nasze życie to adrenalina połączona z wielkimi pieniędzmi - objaśniał Świr, kiedy przemierzali ulice Radomia. - Mamy tu wszystko: nielegalne wyścigi, narkotyki, strzelaniny, bary i dziwki. Przez to miasto miesięcznie przechodzi sto ton przemycanego towaru.

Nikko powoli przekonywał się do koncepcji Świra. Życie miał i tak dosyć spieprzone, więc jaką różnicę zrobiło by coś takiego? Mafia radomska miała podnieść się jak feniks wstający z popiołów.

Samochodu musieli się pozbyć, by nie zwracać na siebie uwagi policji. Świr znał kilka miejscówek, gdzie zwykle niszczyło się wszelkie dowody. Jedną z nich był stary budynek firmy reklamowej, naprzeciw politechniki. Nikt, oprócz miejscowych żuli i osób spragnionych upojnych chwil, tam się nie zapuszczał.

W dużym hangarze Świr zatrzymał fiata i obydwa wysiedli. Polewając samochód benzyną, Nikko myślał nad zmianą swojego życia. Oto był humanistą, człowiekiem bez skazy na sumieniu. Teraz jest mordercą, złodziejem samochodu i przyszłym mafiosem. "Co ma być to będzie" - powtórzył słowa swego ojca.

- No, szefie. Zapalamy - powiedział uśmiechnięty od ucha do ucha Świr.

Ogień buchnął po powale. Słońce już zachodziło.

- Zaczyna się nowy rozdział mojego życia - rzekł Nikko.

- Fakt - uciął Świr.

ROZDZIAŁ III NOWE ŻYCIE

Nocne życie Radomia, coś niesamowitego. Otoczka rozjarzonych latarni, ludzie, korzystający z uroków nocnych klubów, dyskotek i pubów. Hipnotyzujący wpływ pięknych kobiet i niosących jak wichur samochodów.

Pod spodem, pod tą cudowną otoczką kryje się coś jeszcze. Coś, czego nikt nie chciałby spotkać.

Nikko i Świr właśnie skończyli robotę z uprzątnięciem wraku. Zmierali teraz do jednego z ludzi, R-Mana. Świr co rusz wyskakiwał z objaśnieniem czegoś.

- Ty, Nikko, patrz! - wskazał na porośnięty krzakami plac z kawałkiem muru i kamiennym, czymś, co wyglądało jak olbrzymi klin z chaszczami porastającymi go.

- Co to jest? - zapytał zaciekawiony.

- To był kiedyś stadion Czarnych Radom, jednej z lepszych drużyn tego miasta. Oczywiście gdzie mu tam do Radomiaka, ale... mój dziadek tam grał.

- Pewno był dobry, nie?

- Nie tak jak w obrabianiu gablot, mimo to sprawdzał się - powiedział z uśmiechem.

Wędrowali ścieżyną przez duży plac. Kiedyś toczyła się o niego wielka batalia, czy budować centrum handlowe z kompleksem mieszkalnym, czy nowe osiedle. Inwestor uciekł do Warszawy by tam budować i plac pozostał taki jaki miał być. Dla R-Mana i jego materiałów wybuchowych.

- Opowiedz mi o tym R-Manie - zagadnął Takeda.

- To jest dopiero wariat. Szefie, takiego drugiego to z zapalką szukać... - powiedział Świr z pewną dozą emfazy.

- Ze świeczką - poprawił go Nikko.

- Jeden kij. Poznałem go jakieś dziesięć lat temu. On jeszcze za starej władzy był kujonem i zdał studium chemiczne. Jebak, od kołyski bawił się ogniem i petardami. Potem zaczął robić dragi i materiały wybuchowe.

- Skąd ma na to kasę?

- Człowieku, aptekarz kontroluje całe miasto! On ma w rękach dilerków i ćpunów nawet spod Wawy - powiedział z przejęciem. - Ma też własnych goryli z ak-47. To się rozumie samo przez się, że ma kapuchę.

- To po co mu ja? Przecież ja nic nie umiem - powiedział ponuro Nikko. - Nie potrafię nawet nacisnąć na spust...

- A umiesz liczyć? - zapytał Świr.

- Co?

- Umiesz prowadzić rachunkowość firmy?
 - No, w sumie to pisałem sprawozdania rachunkowe cechu mojego ojca...
 - Widzisz. Rok temu jak mnie zapuszkowali, to ktoś sprzątnął naszego księgowego. Może jeszcze nikogo nie mają?
 Minęli skwerek, zwany przez mieszkańców "osiedlem". Kilkadziesiąt metrów dalej mieszkał R-Man. Świr podszedł do klawiatury domofonu i nacisnął guzik z numerem trzynastą. Nie raz lecz kilka, w jakimś dziwnym tempie. Nikko miał już zamiar zapytać o to, lecz drzwi nagle się otworzyły. Powoli weszli na pierwsze piętro i weszli do domu. Bez pukania, od razu. W ciemnym przedpokoju rozległ się szcęk przeładowywanego pistoletu i jakaś niewyraźna postać wycelowała w Takedę.
 - Kto to? - rozległ się nieco poirytowany głos.
 - Spox, R-Man, to ja Świr!
 - A ten drugi?
 - On pomógł mi wydostać się z pierdła. Nikko Takeda.
 Rozległ się dźwięk blokady pistoletu i wsuwania go do kabury. Nikko odetchnął ciężko. Przez chwilę miał wrażenie, że Świr chciał się go pozbyć.
 - Dzięki ci, Nikko. Potrafię się odwzajemnić, za okazaną pomoc moim ludziom. Napijcie się czegoś?

R-Man wcale nie wyglądał jak gangster z filmu Scorsese. Nie miał czarnych włosów, nie nosił garniturów i czarnych półbutów. Można rzec, iż wyglądem znacznie odbiegał od kanonu. Przede wszystkim miał ciemne dredy, długie aż do ramion. Nosił ciemną koszulkę z flagą Etiopii w kształcie Afryki i bojówki w kolorze moro. Zero glanów, po prostu znoszone buty sportowe Nike. Miał też jedną ciekawą cechę. Był rastamanem. Zagorzałym, mocno wierzącym i palącym marihuanę rastamanem. Ciągłe mówił albo o reggae albo o swoich koleżankach. Jak go tu nie lubić, kiedy z nim nie można się nudzić.
 Dom jego był azylem dla wszelkiej maści odmieńców, jakich Nikko nigdy nie tolerował. Czy by to był punk, metal czy też człowiek rasta, czułby się tu jak u siebie. Wszędzie sprzęt wysokiej klasy (wcale nie był to sprzęt grający) i głośniki, z których dobiegały dźwięki Habakuka lub Bakshish'a. Plakaty z twarzą Bob'a Marley'a i wielkim liściem marihuany.
 Dookoła unosił się słodkawy zapach, od którego aż kręciło się w głowie.
 - Świr, chyba nie mówisz poważnie? - zapytał R-Man uśmiechając się szeroko. - Czy mam, za twoim przeproszeniem Nikko, wziąć pierwszego lepszego frajera z ulicy, by zajmował się naszymi finansami?
 - Słuchaj, od roku kiedy te cioty z Oboziska sprzątnęły Siarę nie mamy księgowego. Ty zawsze lubieś nowe twarze. Daj mu szansę.
 - Dam, pod jednym warunkiem - powiedział R-Man. - Musisz go spełnić, by dostać tę posadę.
 - Co mam zrobić? - spytał Nikko.
 - Dam ci kilka zleceń na różne transakcje i zadania. Od tego jak je wykonasz, zależeć będzie czy przeżyjesz i czy będziesz u nas pracował. Może bucha? Mam dobre zioło, wprost z meksykańskiej plantacji...
 - Jasne - odparł Nikko. Zaciągnął się i zawirowało mu w głowie. Kolory nabrały jasności i wyrazistości, poczuł ochotę by krzyczeć z niepojętej radości.
 - Fajne, co? - powiedział Świr, zaciągając się. Dobre zioło, nawet babcia Janina takiego nie ma.
 - Jutro zapoznasz go z Bananem. To nasz spec od broni - dodał zwracając się do Takedy. - Wybierzesz sobie u niego broń i poduczysz się strzelać. Może ci się to bardzo przydać.
 - On ma już małe doświadczenie... - powiedział Świr i zrelacjonował zajście u drużnika. R-Man uśmiechnął się jeszcze szerzej. Takeda był na tyle ujarany, by się tym nie przejmować.
 - Świetnie! Musi tylko się do tego przyzwyczaić. Strzał w twarz! Pojętny jest. Będzie dobrym rzeźnikiem.
 - Co dalej? - zapytał Świr.
 - Potem dasz mu furę i zapoznasz z Ryśkiem. Powiecie mu, że przysyłam was po nowe papiery i że Nikko teraz kontroluje finanse w jego burdelu. Potem skoczycie do Lola i zaczniecie rozkręcanie jego filmowej produkcji.
 - A co ze mną?
 - Z tobą... - zamyślił się R-Man. - Twój warsztat czeka, razem z nowymi uczniami. Chata została zajęta przez państwo, ale mam dla ciebie nowy spot. Razem z nową furą i trochę grosza na życie.
 - To znaczy, że będzie tak jak dawniej - zapytał z nadzieją w głosie.
 - Tak - odparł z przekonaniem.

Życie nabiera smaku wtedy, kiedy wiesz, że żadna chwila nie została przez ciebie stracona. Czujesz się prawdziwie wolny pośród ludzi, którym zaufałeś i powierzyłeś wszystko co masz. To esencja bycia sobą.
Carpe diem.

ROZDZIAŁ IV MASZYNA DO ZABIJANIA

Nikko czuł się lekko nieswój. Oczywiście stan ten mogła wywołać Biała Nirwana, którą palił z chłopakami dwa dni temu. Nie wykluczał tego. Inną sprawą była trema przed pierwszymi zadaniami jakie mogły go czekać. Właśnie teraz mogło nastąpić jedno z nich.
 - Świr, jak sądzisz, co może mnie czekać? - zapytał w nadziei na uzyskanie wyczerpującej wypowiedzi.
 - Nie wiem, ziom - odparł. - Na razie musimy dojechać do naszego spotu w byłej fabryce części zamiennych.
 - Tam urzęduje Banan?
 - Urzęduje? Daj sobie spokój z tekstami w stylu mądrali - powiedział zniesmaczony Świr. - Jeśli chcesz być tu szanowany, grypsuj. Naucz się slangu miasta.
 - Spox. Tak lepiej, ziom?
 - Znacznie. Tak jak już mówiłem, jedziemy do Banana. Tam nauczysz się porządnie używać klamek i innych rzeczy.
 - To co zrobilem nie wystarczy? - zapytał Nikko.
 - Nie. Uwierz mi, to była najbardziej lajtowa zajawka jaką miałeś. Bywają inne, bardziej hardkorowe sytuacje.
 Z ulicy Chrobrego skręcili w uliczkę Czystą. Tam znajdował się wjazd na teren "zakładu". Obecnie od zewnątrz były tam salony samochodowy, fundacja maltańska i kilka sklepów. Na tyłach znajdowało się królestwo Banana.
 Był to nieduży budynek z własną małą strzelnicą, całkowicie wyciszoną. Stojąc metr od ścian nie słychać było strzałów.
 Stróż pilnujący wejścia wpuścił Świra i Nikko bez pytania. Prawdopodobnie R-Man uprzedził ich o przybyciu interesantów.
 "Jak to wszystko precyzyjnie pracuje" - pomyślał Nikko. W tle przegrywała muzyka Korn'a. "Freak on a leash".
 - Hola kompadres! - powiedział spokojnym głosem osobnik zza lady.

- Siemka Banan! - odparł Świr obejmując go w uścisku. Nikko podszedł i powtórzył gest kumpla.

- R-Man mówił ci o sprawie z jaką jesteśmy?

- Jasne. Przejdźmy od razu do interesów - powiedział Banan.

Tak samo jak R-Man nie przypominał gangstera. Był średniego wzrostu, chudy, miał włosy koloru mahoni i także same źrenice. Oczy bystro obserwowały nowego członka rodziny. Rysy twarzy były lekko zaokrąglone. Cechą szczególnie rzucającą się w oczy to szczupłość i ruchliwość jego dłoni. Musiał nie jedną wiosnę spędzić przy składaniu broni.

- Spójrzmy, co ja tutaj mam... - mrucał pod nosem. - Co takiego lubisz?

- Znaczy się?

- Jaki rodzaj, ile naboji, kaliber, pojedyncza czy dual? - pytał Banan.

- Ja miałem tylko Berettę 92F w ręku... - powiedział Nikko.

- Hmm... Mam na stanie teraz to... - położył na blacie pudło z pistoletami. Wszystkie równiutko ułożone i wypolerowane. - Z ostatniego przemytu. Desert Eagle, siedem strzałów, kaliber czterdzieści pięć...

- To chyba za mocne dla niego - wtrącił się Świr. - Ale dobrze strzela z berki.

- Tak sądzisz? - zapytał z powątpiewaniem.

- Można tak powiedzieć - zasepił się Nikko.

- Mogę zaproponować też Walther'a CP99, kaliber czterdzieści pięć, osiemnaście strzałów lub Berettę 92F, piętnaście strzałów i kaliber trzydzieści osiem, możliwe rozwiarcenie do czterdzieści pięć.

- Sam nie wiem... - zawahał się Nikko. Mógłby je przetestować?

- Świetnie. Nie bierze się klamki bez sprawdzenia jej - powiedział Banan. - Zapraszam na strzelnicę amigo.

- O w dupę, to jakiś zasrany hitman! - powiedział Banan przecierając oczy. - On nie miał nigdy broni w ręku?

- Mówił, że tak - odpowiedział Świr.

- W życiu czegoś takiego nie widziałem! On musiał mieć już jakiś kontakt z bronią.

Podziw obu mężczyzn był całkowicie na miejscu. Nikko tak szybko strzelał i przeładowywał broń, że nawet rekordzista świata miałby problemy z pokonaniem go. Tak samo z trafieniami, dokładnie sto procent. Wszystkie w głowę. Między oczy.

Po skończonym treningu wyszedł z strzelnicy do pomieszczenia sklepowego. Banan miał szeroko rozwarte usta.

- Gdzieś się nauczył tego?

- Mam naturalny talent - odparł wymijająco. - Sądzę, że jednak najlepsza będzie dual berka.

- Spox, ziom. Dla mnie jednak - powiedział cicho - jesteś urodzonym siepaczem. Naturalnie zaraz wypiszę papiery i wszystko będzie o ka.

- Fajnie.

Nikko odebrał broń, kabury i kilka magazynków. Dostał też breloczek i magazyn z nowościami. Pożegnawszy się z Bananem, poszli do samochodu Świra. Dzień zapowiadał się naprawdę ładnie. Świr zapalił papierosa i zapuścił motor.

- Dbaj o klienta - powiedział Takeda z podziwem. - Mało jest teraz takich sklepów. Czy to jakiś Hiszpan?

- Nie, to po prostu cały Banan - odparł Świr z uśmiechem, zapalając papierosa.

- Mam nadzieję, że to nie ganja.

- Nie jaram zioła w gablocie - skwitował Świr. - Swoją mańką, jemu mogłeś nie powiedzieć, ale mi chyba możesz, co?

- Co?

- Gdzie się tego nauczyłeś? Chyba nie byłeś w wojsku? - dopytywał.

- Miałem przeszkolenie w ruchu oporu, do którego należał mój ojciec - odparł twardo Takeda. - Porucznik Katsuhiko Takeda, skazany na śmierć za zdradę państwa.

- Wyrok wykonano - bardziej stwierdził niż zapytał.

- Tak. Nie mówmy już o tym. Co dalej? - zmienił temat Nikko.

- Mój warsztat. Z tego co mówił R-Man pewnie stoi już tam twój nowy wóz. Pewnie coś zagranicznego, lub po tunie.

- Po czym? - zapytał nieco zaniepokojony Takeda.

- Możliwe, że będziesz się ścigał. Nie bój żaby - dodał, widząc jego minę. - Ja kontroluje wszystkie wyścigi na Piętnastolecie. Przeze mnie będą przechodziły zlecenia i części. Także nowe gabloty.

- Jedźmy.

ROZDZIAŁ V FANTY

Warsztat Świra mieścił się w bramie przy ulicy Malczewskiego. Był to obskurny budynek, otoczony starymi kamienicami. Wewnątrz kryła się prawdziwa kuźnia samochodowych blach i numerów. Każdy kradziony samochód zostawał "zalegalizowany" lub sprzedany na części. Ludzie z okolicy nazywali to miejsce "Rajem Świrów".

Nikko i Świr zajechali w to miejsce około południa. Warsztat Świra jest oddalony o około piętnaście minut drogi, ale tym razem przejazd zajął przeszło godzinę. Konieczne były zakupy, bo nowy dom mechanika był w pełni wyposażony. Brakowało tylko jedzenia.

W warsztacie krzatali się pomocnicy i kilku innych interesantów. Wejście Świra wywołało wrzawę, lecz po chwili wszyscy wrócili do pracy. Obydwaj poszli spokojnie do garażu znajdującego się na tyłach warsztatu.

Stał tam nowiutki, pachnący salonem mercedes M-klasse.

- Niemożliwe... - wyszeptał Nikko. Wyglądał tak, jakby go piorun uderzył. - To moje?

- Jasne - odparł Świr. - Tu masz papiery, dowód, paszport i prawo jazdy. Uważaj na niego!

- Chyba będę go codziennie oblizywać - odparł z błyszczącymi iskierkami w oczach.

- Teraz jedź pod to miejsce - wręczył mu kartkę. - Tu jest twój spot. Powołaj się na R-mana, a dostaniesz najlepszy pokój.

Takeda spojrzał na kartkę. Napis na niej głosił: "Najlepszy hotel w mieście! Trzy gwiazdki w europejskim rankingu! Hotel Poniatowski" oraz zamieszczony był adres. Nie wierząc swojemu szczęściu wsiadł do samochodu i z delikatną bojaźnią zamknął drzwi. Zapach nowości przesycił i Nikko. Uruchomił silnik i wsłuchał się w pomruk niemieckiej V8.

Ruszył w kierunku hotelu, wciąż nie wierząc w swoje szczęście. Jako redaktor w państwowej gazecie mógłby sobie pozwolić na kawalereczkę w slumsach i po pięciu latach pracy fiat 500. Czuł, że ta praca się mu spodoba.

Nie wiedział, jak wiele można stracić w tym fachu...

[1] Nie ma wcale związku z obecnymi ugrupowaniami

Mobile Love

Wojciech „Wocemir” Popik

Mój telefon komórkowy posiada wiele różnych funkcji. Jest to bardzo dobre urządzenie – łączy mnie z bliskimi, przyspiesza kontakt; zbliża mnie z ludźmi. Jestem z niego bardzo zadowolony.

Pewnego razu zachęcony reklamą kupiłem go, a mój stary aparat sprzedałem bez krzty żalu. Teraz miałem jego, mój piękny telefon przenośny. Ten istny cud techniki nie był tani, ale byłem w pełni z niego zadowolony. Kazano mi co prawda udostępnić wszystkie dane wraz z życiorysem i innymi szczegółami, ale czego się nie robi dla takiego telefonu. Posiadał wszystkie pakiety możliwości, jakim powinien dysponować telefon na miarę XXI w. – sms’y, kamerę, aparat, zbiór dzwonków... nie to jednak go wyróżniało. Pośród tak licznych i pociągających opcji wyróżniała się w nim jedna funkcja, gdzieś między Grami a Ustawieniami.

Kobieta.

W sumie kupiłem go, bo mi się podobał i fajnie prezentował ze swymi kolorowymi diodami w obudowie. Producent postanowił jednak obdarować mnie taki o to bonusem, który był dostosowany do płci właściciela. Wybrałem oczywiście kobietę – tak, dla świętego spokoju. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

*

Zaczęło się klasycznie – od sms’ów. Jak to bywa w smsowych znajomościach brnęliśmy naprzód szybko, ale nieco nieufnie wobec siebie. Świetnie się nam pisało. Ona wiedziała o mnie bardzo dużo – co lubię, czym się interesuję, na każdy temat mogła ze mną porozmawiać.

Trudno mi teraz powiedzieć dokładnie, jak to z nią było. Na reklamie widziałem wdzięcznie uśmiechnięte kobiety namiętnie piszące sms’y. Słyszałem jednak, że tak naprawdę zastępuje je automat. Czy to mogła być prawda?

Mój Telefon leży na stoliku wśród papierów i wczorajszej kawy. Za chwilę napiszę wiadomość do mojej... kobiety. Wiem, że mi odpisze, że zapyta, jak się czuję, co słyszać. Zawsze interesują ją moje problemy, sprawy, życie codzienne. Jeśli tylko mam taką potrzebę, aby z nią porozmawiać, zwierzyć się, zawsze jestem wysłuchany. Czy mnie to dziwi? Mogę mieć powody. Ale skoro ja zawsze mam czas dla niej, czemu nie miałyby mi odpłacić tym samym?

Tak, jest moją przyjaciółką.

*

Życie człowieka mija tak szybko i kończy się nagle, jak przzerwana taśma w szpuli naszej ulubionej kasety. Na czym więc mam go spędzić? Czemu zawierzyć: pustym obietnicom niepewnego jutra czy dzisiejszej odrobinie szczęścia. Carpe diem, jak rzekł ktoś mądry – chwytaj i nie puszczaj.

Siedzę nad stawem miejskiego parku, a delikatny popołudniowy wiatr lekko kołysze strzeliste sylwetki drzew. Nogi wyciągnąłem przed siebie, oparłem plecami o wiekowy dąb. Wokół całkiem sporo ludzi – zmierzają gdzieś do swoich spraw, nie ugotowanych obiadów i rosnącej góry rachunków.

Patrzę na telefon; milczy. Spoglądam w zielonkawą taflę wody, jakbym szukał tam wyjaśnienia. Czemu do mnie nie pisze? Mój obojętny wzrok wędruje ku osobom siedzącym wzdłuż brzegów – w dużej większości mają nastrój podobny do mojego. Siedzą znudzeni, rozglądają się na boki, jakby czegoś szukali, wypatrywali czy nasłuchiwali odpowiedzi na nurtujące ich pytania.

Nagle w jednej chwili nastąpiła diametralna zmiana – rozległ się dźwięk nadchodzącej wiadomości. Wszyscy ci smutni, mężczyźni i kobiety, z zapalem chwycili swe komórki lub szukali ich teraz desperacko po kieszeniach i torbach.

Wśród tej niespodziewanej kakofonii odwróciłem uwagę od mojego telefonu. Spojrzałem po chwili na wyświetlacz.. nareszcie! Napisała do mnie – jak mogłem w nią wątpić?

„Przepraszam, ale nie mogłam wcześniej. Więc jak minął Ci dzień, kochanie?”

Dzień minął mi pięknie. Smsowaliśmy do wieczora, może do nocy – kto by liczył godziny? Ważne, że znów mogłem żyć, nie zastanawiając się nad niczym. Liczyła się tylko kolejna wiadomość od niej.

Park wypełnił się dźwiękami dzwonków i pipczeniem naciskanych klawiszy.

*

Dziś było inaczej. Odezwała się, jak zwykle – po południu. Jak zwykle smsem. Nie chciała rozmawiać, twierdziła, że to mogłoby zburzyć harmonię, która między nami panuje. Być może poniekąd miała rację. Co ja mógłbym jej powiedzieć? To cud, że chce ze mną chociaż pisać te krótkie wiadomości.

Ten jednak, który teraz dostałem był jakiś dziwny – nie pasował do niej i na pewno nie pasował do mnie.

„Pewnie lubisz grać w golfa”.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Tylko, że ja nic z golfem nie mam i nie miałem wspólnego. Przecież ona zawsze trafiała w sedno! Nigdy nie napisała by czegoś, co by było niezgodne z moimi upodobaniami.

„Nigdy nie grałem w golfa. Skąd Ci to, skarbie, przyszło do głowy?”

Na odpowiedź czekałem długo. Dziwnie długo. Wreszcie z transu oczekiwania wyrwał mnie dźwięk nadejścia sms’a.

Spotkało mnie tylko wielkie rozczarowanie. Byłem całkowicie zdezorientowany. Cos się jej stało?

„Error 124: Wrong user’s character.”

Co to oznacza? Dlaczego nic nie odpisujesz? Czy coś się stało?

Nie czekałem długo na następną wiadomość.

„Przepraszam Cię najmocniej, to ten mój durny telefon nawala. Zawsze sądziłam, że komórki to zguba ludzkości!”

Nie mogłem się nie zgodzić.

*

Nie odpisuje. Rozmawialiśmy sobie zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic, a nagle wiadomości przestały przychodzić. Sprawdziłem rachunki – zapłacone, mogę używać mojego telefonu. Poza tym, nawet gdybym nie mógł do niej napisać, nic by to nie zmieniło - to ona się nie odzywała, a nie ja! Może skończyły się jej pieniądze? Musimy poważnie porozmawiać o naszej przyszłości.

W jednej chwili moje serce zabiło mocniej, a świat nabrał kolorów. Przyszedł sms!...I wszystko stało się jasne, jak literki na moim pięknym wyświetlaczu.

„Twój pakiet Kobieta właśnie się skończył. Wykup specjalny jeszcze korzystniejszy pakiet 4000 sms’ów na następny miesiąc!”

Wojciech „Wocemir” Popik

Opowieści z Przeklętej Doliny :: Część 6

Konrad Staszewski

"Samobójstwo w pociągu"

Nikki zupełnie nie wiedziała co robić, pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Spoglądała raz po raz to na siedzącą naprzeciwko niej kobietę a raz na mężczyznę, który przed chwilą wszedł do wagonu i był nie mniej niż ona zaskoczony reakcją kobiety. Patrzył na Nikki i widocznie zastanawiał się czy nie powinien sięść w innym wagonie, bo jedną nogą przekroczył a stał jeszcze w progu. Zdecydował się gdy usłyszał kolejny, ogłuszający niemalże krzyk pasażerki. Nikki nadal nie odezwała się ani słowem więc tylko uśmiechnął się nieco nieśmiało ale wyrozumiale do dziewczyny i wyszedł z wagonu. Nikki wołała się nawet nie zastanawiać co sobie o nich mógł pomyśleć.

"Niby mniszka" przy drugim krzyku wyraźnie wskazała Nikki palcem i zaczęła się trząść jakby nagle dostała ataku padaczki. Gazeta wypadła jej z rąk ale to już nie interesowało dziewczyny. Podeszła do kobiety i chciała ją uspokoić ale, z każdym krokiem Nikki, krzyczała coraz głośniejsze, jakby była opętana przez jakiegoś demona. W jej oczach malowało się paniczne przerażenie.

- Proszę się uspokoić. Pomogę Pani. - Nikki ponownie zaproponowała nieznaną jej. Ta na chwilę się uspokoiła i, jakby przyjmując pozycję obronną, mocno przylgnęła do siedzenia.

Dziewczyna nie wiedziała co ma o tym myśleć.

- "Najbezpieczniej chyba będzie sięść naprzeciwko tej kobiety." - pomyślała. Po chwili milczenia, która wprawiała w zakłopotanie każdego, rzekła najspokojniejszym głosem na jaki w tej sytuacji mogła się tylko zdobyć. - Stało się Pani coś? Może uda mi się jakoś Pani pomóc. - wyciągnęła ręce w kierunku kobiety.

Ta, zapamiętała w swoim przerażeniu zaczęła machać przed sobą rękami i krzyczeć:

- Ni..., Ni...

- "Widocznie nie chce ode mnie pomocy." - pomyślała Nikki. - "Może nie jest stąd bo nie mówi naszym językiem."

Z zamyślenia wyrwał ją nieoczekiwane zachowanie towarzyszy z przedziału.

Dziewczyna nic nie robiła, starała się zachowywać naturalnie, żeby nie denerwować ani nie niepokoić "niby mniszki". Ta też w milczeniu przyglądała jej się chwilę bardzo badawczo. Zastawiała się co robić i analizowała zaistniałą sytuację i wtedy nastąpiło coś, czego Nikki nie zapomni do końca życia. Kobieta niespodziewanie poderwała się z miejsca, podbiegła do okna i otworzyła je. Dziewczyna siedziała i nie wiedziała co ma robić. Była jak sparaliżowana a kobieta wydała z siebie jeszcze jeden krzyk, ostatni, mrozący krew w żyłach i nie oglądając się za siebie wyskoczyła z pędzącego pociągu. Nikki zdawało się, że ten krzyk zawierał w sobie jej imię ale nie była tego pewna.

Tak jakby słyszała drugi, wydany równocześnie z pierwszym ale dobiegający z innej strony. A może jej się tylko tak wydawało; może "Ni..." wyskakującej została tylko nienaturalnie wydłużone przez świst wiatru i szum pociągu. Nie wiedziała. Nie wiedziała również co stało się z samobójczynią ale nie chciała tego sprawdzać. Nadal nie była w stanie nawet się poruszyć a co dopiero zbliżyć się do okna.

Spojrzała tylko na drzwi do przedziału - były nadal zamknięte, tak jak zostawił je wcześniej podróżny, który zdecydował się znaleźć inny przedział. Teraz zdawało jej się, że w ich szybie widzi swego wybawiciela, kogoś, kogo tak bardzo pragnęła w tej chwili zobaczyć i się do niego przytulić, że już się czasem obawiała, że zaczyna mieć przywidzenia.

Wpatrzyła się w szybę jakby zobaczyła w niej ducha swej matki. Ale to nie była twarz Mary Mothman. I te oczy, nie Johna ale tak miłe sercu.

- Hrabio. - niemalże krzyknęła i wskazała ręką okno.

Cagliostro jednak zachowywał się jakby jej w ogóle nie widział.

- Hrabio! - tym razem krzyknęła.

Nadal żadnej reakcji z jego strony. Przemogła odrętwienie i podeszła do drzwi. Energicznie pociągnęła za klamkę ale były zamknięte, chociaż nie dostrzegła w nich żadnego zamka. Bezradnie spojrzała na Cagliostra. On patrzył niby na nią ale Nikki miała wrażenie jakby jego wzrok utkwniony był gdzieś w oddali.

Dziewczyna z determinacją pociągnęła za drzwi ale ponieważ nie dawało to żadnego rezultatu, ze łzami w oczach usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach. Jak dziecko zacisnęła pięści i przetarła nimi oczy.

Gazeta, którą wcześniej upuściła jej dziwna towarzyszyka podróży, leżała teraz w zasięgu ręki dziewczyny.

John nie czekał aż usłyszy po raz trzeci tajemniczy krzyk. Już wychodził z przedziału gdy w szybie drzwi zobaczył jakieś odbicie. Był pewny, że odbiło się coś, jakby ubranie i, że to odbicie się w szybie musiało pochodzić od okna. Zbliżył się do niego, otworzył i wyjrzał na zewnątrz pociągu. To co zobaczył nawet jego przyprawiło o mdłości, detektywa, który był świadkiem już niejednej śmierci. Ale nie takiej.

Ciało jakiejś kobiety na jego oczach zostało rozjechane przez pociąg. Jeszcze widział zakrwawione torowisko. Miał nawet wrażenie, że słyszał chrzęst łamanych kości, może czaszki, i widział przez chwilę wleczoną, zaczeponą na kole zakrwawioną, oderwaną rękę. Ku jego zdziwieniu maszynista nawet nie zwolnił szybkości jazdy. "Może nic nie wie, pociąg jest długi i głośny." - pomyślał.

Był pewien, że w tym pociągu popełniono morderstwo. I miał już podejrzenia kto mógł je popełnić. Na kolejnym zakręcie dostrzegł w którymś przedziale otwarte okno. Wszystkie pozostałe były pozamykane.

- "Jeśli to nie tam popełniono morderstwo to może chociaż pasażerowie coś słyszeli. - pomyślał. - "Wszystko powinno się wyjaśnić jak odnajdę Hrabiego". Wybiegł z przedziału nie dbając o pozostawione bez opieki bagaże i poszedł wzdłuż pociągu. Ponieważ siedział w ostatnim przedziale, zaglądał do każdego mijanego ale nie dostrzegał w nich niczego podejrzanego. To tylko utwierdzało go w przekonaniu, że morderca dokonał zabójstwa w przedziale z otwartym oknem. Poza tym nadal nie natknął się na Cagliostra a minął już kilkanaście przedziałów i kilka wagonów, nie liczył nawet ile.

Otworzył drzwi oddzielające kolejne wagony i stanął zupełnie nie wiedząc co powinien zrobić. Hrabia, którego ponoć żaden z podróżnych nie widział gdy ten przemykał się koło ich przedziałów, stał teraz kilkanaście kroków przed detektywem, zwrócony do niego bokiem a przodem do drzwi przedziału. Mothman domyślił się, że to w tym przedziale zostało popełnione morderstwo a podejrzanym był oczywiście Hrabia. Detektyw miał ochotę rzucić się na niego i wycisnąć z niego wszystkie wiadomości ale wiedział, że na razie nie mógł niczego podobnego uczynić. Potrzebował zebrać przeciwko niemu niezbitę dowody a póki co miał tylko poszlaki i podejrzenia.

Ostrożnie zaczął zbliżać się do Hrabiego. Ten widocznie usłyszał jego kroki bo odwrócił się w jego stronę a Mothman stanął i zaczął mu się dokładnie przyglądać.

Pierwsze co przykuło jego uwagę to była jakaś zmiana, która zaszła w Hrabim. Najbardziej widać to było w jego oczach - były nadal

nieprzystępne ale teraz smutniejsze i jeszcze zimniejsze niż zwykle. Już nie widział w nich tej iskry życia, tak jakby ich właściciel w ciągu tej krótkiej podróży bardzo się postarzał. Znalazło to odbicie w całej jego twarzy: jej rysy stały się ostrzejsze i bardziej widoczne. Gdy tak stał oparty na swojej łasce bardziej teraz przypominał trawionego śmiertelną chorobą starca aniżeli pełnego prawie młodzieńczej energii mężczyznę, który kilka godzin wcześniej przyszedł do Mothmans Library. Johnowi, im dłużej na niego patrzył tym bardziej robiło mu się go żal. "Może ma teraz wyrzuty sumienia po dokonanej zbrodni." - pomyślał. - "Mimo to jest jej winny. Z drugiej jednak strony czy świadomie odważyłby się popełnić morderstwo wiedząc, że jestem detektywem? Czy zaryzykowałby zdemaskowanie? Nie, głupi nie jest: jego inteligencja jest raczej równa przebiegłości. A może to rodzaj testu dla mnie, może mnie sprawdza. Jeśli tak to zagramy". Kąciki ust zadrgały mu w ledwo widocznym uśmiechu. Miał nadzieję, że Hrabia nie dostrzeże tego, co rozgrywa się teraz w jego myślach i duszy. I chyba tak było.

Mothman podszedł do niego zdecydowanie. Cagliostro dopiero jakby go wtedy zauważył gdy ten stanął tuż przed nim.

- Stało się coś? - zapytał detektyw jakby o niczym nie wiedział.

Hrabia patrzył na niego jakby nie rozumiał co John do niego mówi. Dopiero po chwili odpowiedział a każde jego słowo wbijało się w serce Mothmana niczym sztylet.

- Twoja siostra...

Te dwa słowa sprawiły, że krew zawrzała detektywowi w żyłach. Już przed oczami przesuwali mu się najstraszniejsze obrazy. Chwytał Cagliostro i zaczął go dusić i szarpać.

- Co z nią?! Gdzie ona jest?! Gadaj łajdaku! Zabiłeś ją! Powinienem zrobić z Tobą to samo! - krzyczał a twarz Hrabiego stawała się coraz bardziej popielatą z braku powietrza.

Urywany, ledwo słyszalnym głosem wykruszył:

- ...popełniła morderstwo.

Mothman usłyszawszy to puścił go i cofnął się o parę kroków. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

- O czym Ty mówisz. Łiesz.

*

Samuel podciągnął rękaw płaszcza. Zawsze był dumny z tego, że jako jeden z nielicznych mieszkańców Doliny ma zegarek na ręce. Dla innych był to jedynie nieosiągalny cud techniki, ale nie dla niego, nie dla syna Wielkiego Gvidona jak często nazywali jego ojca. Świącące upiornym blaskiem wskazówki utwierdziły go tylko w tragicznym przeczuciu ale wolał nie mówić o tym nikomu. Miał nadzieję, że Gvidon nie zapyta. Tak też się stało. Zapytał dopiero gdy znaleźli się na stacji.

Podszedł do okienka i zastukał z niecierpliwością dłonią w blat drewnianej przybudówki. Dźwięk odbijającego się złotego sygnetu rozniósł się po całym pomieszczeniu Informacji. Dopiero po kilku minutach zjawiał się ktoś, kto mógł udzielić mu potrzebnych informacji. Była to kobieta, w wieku może około czterdziestu lat. Jej ponętne kształty mogły przywodzić na myśl kobiety, które w Dolinie nieraz zaczepiały go składając niedwuznaczne propozycje. Zachowanie kobiety siedzącej teraz naprzeciwko niego mówiło samo za siebie. Uśmiechała się do niego zalotnie - widocznie chciała zatuszować tym złe wrażenie, które zrobiła na nim okazując pewnego rodzaju niesubordynację w pracy. Ale Gvidon nie zwracał nawet najmniejszej uwagi na okazywane mu zbyt nachalne zainteresowanie i może chęć przeprosin w sposób, na który nie miał teraz ochoty tracić czasu.

- Za ile minut odjeżdża stąd pociąg do Przekłętej Doliny? - ponowił pytanie, którego widocznie kobieta przy okienku nie słyszała gdy je zadał, przekraczając próg pomieszczenia choć starał się je zadać jak najgłośniej.

- Odjechał - spojrzała na duży zegar wiszący na ścianie tuż za jej plecami i odwróciła się z tym samym wulgarnym uśmiechem w stronę przybyszów. - dwadzieścia minut temu.

- Co?!

- To prawda, ojczu. - Samuel zbliżył się kilka kroków. - Zapomnieliśmy o zmianie czasu pomiędzy... - zamilkł pod piorunującym wzrokiem Gvidona.

- Która jest teraz godzina?

To, prawie warknięcie przez zęby sprawiło, że nawet kobieta z informacji wyraźnie spoważniała. Teraz skierowała swój bardziej nieśmiały uśmiech w kierunku Samuela ale ten nawet na nią nie spojrzał. Zerknął natomiast ukradkiem, tak, żeby nikt tego nie zauważył, na swój zegarek. Nie mógł wprost odpowiedzieć na pytanie ojca, aby nie narażać się na podejrzenia ze strony innych. Nie każdy uwierzyłby, że odziedziczył w genach talent do przepowiadania przyszłości od ojca, talent, który i tak, tak jak wszystkie pozostałe, w miarę pokoleń stawał się coraz słabszy i mniejszy i zanikał w pewnym wieku mężczyzny. Tylko mężczyźni go dziedziczyli z pokolenia na pokolenie, a kobiety tylko raz na ileś lat ale i tak podejrzewał, że straci ten dar w wieku ojca, tak jak przytrafiło się to Gvidonowi.

- Ta kobieta - powiedział z wyraźnym akcentem na drugie słowo. - niestety ma rację.

- A kiedy będzie następny? - Gvidon znów skierował wzrok na pracownicę stacji.

- Dopiero jutro rano.

Już się odwrócili i podeszli do drzwi wyjściowych ze stacji gdy Gvidonowi coś przyszło do głowy. Odwrócił się na progu i zapytał głośno:

- A czy do tego pociągu wsiadał ktoś, kto w jakiś szczególny sposób przykuł Pani uwagę?

Nie... - zawiesiła głos jakby się nad czymś zastanawiała albo próbowała coś sobie na siłę przypomnieć. - No, może oprócz jednego jegomościa, który miał niesamowite oczy i maniery. Także wyglądał na nietutejszego jak Panowie, dlatego pomyślałam, że Panowie są tacy sami jak on.

- Pomyliła się Pani. - Samuel pierwszy raz na nią spojrzał ale w jego spojrzeniu nadal nie było nawet cienia zainteresowania nią.

- Wiem. - Westchnęła smutno.

- Czy może nam Pani coś bliżej opowiedzieć o wyglądzie tego, jak go Pani nazwała "jegomościa"?

- Nie sądzę. Nie znam Panów.

Stawała się coraz ostrożniejsza i Gvidon to zauważył. Szybkim krokiem wrócił do okienka. Kobieta chciała jakoś zareagować ale nie zdążyła. Wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na blacie. Kobieta nawet nie wyciągnęła po nią ręki więc wsunął karteczkę w szparę pod szybą. Kobieta aż otworzyła usta z wrażenia.

- Może jednak przypomina sobie Pani jakieś szczegóły jego wyglądu?

- Wyglądał jak jakiś... - zaczęła już trochę bardziej rozluźniona, ale już nie próbowała się narzucać przybyszom. "Z prawnikami nie ma żartów" pomyślała.

- Jestem pewny, że to Cagliostro.

Gvidon nic się nie odezwał. Traktował Samuela tak, jakby go w ogóle w pobliżu nie było.

- Prawie nas zdradziłeś. - rzucił tylko gdy wychodzili ze stacji.

*

Siedziała z podkulonymi nogami oparta o drzwi przedziału a płacz co chwilę targał jej ciało. Otworzyła gazetę na stronie, którą czytała samobójczyni i przez łzy, jak przez mgłę zobaczyła nagłówek artykułu. Pod nim było prawdopodobnie zdjęcie zamordowa-

nej dziewczyny ale widocznie ktoś niespełna rozumu je wyciął. Nikki nie czytała artykułu tylko bezmyślnie wpatrywała się w dziurę po fotografii jakby ta przedstawiała jakiegoś jej znajomego. Łzy rozmazały jej litery druku i nie była w stanie przeczytać podpisu zamieszczonego pod miejscem po zdjęciu.

Odłożyła gazetę gdy tylko usłyszała głosy. Przestała płakać i spróbowała się w nie wsłuchać. Była pewna, że dochodzą zza drzwi. Wolno wstała i starała się coś dostrzec przez szybę. Coraz wyraźniej słyszała rozmowę, kłótnię, która z każdym słowem stawała się ostrzejsza. Nie wiedziała co stało się jej powodem ale słyszała Johna i Cagliostro. Zaczęła krzyczeć i uderzać z całej siły pięściami w drzwi. Nagle rozmowa ucichła i dziewczyna zobaczyła upragnione oblicza. Przyłgnęła do drzwi jak rozgniewiona mucha. Widocznie i oni ją zobaczyli albo usłyszeli bo John najpierw zaczął szarpać a potem napierać na drzwi - najwidoczniej chciał je wyważyć. Nikki na wszelki wypadek odsunęła się o kilka kroków i czekała w napięciu. Łzy jeszcze świeciły jej w oczach ale w serce wstąpiła nowa nadzieja. "Za chwilę ten koszmar się skończy" - pomyślała.

John nadal nie mógł uwierzyć w słowa Hrabiego. Nawet teraz gdy zobaczył Nikki w jedynym przedziale z otwartym oknem. Poza tym widział jej zapłakaną twarz i przerażenie w oczach. A wszystko jakby za mgłą, w oddali - zdawało mu się, że nie drzwi ich dzielą a wielka odległość.

Brutalnie odepchnął od siebie Cagliostro i próbował otworzyć drzwi. Gdy to nie dawało rezultatu krzyknął na całe gardło mając nadzieję, że siostra go usłyszy:

- Otwórz drzwi!

Ale ona nawet nie ruszyła się z miejsca.

John nadal szarpał za klamkę.

- Obawiam się, że to nic nie da. Tych drzwi nie otworzysz od zewnątrz. - powiedział Hrabia i detektywowi zdawało się, że w jego głosie usłyszał nutkę szczerzego smutku.

- Dlaczego sama nie otworzy tych drzwi? - John syknął przez zaciśnięte zęby.

- Może się zacięły.

John spojrzał na towarzysza spode łba i ponownie skierował wzrok na Nikki. Wydawało mu się, że trzyma coś w rękach, jakby gazetę. Z determinacją naparł całym ciałem na drzwi ale te nie chciały ustąpić. Mothman zaczynał tracić siły.

- Będiesz tak stał i mi nie pomożesz? - zapytał z wyrzutem Hrabiego.

- I tak ich nie otworzymy. Mam wrażenie, że działają tutaj siły potężniejsze od nas.

- Co masz na myśli?

- To, że zbliżamy się do celu naszej podróży. A z tego co wiem to Przeklęta Dolina jest dość specyficznym miejscem.

John spojrzał na niego i chciał o coś jeszcze zapytać ale Hrabia go uprzedził odpowiedzią:

- Za chwilę się dowiesz.

C.D.N.

Konrad Staszewski

Czerwcową noc rzadko bywa tak upalna. Tak rzadko, że co niektórzy mieszkańcy zaczęli rozpowszechniać plotki o kolejnej dziurze ozonowej i rychłej zagładzie. Miasteczko Midland w Stanie Michigan, sławne jest w okolicy z powodu graniczności.

"A za nami tylko lasy" - Mówią miejscowi... Trochę w tym i racji. Tartak, skup dziczyzny i skór, kilka zakładów przetwórczych. Wszystko tu funkcjonuje dzięki zasobom leśnym. Wyjątkiem w rejonie jest mała kopalnia miedzi, notabene zamknięta oficjalnie przed trzydziestoma laty, ale przynosząca jeszcze dochód gryzoniom, jak nazywają tu górników.

Owa miejscina na peryferiach cywilizowanego świata ma jedną podstawową wadę, a może zaletę... Wszyscy o wszystkich, wszystko wiedzą, a nowa plotka rano, po południu staje się historią. To, co zdarzyło się tu dwa tygodnie wcześniej, zostaje zapomniane i nie było.

Ale Klara pamiętała. Przybyła tutaj dwadzieścia dwa lata temu i do tej pory nie potrafiła się zasymilować ze społeczeństwem. Mieszkała na uboczu, nie ufając nikomu, a jedyną łączniczką ze światem była Anna. Była... Klara od lat uwięziona we własnych fobiach i niemocy potrzebowała kogoś, na którym mogłaby wyładować sarkazmy i żale o to, że jak twierdziła, przegrała życie, i nic jej nie wyszło przez wszystkich dookoła. Potrzebowała kogoś, kto wreszcie by załatwił dla niej najpotrzebniejsze sprawy, kto pójdzie po zakupy. Ale nie było nikogo takiego. Anny nie było.

Zaczęło się to jakiś czas temu, siedem, może osiem miesięcy minęło.

Anna już od dziecka różniła się od rówieśników. Była inna, zawsze doroślejsza, zdolniejsza, poważniejsza. Miała wiele talentów i przeogromną chęć poznawania. Nic nie potrafiło stanąć jej na drodze w dążeniu do absolutu, przez co ludzie patrzyli na nią, jak na istotę z nie tego świata, lub wręcz nazywając nawiedzoną. Stąd też Klara nie zwracała zbytnio uwagi na swoją podopieczną, uważając, że do póki mała ma własny świat, nie będzie chciała nigdzie odchodzić.

Ale Anna rosła, stawiała się coraz bardziej samodzielna i nie wykazywała chęci wiecznego podporządkowywania się histeryzującej ciotce, jak nieraz nazywała Klarę. Czy był to błąd wychowawczy Klary? Na pewno tak, jednak ona nigdy nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. Po prostu, przysparzała małą, a więc ona winna jest jej dożgonną wdzięczność...

A jeśli nie? To za wszelką cenę trzeba tego dokonać, aby tak było.

Anna uwielbiała samotne spacerować. Długie i dalekie. Wracała niekiedy późno w nocy, a i w ten czas nie spała do rana. Chodziła wtedy do pokoiku nad szopą i potrafiła godzinami patrzeć w gwiazdy, lub zapisywać coś w swoich pamiętnikach. Zdarzył się jednak wypadek, który obie kobiety odsunął od siebie jeszcze bardziej. Klara zauważyła u Anny coś, co w pierwszym momencie zbyła słówkiem "bzdura", ale im dłużej się przyglądała, nabierała słusności swojego spostrzeżenia. Anna miała oznaki ciąży. Wymioty, łaknienie, w końcu już lekko zaokrąglony brzuch. Starsza kobieta zażądała definitywnej odpowiedzi i... Nie otrzymała jej. Dziewczyna zbyła ją stwierdzeniem, że aby zażyć i urodzić potrzebny jest ten drugi, a ona nigdy nie miała nawet sympatii. A w dodatku cały czas jest dziewicą. Lecz ją to oskarżenie też zaintrygowało. Udała się do lekarza, wykupiła testy i omal nie zemdląła ze zdziwienia! Insynuacje Klary okazały się prawdą, była w ciąży.

Klara nie dawała za wygraną, żądając wydania nazwiska ojca dziecka i w ogóle nie przyjmowała do wiadomości, że Annie może być ono nieznane. Któregoś dnia udała się nawet do miasteczka, aby śledzić dziewczynę, z tym tylko skutkiem, że ta odnalazła ją, siedzącą na stopniach sklepu kaletniczego, dyszącą z przemęczenia i nie mogącą iść dalej.

- Ciotko, co ty tutaj robisz? - Spytała wychodząc ze sklepu.

- Czekam na twojego gacha! Dosty mam tych farmazonów o tym, że nie sypiasz z nikim w miasteczku! - Szorstkim głosem, sapiąc jeszcze ciężko, odburknęła Klara.

- Ciotko! Ale to niedorzeczne, co ty wygadujesz. - Próbowwała oponować Anna.

- Niedorzeczne jest to, co próbujesz mi wcisnąć. Patrzcie ją, jaka delikatna. W ciąży jest a nikomu nie dała! - Klara podniosła głos widząc, że dookoła nich zaczyna zbierać się grupka gapiów.

- Uważam, że rozmawialiśmy już na ten temat wystarczająco. Zdaje mi się, że to nie twoja sprawa, ale ci powiem, że wszystko potwierdzi doktor Moucer z kliniki. - Odparka tym samym tonem dziewczyna, czując, że za chwilę wybuchnie na tą kobietę, którą wcześniej po mimo wszystko kochała.

- Albo jesteś dziwką, albo czarownicą! Odkąd zabrałam cię z wypadku, w którym zginęli twoi prawdziwi rodzice, zawsze byłaś inna. A teraz tylko udowadniasz to, że z tobą jest coś nie tak. - Z nutą szyderstwa sapiała Klara.

- Nie jestem aż taka inna, w odróżnieniu od ciebie. Ja poznaję świat i ludzi, rozmawiam. Ty? Ty tylko wymyślasz bzdury, które ciebie samą karmią. - Odparowała Anna, czując, że nie potrafi się już opanować. Teraz już nie! Właśnie usłyszała całą prawdę, która do tej pory ukazywana była za każdym razem inaczej, ale nigdy nie tak dokładnie. Brutalnie, ale wreszcie bez kręactw o powinowactwie.

- Ale ja nie patrzę w gwiazdy, i nie rodzę bachorów z kimś, kogo nie znam. Nie to, że sierota, to jeszcze opętana. A może i uprawiasz magię? No, co!? Może rzucisz na nas jakąś klątwę? - Klara w swoich histeriach potrafiła posunąć się do absurdu.

Był to jednak jeden z tych absurdów, które łatwo przyswajają ludzie, w szczególności podchmieleni... Teraz jeden taki, który podszedł do tłumu przed chwilą i usłyszał może ostatnie zdanie, dopowiedział słowa, które stały się przysłowiową kropką nad "i".

- To czarownica! - Krzyknął jakby ostatnim trzeźwym prześwitem, i osunął się na ziemię siadając jakimś innemu gapiowi na zakupach.

To wystarczyło. Ludzie jeden przez drugiego zaczęli przebąkiwać między sobą pokazując Annę palcami. Wrzawa narastała w miarę jak niedorzeczna informacja dochodziła do kolejnych uszu i każdy dokładał swoje spostrzeżenia, nie zawsze z resztą zgodne z prawdą... Dziewczyna, widząc sytuację nie zwlekała długo z podjęciem decyzji ratującej ją prawdopodobnie z opresji.

- Nie ważne w tym momencie, co sobie wyobrażacie. - Mówiła głośno, wyraźnie, tak, aby każdy w tłumie usłyszał. - Kogo bardziej znacie? Mnie od dziecka, czy tą kobietę, którą nazywałam ciotką, a która w mieście jest trzeci raz w życiu od dwudziestu lat.

- Nie wiem, co sobie wykombinowałaś czarownico, przybłądo, ale to ci się nie uda! - Usłyszała za sobą głos Klary i jej śmiech...

- Jeżeli wierzyć tej histeryczce, - Anna mówiła dalej. - To wiercie. Ja wam tego zabronić nie mogę. Ale jeżeli mówicie, że to ja jestem zła, to pozwólcie, że odejdę i więcej mnie nie zobaczycie. Może kiedyś przyznacie mi rację.

- Tak, tak! Niech idzie! Precz! - Zaczęli skandować niektórzy.

- Niech idą obie! - Krzyczeli drudzy.

- Pozwólcie jej odejść. Może ona jest mądrzejsza od nas wszystkich! - Usłyszeli głos, który wszystkich zaskoczył.

Przy drzwiach sklepu stał Pastor Whiliam Piteer, i on to odezwał się do zebranych. Popatrzał po twarzach ludzi stojących i dodał:

- Żeby się nie okazało, jak bardzo wy się krzywdzicie!

Od tamtego czasu minęły już dwa tygodnie. Wszyscy o wszystkim zapomnieli. Ba! Nawet po niedzielnym kazaniu zapatrywania społeczności zmieniły się radykalnie. "Bo kto jest bez winy...", i wszyscy obecni zobaczyli swój błąd. Wszyscy, oprócz nieobecnych, a zabrakło tylko Klary.

Ona, bowiem od tamtej pory zamknęła się w swoim domu na peryferiach i, do czego nie potrafiła się przyznać nawet przed sobą, coraz dotkliwiej odczuwała brak pomocy ze strony Anny.

Przecież była kaleką. To, że stało się, jak się stało, nie upoważnia mieszkańców do nieokazywania jej pomocy! Tylko, że ludzie tego

miasta mieli własne życie, zmartwienia, kłopoty, i nikt nie pomyślał, choć przez chwilę, że powinien usługiwać kłótlivej kobiecie. Noc była naprawdę ciepła i na rozgwieżdżonym niebie nie ukazała się ani jedna chmurka. W oddalonym o półtorej mili od najbliższych zabudowań domku, siedziała w bujanym fotelu Klara. Patrzała w gwiazdy. Czegoś szukała. Co jakiś czas rozglądała się dookoła, jak gdyby kogoś wypatrując, a potem na powrót zadzierała głowę do góry i swoimi zmęczonymi oczami błędziła pośród konstelacji. Godzina była może czwarta rano, kiedy wstała na chwilę i opierając się o kule weszła do domu. Kiedy wróciła na twarz malował jej się smutek, którego wcześniej nie zaznała w całym swoim życiu. Usiadła na powrót w swoim fotelu i zaczęła patrzeć w niebo.

Zbliżał się ranek. W miasteczku zaczęły się wyłączać uliczne lampy i neony reklamowe. Słońce od momentu ukazania się na horyzoncie, bardzo szybko wznosiło się do góry i po kilkunastu minutach cały jego okrąg oświetlał budzące się Midland. W niektórych gospodarstwach o godzinie szóstej rano przestawiały się taryfikatory napięciowe, dzięki którym mieszkańcy korzystali z tańszych opłat za energię w godzinach pozaszczytowych.

Wtem cała okolice, zasnęła jeszcze, rozbudził odgłos eksplozji. Wybuch był tak potężny, że na przestrzeni paru mil zatrzęsła się ziemia, a odgłos jego słyszany był od BayCity, po Flint.

Ludzie powyrzynani ze snu powychodzili w szlafrokach na ulicę, inni pootwierali okna na oścież i wołali do siebie, próbując dowiedzieć się, co się stało.

Pierwszą konkretną informację usłyszeli po kolejnej godzinie od powracającego z miejsca zdarzenia szeryfa. Ten, zatrzymał samochód widząc tłumek dziwnie poubieranych przed swoim biurem i odezwał się, nim ci zdążyli coś powiedzieć:

- Pamiętacie tą babę, która wyrzuciła Anię? No to o niej zapomnijcie!

* * *

- To mówisz chłopcze, że nie ma żadnej bomby zagrażającej Prezydentowi?- Głos mężczyzny był raczej nieprzyjazny.

Crig był ciężko przestraszony sytuacją i miejscem, w którym się znalazł już wieczorem, tego samego dnia, w którym rozmawiał ze swoim bratem.

- Tłumaczyłem, że nie ma żadnej bomby, tylko rozmowa z UFO, albo z kimś, kto robi bardzo głupie kawały na radio i to nadając z głębi lasów Michigan.- Chłopak patrzył na funkcjonariusza, czując, że zimny pot zaczyna oblewać mu kark. Spytajcie mojego brata. W komputerze też mam mapę z naniesionym punktem, z którego nadawane są przetworzone nasze komunikaty.

- Kłamiesz! Czy choć wiesz, że twój brat nie pracuje w kopalni?- Mężczyzna podniósł głos.- Z resztą jego też za chwilę powitamy.

- Nie kłamię!- Crig aż poczerwieniał na twarzy.- Musicie mnie wysłuchać! Przecież musi być u was jakiś Moolder, czy Scully?

- Musi, musi... Gówno musi! Za dużo telewizji i ci szajba odbija.- Agent spojrzał spod pochylonego czoła na chłopca.

W tym momencie na stole zapaliło się światelko interkomu. Mężczyzna włączył go i zapytał:

- Tak?

- Co z naszym terrorystą?- Mężczyznę w głośniku bardziej chyba śmieszyła ta sytuacja, niż denerwowała i nawet nie starał się tego ukryć.

- Cały czas swoje radio i radio, jak nakręcony...- Agent był najwyraźniej znudzony.

- To zostaw go. Mamy już jego brata, ale i polecenia.- Mówił głos.- Przyjdź tu zaraz.

- Zaraz? No to daj kogoś innego do maglowania dzieciaka, bo ja to bym ściągnął portki i na gołą skórę przyrznął ze dwa razy... Ale dobra już idę! A ty sobie jak przez nockę posiedzisz, to przypomnisz gdzie brat pracuje.- Ostatnie słowa były skierowane do Criga.

Agent wyszedł, a chłopak odprowadził go wzrokiem do drzwi i spuścił głowę.

- Mój brat jest muzykiem i lepiej gra od pana, ale teraz wiem, dlaczego nie warto być bohaterem.- Mruknął do siebie, gdy usłyszał szcęk przekręcanego w zamku klucza.

Agent tymczasem przeszedł krótkim korytarzem do sąsiedniego, bliźniaczego pomieszczenia, w którym już przebywał Marek i jeszcze pięciu, czy sześciu innych agentów, z których znał tylko swojego partnera. Wszyscy śmiali się akurat z czegoś i nie przestali nawet, kiedy wszedł do środka.

- Chodź do nas Gordon,- Śmiał się agent, partner nowoprzybyłego.- Ten jegomość, to brat tego dzieciaka i to on wykombinował całą tę hecę z bombą. Niebezpieczny, ale sam widzisz, jak skuteczny sposób. A to po kolei agenci Morton, Sadursky, Rawlej, i Rocztein z centrali. Przyjechali po twojego terrorystę i jego materiały. Kto wie, czy dzieciak nie odkrył czegoś, co bezskutecznie szukało połowa naszej armii, że o satelitach nie wspomnę.

Mężczyźni zaczęli się śmiać, tym razem patrząc na przemiany twarzy Gordona. Ten wpiersz czerwony od gniewu, potem biały jak ściana od nowin, a na koniec z oczami groźącymi wyskoczeniem ze zdziwienia. Machinalnie usiadł za stolikiem i wyjął z kieszonki w marynarce paczkę Marlboro. Jednak zapomniał chyba, od której strony odpala się papierosa, bo w chwilę po tym, jak się zaciągnął, zaczął kasłać, dusząc się dymem z filtra.

- Ten dzieciak coś odkrył?- Zdążył tylko zapytać i zakasłał znowu.

- Tak, a ty za chwilę zabierzesz go do domu, aby się spakował.- Morton odparł już poważnym tonem.- My pożyczamy jego sprzęt, a ty zafundujesz mu towarzystwo, aby się nie nudził w centrali.- Dokończył.

Tak, jak postanowiono, w niecałą godzinę po tej rozmowie, obaj bracia wracali do domu siedząc w wygodnych fotelach agencckiego GMC. Tam Crig dostał polecenie wyszukania jeszcze raz częstotliwości i tajemniczego "dzieciaka", który zwrócił jednak uwagę na górze, jak stwierdził starszy brat.

- Czy jest tak za każdym razem, gdy nawiązujesz łączność?- Sadursky spisywał położenie radiostacji z czytnika GPRS.

- Tak, raz czekałem tylko chwilę, za drugim prawie pięć minut, ale zawsze to samo.- Chłopak włączył aparaturę i przełączył na głośniki zewnętrzne.

- Podaj coś lakonicznego.- Poleciał agent.

- To znaczy?- Crig zawahał się przez moment przy mikrofonie.

- Bła, bła, bła, mrówka nosi osła, czy podobne.- Rocztein stanął koło nich i uśmiechnął się, m rugając do chłopaka okiem.

- Bła, bła, bła, mrówka nosi osła.- Powtórzył radiowiec, prawie parszając ze śmiechu do mikrofonu.

Odczekali może trzy minuty i w głośniku, jak za poprzednimi razami zdigitalizowany głos powtórzył wypowiedź... Sadursky wyciągnął z kieszeni komórkę i wciskając tylko jeden klawisz nawiązał połączenie.

- Macie to?- Zapytał.

- Tak, mamy, zobacz, czy można zgrać radio z komputerem?- Głos w słuchawce był czysty i wyraźny, że bez przeszkód każdy w pokoju go słyszał.

- Już od dawna!- Crig uśmiechnął się do agenta.

- Zgrane!- Przekazał tamten.

- Wprowadź koordynaty, a potem poleć ciągle nadawanie. To już my go nie zgubimy.- Brzmiało polecenie w słuchawce.

Sadursky machnął ręką do chłopca, aby ten ustąpił mu miejsca, i zajął miejsce przed klawiaturą. Położył telefon, na którym wyświetlały się teraz cyfry koordynat i zaczął je po kolei wpisywać. Po chwili na ekranie wyświetlił się napis "O.K.". Kolejne cyfry i ten sam napis, i cała scena powtórzyła się jeszcze siedem razy, a następnie w głośniku usłyszeli dźwięk pulsujący trójtónowo, raz mocniej, raz słabiej, podobny do sygnału karetki.

- No mały! Możesz być dumny. Rozmawiałeś z jednym z najdroższych robotów wojskowych, a dokładnie z jego komputerem łączności.- Poklepał Criga po ramieniu.- Nikt go nie potrafił namierzyć od czasu zaginięcia, bo szukali przez satelitę. Wiesz, nawet armii

coś ginie raz na jakiś czas...- Zaczął się śmiać.

- Ten miły agent, z którym się już poznałeś, w nagrodę zawiezie cię teraz do naszej agencji.- Powiedział Rocztein,- A my teraz pozyczymy sobie twój sprzęt i nawet nie zwrócimy uwagi na te nielegalne MP3-trujki, prawda Gordon?

- Prawda, prawda. Dzieciak wyprowadził mnie w pole, to co nie miałem się wkurzać?- Gordonowi jeszcze nie było do smaku, że Crig nie okazał się terrorystą.

* * *

To już nie był zwykły, gęsty las. Nawet drzewa rosły tutaj tak gęsto, że dorosły człowiek miał trudności z przecięnięciem się pomiędzy nimi. A przecież czy tylko drzewa w lesie rosną? W połączeniu z krzakami, i pnączami był to gąszcz nie do przebycia.

A jednak w tej gęstwinie drzew i krzewów, gdzie na pierwszy rzut nie było dróg, duktów, czy nawet ścieżek, indiańscy przewodnicy zawsze wiedzieli którądy poprowadzić nawet spory oddział z bagażem wystarczającym na małą wojnę. Prowadzili trochę tylko kłuczając, ale prowadząc prosto do upatrzonego celu. Niekiedy i tu były polany, jary z płynącymi w dół strumieniami, źródła, miejsca, gdzie zwierzęta przychodziły na żer lub do wodopoju. Na jednej z takich polan już od pięciu dni stacjonowała "baza". Trzy potężne, wojskowe namioty służyły za kuchnię, magazyn, zbrojownię i biuro, a dookoła nich porozstawiane były małe namiotiki uczestników zgrupowania. Trwało właśnie zebranie w namiocie biura. Ponad gwar rozmów i kłótni rozległ się suchy dźwięk zamka spustowego Colta 45.

- Jeżeli nie zamknięcie pysków, bóg mi świadkiem, że kolejny strzał będzie głośniejszy.- Stan Rosiński mówił głosem cichym, ale dobitnym, i każdy wiedział, że nie rzuca słów na wiatr.

- Ustalmy. Po pierwsze, jesteśmy tu już od prawie tygodnia i zamiast coś znaleźć, kręcimy się w kółko. Po drugie, od ostatniego śladu i nieudanego pościgu nie mieliśmy żadnego ufoludka na celowniku. Po trzecie i ostatnie nasi przewodnicy...- Tu spojrzał na zakneblowanych i związanych Indian leżących obok stołu.- Nasi przewodnicy twierdzą, że nie będą z nami współpracować. Ja proponuję naszym czerwonym braciom mały pokaz i sądzę, że tylko w ten sposób przekonamy ich, że sprawa jest naprawdę poważna.- Kiwnął na dwóch strażników stojących obok skrępowanych ciał.- Sobie kombinuję, że pięciu przewodników- tropicieli, to za dużo, a w dodatku skutecznie oni osuszają nasze zapasy Whisky... Prawda? A więc Trewor i Oscar pokażą teraz naszym czerwonoskórym, co robimy z kimś, kto już nie jest użyteczny.

- Stan, paliczek?- Oscar w uśmiechu pokazał wszystkie swoje ubytki w uzębieniu.

- Tak, to może być paliczek. I zadbajcie, aby nasi goście mieli miejsca siedzące w pierwszym rzędzie.

Oscar podniósł za włosy starego Indianina, który leżał najbliżej niego, wyprowadził na zewnątrz namiotu, i tam kopniakiem powalił na plecy. W tym czasie przed namiot wyszli wszyscy, którzy się w nim znajdowali. Pozostali więźniowie też zostali wyprowadzeni i ustawieni w pozycji kłęczącej. Oscar już miał w rękach trzy dość grube żerdzie i oplątywał je z jednej strony tak, że po rozłożeniu powstał okazały rozmiarów trójnog.

- Koledzy teraz będzie potrzebna wasza pomoc.- Machnął głową do paru mężczyzn stojących najbliżej niego.- Przytróćcie go do ziemi, żeby nie wierzał.

Kompanom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Grubymi rzemieniami przywiązali kończyny nieszczęśliwca do wbitych w ziemię palików. Oprawca rozłożył trójnog tak, że dwa ramiona stały na ziemi na wysokości stóp Indianina, a trzecie zaostrome w szpikulec oparł na mostku. Na tak roztawionym przyrządzie podwiesił potężnie wyglądający kociołek. Już ten ciężar wywołał grymas bólu na twarzy, choć starzec nie wydał żadnego dźwięku, jak spodziewali się widzowie tego przedstawienia. Oscar zaczął wlewać do naczynia Whisky z już odkorkowanych butelek.

- Ile alkoholu wytrzyma czerwona twarz?- Spytał pobratymców.

- "Dalej, dalej, mało!"- Zaczęli dopingować kompani.

Już z dziesięć butelek pustych leżało na ziemi, kiedy drewniane ostrze przebiło skórę, a z rany popłynęła strużka krwi. Kolejne butelki systematycznie opróżniane upadając na ziemię tłukły się jedna o drugą. Indianin leżał nie dając oznak życia. Szpikulec do połowy zagłębił się w klatce piersiowej starca, a on nawet nie poruszył ustami. Na jego twarzy malował się smutny uśmiech.

- Dwadzieścia litrów!- Krzyknął ze śmiechem opryszek, sięgając po kolejną butelkę.- To nowy rekord!

- Ty, a może on już wyładował w krainie wiecznych łowów. Sprawdź, bo może się okaże, że wypijemy więcej za niego, niż był wart?- Krzyknął ktoś z grupy.

Oscar schylił się nad twarzą Indianina i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu:

- Żyje! Dziadek żyje jeszcze i oto panowie stawia nam dwudziestą pierwszą flachę!

Drewniane ostrze dociskane z tak wielką siłą wreszcie przebiło mostek ofiary i zatrzymując się ostatecznie zaklinowało się w kręgosłupie. Starzec do ostatniej chwili patrzył na Oscara swoimi jasnymi, jak gdyby wypłowiałymi oczami z półuśmiechem na ustach...

- Co za sukysyn!- Zaklął oprawca.- Panowie, mamy kolejny obowiązek względem zmarłego, wypić za niego!

Ten okrzyk był sygnałem dla pozostałych. Ściągnięto sagan z trójnogu i każdy podszedł z metalowym kubkiem, aby zaczerpnąć porcję alkoholu dla siebie.

- Spokojnie! Starczy dla każdego na trzy repety.- Stan patrzył na wszystkich z wysokości skrzyń z amunicją, na których siedział.-

Dzisiaj szalejemy, ale jutro...- Spojrzał po zgromadzonych wzrokiem, który mógł zabić.- Ruszamy dalej, a nasi czerwoni bracia nam w tym pomogą. Tak myślę, że ta lekcja da im dużo do myślenia przez noc.- Zszedł ze skrzyń i podszedł do skrępowanych.- Zabierzcie ich do namiotu i pilnujcie. Rano sprawdzę, czego się nauczyli.

* * *

Beata i Steven już drugi dzień spędzali na małej plaży, nad brzegiem jeziora. W tym czasie, już na spokojnie odkryli, że "ściany" okalają teren ze wszystkich stron. W wodzie, pod wodą, a nawet nad ich głowami.

Steven pływał od pół godziny wzdłuż bariery, oddalonej od brzegu o około trzydzieści metrów. Szukał, jak sam to określił, "ukrytych drzwi". Wielokrotnie też nurkował, ale zawsze na głębokości około sześciu metrów dotykał dna tak gładkiego, jak w, porównując, akwarium.

- Nic z tego.- Mamrotał.- To jest jak jakieś dziwne więzienie! Zwariowana klatka zdegenerowanego milionera. Wszędzie są ukryte kamery i ktoś się nieźle bawi, tylko nie my...

Trixi w tym czasie szykowała posiłek. Zapobiegliwie, po odkryciu bariery postanowiła, że z całego prowiantu, który zabrali, będzie wydzielać tylko takie porcje, które wystarczą im na jak najdłuższy tu pobyt. Mamała się, że to tylko jakaś przejściowa anomalia, a po jakimś czasie, ktoś ich wyratuje, albo im samym uda się uwolnić z tej pułapki...

- Niczego nowego nie znalazłem.- Steven wychodził właśnie z wody.- Zacznę dalej szukać, ale trochę później. Co ty na to, abyśmy popływali razem? Przecież teraz tylko to, opalanie i jedzenie nam zostało...- Grymas na twarzy miał udawać uśmiech.

- A ja myślę, że powinniśmy spróbować zniszczyć tę ścianę, tylko nie wiem jak.- Beata rzuciła ręcznik.- Wytrzymaj się, coś zjemy i pomyślimy. Może jednak coś wpadnie nam do głowy.

- A jeżeli przyłożyć ognisko do ściany?- Powiedział Steven, patrząc w stronę samochodu.- Bo wiesz, ja tak myślę, że specjalnie nas oddzielono. Wóz to jednak większa moc od nawet dwudziestu chłopów!

- Tak, tak. Paliwo w kanistrze, to prawie bomba.- Zachichotała Beata.

Siedzieli przez dłuższą chwilę przy prowizorycznym stole zrobionym ze ściętego pniaka. Oboje skąpo ubrani, jedynie w stroje do

opalania. Słońce prażyło niemiłosiernie i tylko tak ubrani byli w stanie znieść tą spiekotę. Na domiar złego w ich więzieniu panowała niepodzielnie cisza. Wyrażało się to swoistą cyrkulacją powietrza i brakiem dźwięków natury z wyjątkiem tych, które sami tworzyli.

Spostrzegli, że choć na zewnątrz gałęzie drzew lekko falowały na wietrze, oni nie odczuwali najmniejszego podmuchu. Drobne ruchy wody w owej klatce spowodowane były też chyba tylko dużą ilością ryb. Steven po dopłynięciu do ściany w wodzie, też zobaczył, że z drugiej strony fale o wiele wyższe, uderzały o niewidzialną barierę. A jednak! Cały czas oddychali świeżym powietrzem, a ognisko płonęło żywym, jasnym, nie stłumionym płomieniem. Ale to ognisko przy okazji pomogło im zorientować się, że nad głowami również mają niewidzialny sufit. Beata w pewnym momencie dorzuciła kilka lekko wilgotnych gałęzi. Dym, zamiast dusić się przy ziemi, strzelił wąską smugą ku górze, a dopiero na wysokości, około drugiego piętra nagle zmienił kierunek, zgodnie z ruchem gałęzi drzew.

- Steven, jak sądzisz, czy te ściany mają jakiś filtr UV, czy spieczemy się na raki? - Beata porównała opaleniznę z jasną skórą pod ramiączkiem biustonosza.

- Miodzio, miodzio! A może pod kloszem uratujemy się przed rakiem skóry? - Chłopak położył się na rozścielonym kocu. - To jest jedyny, jak na razie plus tej puszki.

Rozmawiali w tym tonie jeszcze długo, o wszystkim i o niczym. Raz na wesoło, to znów z obawą o dalszy ich los.

Steven chwycił dziewczynę za przegub dłoni i wskazał niebo nad jeziorem. W ich stronę powoli, bezgłośnie zbliżał się śmigłowiec. Jeden z tych, które często przeczesują okoliczne lasy w poszukiwaniu zarzewia pożaru. Kiedy zbliżył się na tyle, że można już było rozróżnić postacie i szczegóły konstrukcyjne maszyny, oboje z dziewczyną zaczęli machać rękami i wołać, ciesząc się jak dzieci. Helikopter był już tuż, tuż. Powoli, prawie majestatycznie prawie przepłynął nad ich głowami, nie zdradzając jednak zainteresowania dwójką nastolatków.

- Co siemięgi!? Nie widzicie nas? My się nie uśmiechamy do was, tylko chcemy pomocy! - Dziewczyna krzyczała za odlatującą maszyną. - Steven, buchnij większym ogniem. Chcą znaleźć pożar lasu, to my im go zrobimy.

- Beata! - Chłopak opuścił ręce i patrzył za odlatującą maszyną. - To nie ma chyba sensu. Oni szukają ognia, a nie młodzieży, nami się nie zainteresują, dopóki jesteśmy grzeczni.

- Ja nie jestem grzeczna! - Beata usiadła przy ognisku, machinalnie chwytając kubek z napojem. - Jestem wściekła, rozgoryczona i nie wiem, co mam robić. Tak w ogóle, to mam dosyć serdeczne tego więzienia, tego akwarium! - Machnięciem ręki wylała resztę zawartości naczynia w buchające płomienie.

Ogień z nagła przegaszony zaskwierczał, na chwilę przytłumił się, a kawa wylana wprost na rozżarzone główne, momentalnie przeistoczyła się w szeroki słup pary, unoszący się prosto, w górę.

- Trixi, wiesz co? Tak sobie pomyślałem, ale oni może nas nie widzieli. - Steven patrzył na obłok pary. - To, że helikopter przeleciał bez żadnej reakcji pilota może oznaczać tylko jedno. Mieli przed sobą czystą plażę...

* * *

Riazani od dłuższego czasu przyglądał się okolicy. Gładka płaszczyzna otoczona dookoła plastikową taśmą obwiązaną wokół słupków wbitych w ziemię w odległości czterech metrów od jej skraju. Trzy potężne platformy z reflektorami halogenowymi i umieszczonymi na ich szczytach platformami ze stanowiskami kamer różnego typu, od normalnych, telewizyjnych, po te na podczerwień i inne pasma. Budynki wartownicze, co piętnaście metrów, co chwilę przelatujące helikoptery w pełnym uzbrojeniu przeczesujące teren. To wszystko składało się na scenę rodem z filmu "Bliskie spotkania trzeciego stopnia". Trochę dalej stały białe baraki laboratorium, za nimi "kompleks mieszkalny" i sztab.

- Armia nie próżnuje. - Powiedział pod nosem. - Rzeczywiście ten Ruff odwalił kawał dobrej roboty. Nawet mysz się nie prześliźnie. To dlatego nie mamy stąd żadnych informacji!

Riazani należał do ludzi lubiących wiedzieć więcej, niż inni, słyszeć więcej, niż inni, i... Przekazywać innym tylko tyle, ile musiał, a nie ile by chcieli...

Teraz był w odwrotnej sytuacji. Wszystko, czego się dowiedział, przekazał już przez zwierzchników tutaj, a sam miał nadzieję uzyskać, choć trochę nowych informacji, korzystając z przysługujących mu przywilejów i okazji przyjazdu. Na domiar wszystkiego, rozkazem szefa przekazał te same uprawnienia jakiemuś pułkownikowi, którego teczka, o dziwo nawet dla niego miała kryptonim "ściśle tajne". Takie same uprawnienia, którymi się szczycił, że nawet Prezydent ma mniejszy wgląd do akt, niż on, Izaw. Ale on dowiedział się co nieco o tym pułkowniku, jak mu było? - Ruff. A z tego, co wyczytał o nim, gość musi być z jajami wielkości Czołomungmy, że po wszystkich jego akcjach nie wylądował w wariatkowie, ani na cmentarzu. A on szykuje kolejną akcję, ładując się w bagno, a przecież znając zagrożenie...

- Dobrze, że dzięki mnie nie będzie musiał topić się w tym szkle. - Powiedział do siebie na głos, nie zauważywszy jakimś trafem za sobą człowieka, który jakby nie patrzeć, był od niego wyższy o głowę.

- Skoro pan tak twierdzi. Tu pana spotkałem, Inspektorze. I jaki się podoba nasza winda? - Zapytał ColdTop, gdyż on był tym człowiekiem o niesłyszalnych ruchach.

Riazani obejrzał się. Za nim w odległości trzech kroków stał prawdziwy olbrzym. Przewyższał go sporo, nawet w "kłacie", choć jak twierdził, sam do ułomków nie należał, a wręcz odwrotnie, każdy porównywał go do mitycznych wojowników, i z muskularnej budowy, i z profilu.

- Major wspominał o panu, że jest pan trochę wyższy ode mnie, ale nie mówił, ile jest tego trochę. - Wyciągnął rękę na powitanie Riazani.

- A za to pana głos już znam, a dziś dopiero poznaję resztę. - Ruff odwzajemnił uścisk. - Czyli to przez pana opóźniliśmy mój eksperyment. Widocznie macie coś, co nas jeszcze bardziej zaskoczy... Odnaleźliście bombę, czy co?

- Być może. - Inspektor spojrzał znad okularów na pułkownika. - Mam adres zsyłki waszego robota, ale o tym przy kawie. Tutaj i nie czas i nie miejsce na eksperymenty... Może, kto wie, czy nie polecą pan o wiele dalej, ale jednak w obrębie naszej planety.

- Zgoda, co do miejsca, choć tu nikt nie zdoła nas podsłuchać, bo o to też zadbałem. - Ruff odchylił potę marynarki ukazując przyrząd wpięty zamiast pistoletu w kaburę. - Ta zabawka chroni nas przed nawet najlepszym sprzętem podsłuchowym. Ale kawa nam się przyda oprócz tego. - Ręką wskazał kierunek budynku sztabu.

Przeszli koło baraków mieszkalnych pomalowanych na biało. Ściany gładkie, bez jakichkolwiek śladów łączenia, kontrastowały tak z otoczeniem, że ich jasność w promieniach słońca zmuszała wręcz obu, do mimowolnego mrużenia oczu. Za pawilonami skręcili w prawo, wchodząc na drogę wysypaną żwirem i ubitą prawie na gładko. Przeszli dwadzieścia metrów i stanęli przed dużymi drzwiami. Stuart wystukał kod na zamku szyfrowym, usłyszeli szcęk rozsuwanych automatycznie sztab i drzwi bezgłośnie się rozchyliły do środka, ukazując wnętrze budowli. Coś było zaskakujące. Cała konstrukcja budowli nie posiadała ani jednej ściany nośnej w środku, co dziwiło każdego, zważywszy na wysokość i ogrom konstrukcji.

- Ten pawilon postawiono w jeden dzień, ale sądzę, że jego ścianka wytrzyma spokojnie napór kilku czołgów, jak też salwę z nich oddaną. A pomyśleć, że jest to tworzywo na poły naturalne... - Pułkownik poklepał "framugę".

- Dziwne, myślałem, że to my jesteśmy od zaskakiwania świata nowinkami technicznymi? Co to za tworzywo, bo wydaje się jakby uginać pod ręką? - Riazani spojrzał na ColdTopa.

- Coś w oparciu o nić pajęczą z dodatkiem epoksydów i poliwęglanów, ale tego będzie się pan musiał dowiedzieć od naszych techników. - Odparł.

Szli korytarzem, pomiędzy boksami oddzielnymi od siebie jedynie półprzezroczystymi ściankami. W każdej kabinie, przy biurku

siedział ktoś z obsługi, czy to ubrany w biały kitel, czy w wojskowe moro. Całość wyglądała jak połączenie armii biurokratów i techników wojskowych z tymi rodem z NASA.

- A to jest pomieszczenie "klubowe".- ColdTop otworzył drzwi do jedyne go pomieszczenia, posiadającego własny szklany z resztą sufit.- Tutaj możemy nadzorować przebieg badań w laboratoriach i wydawać wszelkie dyspozycje w sztabie. Sami zaś jesteśmy w dźwiękoszczelnej kabinie, więc nikt nie ma możliwości usłyszeć, o czym rozmawiamy. A to, żeby nie czytali z ruchu warg.- Pułkownik wystukał komendę na konsoli komputera, a w chwilę po tym szyby stały się taflami luster.

- No proszę! Armia ma jednak więcej zabawek, które potrafią mnie jeszcze zaskoczyć. A mówi się ogólnie, że to wy korzystacie z czyichś pomysłów.- Riazani na głos wyraził swoje uznanie. Usiadł na wygodnym, szerokim fotelu i położył sobie na kolanach teczkę, którą do tej pory trzymał pod prawym bokiem. ColdTop w tym czasie nalewał już aromatyczną Arabikę z ekspresu ciśnieniowego do dwóch filiżanek.

- Ja dodaję zawsze odrobinę rumu, może i pan się skusi?- Spojrzał na inspektora, a gdy tamten skinął głową, dołął dwie łyżeczki alkoholu do każdego naczynia. Postawił filiżanki na stole i sam usiadł obok. Riazani bez ogródek przeszedł do sedna sprawy.

- Zabawne jest to, że nazwaliśmy płaszczyznę windą, ale wcale się nie myliliście. Może ona nie do góry, i nie w dół, a tak trochę w bok, ale przenosi wszystko, powtarzam, wszystko w miejsce oddalone od Roswell, o ponad tysiąc kilometrów w linii powietrznej. Lasy Michigan kryją naszą zagadkę w bardzo skuteczny sposób. Ani nikt się nie spodziewał, ani nikt nie wykrył za pomocą obserwacji i nasłuchu satelitarnego. Tylko zbiegowi okoliczności, zakrawającemu na cud, odkryliśmy tamto miejsce. To dzięki nasłuchowi fal radiowych emitowanych przez zwariowanego waszego robota.

- No nie zwariowanego.- Wtrącił pułkownik.- Miał a zadanie poznać język, przeanalizować i umożliwić nam kontakt. A skoro nie otrzymywał od nas dyrektyw, powiełał w eter każdy sygnał wychwycony z przestrzeni.

- Wiemy i to. Już go zresztą namierzaliśmy i ekipa jest w drodze. Pan chciał w pojedynkę przejechać się windą, to teraz doleci nawet do ostatniego piętra innym środkiem transportu, sądzę, że też ciekawym. Po naszej analizie wiemy już na pewno, że wasza tafla, jest kluczowa w odpaleniu ładunku. Jakikolwiek wybuch zostanie wchłonięty i przeniesiony do zapalnika. Otrzymaliście przed moim przybyciem materiały. Na ich podstawie już wiemy, czego się możemy spodziewać.- Riazani zapalił cygaro, jakby wstrzymując oddech przed tym, co chciał jeszcze zakomunikować.- Jedno, co mnie niepokoi, to, że nasi sojusznicy każą się nam samym z tym uporać. Twierdzą, że nie mamy technologii, siły ognia, a co otrzymujemy od nich? Nic, prócz mglistych obietnic.

- Skoro tyle macie, to, po co ja mam lecieć?- ColdTop kolejny już raz przeglądał materiał filmowy.- Przysnąję się, jak pan widzi, nie zniszczyłem nośnika. Ale nie widzę już takiej potrzeby. Jak pan słyszy ich wypowiedzi są delikatnie rzecz ujmując, trochę enigmatyczne. Dlaczego nie powiedzieli wprost, czego szukać?- Cofnął jeszcze raz na zapis.- "Punkt, który do niego prowadzi jest waszą zagadką. Jest też detonatorem. Zapalnik pozostawił byt..."

- Detonator już mamy.- Rozmyślał na głos pułkownik.- Bombę chyba też, jeżeli przyjąć namiary radiowe za pewnik, choć dziwi mnie umiejscowienie jej na Ziemi...- Patrzył teraz na ciemny ekran.- Dlaczego więc mówią o zapalniku, jak gdyby był gdzieś indziej, niż ładunek? A może on się przemieszcza i w odpowiednim czasie, znajdzie się odpowiednim miejscu.- Spojrzał, przymrużywszy oczy, jak zwykło to robić, gdy nad czymś poważnie się zastanawiał.- Łądem, powietrzem, w kosmosie... Tak! Tak trzeba by było zacząć poszukiwania. Najpierw zbadać, czym jest bomba, potem znaleźć i odizolować zapalnik...

- Nie myliłem się, co do pana, Ruff.- Riazani patrzył na olbrzyma pełnym szacunku wzrokiem.- My zaprzęgliśmy do tej analizy komputery, i one to samo podały w trochę dłuższym czasie, niż pan to wszystko określił słowami. A w dodatku one miały jeszcze trochę więcej danych, jeżeli doliczyć prędkość i zasięg poszukiwań.

- Jeżeli prędkość, to jedynie skanując z kosmosu w wysokiej rozdzielczości, ale taka masa materiału do obróbki, kiedy nie wiemy nawet, czego szukamy, trochę może potrwać... Sądzę jednak, że dysponujemy wystarczającą ilością specjalistów w chwili obecnej, i są oni z różnych dziedzin najlepszymi z najlepszych. Czyli poszukiwania! A skoro tak, to nie ma na co zwlekać. Żeby jeszcze wiedzieć, co jest bombą i czy można ją potem zneutralizować, ale to na razie taka mała dygresja.- Podrapał się po czole ColdTop.

- Ależ już wiemy dzięki naszym "opiekunom"! Gdzie pan ma próbkę tego dziwnego minerału? W takim razie jeszcze zostaje nam pytanie, jak zneutralizować.- Riazanii podniósł się z siedzenia, wziął z ręki pułkownika woreczek z niewidoczną zawartością.- To, co się tu znajduje, wystarczy na zniszczenie mojego samochodu. Nasze próby na razie miały na celu określenie mocy ładunku. Ale teraz właśnie trzeba pomyśleć jak to świństwo unieszkodliwić.

-I jak, skoro tego nawet nie widać?- Dokończył myśl Stuart.-Teraz naprawdę sądzę, że powinniśmy się zastanowić o jak najszybszym przybyciu na miejsce i wszczęciu poszukiwań. Jakie mamy siły tam na miejscu?- Znow stał przy pulpicie komputerowym.- Popatrzmy...

Inspektor stanął z boku i przyglądał się wyświetlonej mapie kraju:

- Michigan.

- Jest Michigan.- ColdTop odruchowo odpowiedział kierując kursorem na odpowiedni stan.

- Lower Peninsula.- Riazani wskazał palcem na ekranie.- Tu około trzech mil na północ od tej rzeczki.

-Ale piękny widok. Nie można było znaleźć lepszego terenu? Tam są tylko lasy, lasy i jeszcze raz lasy. Zaśmiał się ColdTop.

- Dla kogoś był wymarzony, tylko nie dla nas.- Odpowiedział sentencjonalnie inspektor.

- Tak, tylko w takim wypadku, ja to za mało. Przydałyby się ze cztery brygady...- Spoważniał.

- To przynajmniej o tym samym myślimy. A tak przy okazji, mamy całkowite poparcie z góry, i jeżeli to możliwe, jak najpóźniej powiadomić prasę, a najlepiej wcale.- Riazani usiadł na skraju ławy.

- Ja jestem za tym, aby jakiegokolwiek media wyeliminować z tego.- Oficer miał własny punkt widzenia.- Wszędzie węszą, to jak wyczują smród koło tego, będzie globalna panika. Pamięta pan, jaki zrobili bajzel ze śmiercią Orama?

- Bo jak się likwiduje bożyszczę tłumy na oczach kamer, trzeba się liczyć z różną interpretacją...

- Zaraz, zaraz! Od kiedy wroga świata nazywa się bożyszczem? Czy to nie on wyzywał wszystkie narody muzułmańskie, po śmierci Bin Ladena, na wojnę przeciw współczesnej zarazie, jaką jesteśmy?- ColdTop spojrzał spode łba na Riazaniego.- Armia jest po to, aby bronić kraj, w jego granicach, niekiedy poza jego granicami, ale zawsze przed zagrożeniem wolności i bezpieczeństwa. Jest jak chirurg wycinający wrzód na dupie.

- Dobry chirurg skoro jedną rakieta załatwił problem na długi czas...-Teraz Riazani zaczął się śmiać.

- Tylko, aby ta jedna rakietka mogła tak precyzyjnie "ciąć", potrzeba było trzech dni na szukanie miejsca tamtej transmisji. Też wiadano, że będzie, a nie znano miejsca. Dobra! Zgoda, a teraz nie o polityce i mediach, tylko o naszych E.T.. Jeszcze raz, co mamy, czego nam brakuje?- ColdTop spojrzał na konsolę.

- Grupy szybkiego reagowania w Michigan.- Riazani zaczął wylizywać na palcach.- Teren zabezpieczony i badany w Roswell, dezorientacja w mediach.

- Dyspozycyjność jednostek z Grand Rapids, logistyka, "przyjaciele z kosmosu".- Zaczął dodawać oficer. Spojrzał na panel, na którym pokazała się ikonka e-maila. Otworzył pocztę, chwilę czytał, i dodał...- Gubernator Michigan da wszystko, czego potrzebujemy, a ja mogę wylecieć za...- Spojrzał na zegarek.- Nawet za piętnaście minut.

KONIEC

***Dziękujemy wszystkim, którzy dotarli
do tego miejsca i zapraszamy do lektury
następnego numeru!***